Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

○ Do tej samej rzeki nie można wejść dwa razy
○ Swego nie znacie
○ Od pierwszego wejrzenia
○ Świadectwo obecności
○ Miłość do nieobecnej

NUMER 10 (1354) ROK XXVII 10 MARCA 1984 ROKU CENA 15 ZŁ

O naturze i roli kobiety

EDMUND LEWANDOWSKI

Zacznę od dowcipu. W pewnym kraju zlecono psychologom i socjologom ustalenie definicji kobiety. Ci zaś po długich dyskusjach uzgodnili, że kobietę można najkrócej określić jako p r z y j a c i ó ł k ę c z ł o w i e k a.

Ten złośliwy wobec pań dowcip ma pewne uzasadnienie biblijne. W Księdze Rodzaju czytamy bowiem, że Bóg stworzył kobietę po to, aby *udzielała odpowiedniej p o m o c y człowiekowi. Słowo Adam dosłownie znaczy człowiek.* Natomiast Chawa (Ewa) to tyle, co „żywiąca, dająca życie".

Po wykroczeniu pierwszej pary ludzkiej i popełnieniu grzechu pierworodnego Bóg podporządkował kobietę mężczyźnie. Zwracając się do Ewy powiedział: *„Pomnożę dolegliwości brzemienności twojej, w bólach będziesz rodziła dzieci, mimo to ku mężowi twemu pociągać cię będą pragnienia twoje, on zaś będzie panował nad tobą"* Ten fragment Starego Testamentu powstał prawie trzy tysiące lat temu, w połowie X wieku przed naszą erą.

Ale tysiąc lat później w Nowym Testamencie stanowczo podtrzymano zasadę zwierzchnictwa mężczyzny nad kobietą. W pierwszym liście do Koryntian św. Paweł wyraźnie podkreślił: *„Chciałbym żebyście wiedzieli, że głową każdego mężczyzny jest Chrystus, mężczyzna zaś jest głową kobiety, a głową Chrystusa — Bóg".* Dalej apostoł narodów pozwolił mężczyznom przebywać w świątyniach z odkrytą głową, a kobietom nakazywał nakrywać głowę. Błędem jest więc spotykane u nas często mniemanie, że kobiety mają przywilej niezdejmowania w kościele nakrycia głowy — faktycznie jest to ich obowiązek i znak poddania. Warto zresztą, aby nie było wątpliwości, przytoczyć odpowiednie słowa Pisma Świętego: *„Mężczyzna zaś nie powinien nakrywać głowy, bo jest obrazem i chwałą Boga, a kobieta jest chwałą mężczyzny. To nie mężczyzna powstał z kobiety, lecz kobieta z mężczyzny. Podobnie też mężczyzna nie został stworzony dla kobiety, lecz kobieta dla mężczyzny"*

W tym duchu wypowiadali się później wielokrotnie różni dostojnicy Kościoła katolickiego. Przyjmowali, że kobieta ma jakby gorszy rodzaj duszy i jest niższym stworzeniem od mężczyzny. Nic zatem dziwnego, że w uroczystej przemowie do mężczyzn św. Augustyn kategorycznie stwierdził: *„Ty jesteś panem, ona niewolnicą! Bóg stworzył was oboje, ale waszymi niewolnicami są wasze żony. Wy jesteście ich panami".*

W ciągu długiej historii chrześcijaństwa kobiety sporo wycierpiały. W naturze ich upatrywano źródeł zła i mocy magicznych. Posądzano je o tajemne związki z Szatanem. W istnienie cza-

7

Nad-zmysłowa fizkultura

JOLANTA WROŃSKA

W nakładzie 7 tys. egzemplarzy, na porządnym, kredowanym papierze klasy III, Komitet Organizacyjny wydał ulotkę-zaproszenie:... zapraszamy po odbiór biletu, po okazaniu niniejszego zaproszenia i wpłaceniu 300 zł...

Kasę trzyma Łódzki Ośrodek Sportu. Informacji udziela Wojewódzki Ośrodek Informacji Sportowej i Turystycznej. Podkreśla się też, że udział w imprezie jest dobrowolny i na własną odpowiedzialność, nadto — zobowiązuje się nabywcę do kooperacji dla celów naukowych.

Tym razem — bo trudno uwierzyć, że tak anonsuje się mecz ligowy — sportowo-turystyczna władza postanowiła zaopiekować się zdrówkiem P.T. Publiczności. I w samą porę, bo bywanie na stadionach grozi śmiercią lub kalectwem. Tym bardziej, że cel jest szlachetny — pieniądze pójdą na konto budowy Pomnika-Szpitala Centrum Zdrowia Matki-Polki. Jak słyszę tę zbitkę „Matka-Polka", dostaję trzęsawicy, ale niech tam, szpitali nigdy za dużo.

Trzy tygodnie wcześniej, oficjalnym pismem z dnia 30.01. 84 r., Wydział Kultury Fizycznej i Turystyki Urzędu Miasta Łodzi zawiadomił, iż odbędzie się konferencja prasowa w sprawie planowanego w Łodzi biozabiegu znanego poznańskiego bioenergoterapeuty Franciszka Fellmana.

Kilka dni wcześniej notka prasowa doniosła, pod tytułem „Bioenergoterapeuta z dyplomem", że przedstawiciele Polskiego Towarzystwa Biocenotycznego wręczyli p. Fellmanowi — jako trzynastej osobie w kraju — dyplom potwierdzający, licznymi i skomplikowanymi badaniami zdolności uzdrowicielskie.

Notka nie wymieniała nazwisk owych przedstawicieli Towarzystwa, ani też nie dociekała jakie to skomplikowane badania przeprowadzono na dyplomancie. W dalszej części — przywołano dotychczasowe sukcesy p. Fellmana w poznańskiej Hali „Arena", gdzie dwakroć, blisko 5 tys. ludzi poddało się biozabiegowi. U 723 z nich (ok. 10 proc.) bez wątpliwości stwierdzono wyraźną poprawę stanu zdrowia.

Na konferencji rej wodził red. Uchman z „Expressu" argumentując, że skoro społeczeństwo sobie życzy, to społeczeństwu należy dać.

Przygotowaniom patronował anonimowy Komitet Organizacyjny. Do wiadomości publicznej nie podano żadnych nazwisk. Ciało enigmatyczne nie okazało się bynajmniej eterycznym. W dyspozycji były siły i środki. Siły wspierała wiara w cudowne uleczenie, środki „zabezpieczył" wydział fizkultury turystycznej. Znalazł się dobry papier i kseroks, znalazły się za-

12

Przegląd prasy

Człowiek wymyślił coś w rodzaju systemu prasowego, na który składają się dzienniki, tygodniki, dwutygodniki, miesięczniki, dwumiesięczniki, kwartalniki, półroczniki i roczniki. Artykuły zamieszczane w tych czasopismach mają różną wartość, są adresowane do różnego odbiorcy. Kręgi tych odbiorców po części pokrywają się, bowiem czytelnicy prasy codziennej są również czytelnikami czasopism i tak dalej. W miarę jednak wydłużającego się cyklu wydawniczego problematyka czasopism staje się coraz bardziej specjalistyczna i jest adresowana do coraz węższego kręgu odbiorców. Odbiorcy ci na ogół wiedzą, gdzie i czego mają szukać. Nie wiedzą tylko, kiedy ich czasopismo się ukaże. Człowiek wymyślił coś w rodzaju systemu prasowego i człowiek go całkowicie zabałaganił. Zdarza się, że nawet tygodniki nie ukazują się w terminie.

Ryszard Marek Groński w „POLITYCE" (nr 9 z 3 marca 1984 r.) cytuje wypowiedź przedstawiciela redakcji miesięcznika zajmującego się teatrem:

— *„Przepraszam, jestem z redakcji miesięcznika... Czy mógłbym zobaczyć próbę generalną? Czytelnicy szalenie interesują się najnowszą pracą naszego Sławnego Artysty, więc chciałbym zdążyć z opisem przedstawienia do numeru lutowego, który ukaże się w czerwcu."*

Optymista. Powinien powiedzieć: „chyba w czerwcu", bo skąd on wie, kiedy im drukarnia pismo wydrukuje. Miesięczniki, kwartalniki i tak dalej ukazują się w sposób zupełnie chaotyczny i trzeba wykazać wiele dobrej woli i samozaparcia, aby upolować w „Ruchu" pożądane czasopismo. I oto w tej sytuacji

KLEMENS KRZYŻAGÓRSKI WYMYŚLIŁ

że „PRASA POLSKA" — miesięcznik Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL będzie ukazywać się regularnie i adresowane będzie nie tylko do dziennikarzy, ale do wszystkich. Wojciech Giełżyński w wydanej niedawno bardzo ciekawej książce *„Moja prywatna Vistuliada"* wymienia pasje znanych polskich reporterów i pisze, że Klemens Krzyżagórski lubi stale coś organizować. No i właśnie zorganizował.

„Zadzwonił do mnie — pisze Jerzy Ambroziewicz w felietonie „Szklane oko" — *Klemens Krzyżagórski z wiadomością, że wymyślił trzy rzeczy naraz. Po pierwsze, że w miesięczniku PRASA POLSKA powinien się ukazywać felieton o telewizji. Po drugie, że ma już dlań gotowy tytuł: „Szklane oko". Po trzecie, że mam być autorem tych felietonów, ponieważ... Na szczęście Krzyżagórski zostawił mi wolną rękę w wypełnianiu jego pomysłu treścią, a poniekąd i formą".*

A więc felietony, publicystyka, wspomnienia, reportaże. Pismo dla wszystkich. Ciekawe zdjęcia. Mało tego. Oto w niedzielę, 4 marca 1984 roku Lesław Nowak w „Dzienniku Telewizyjnym" pokazał drugi, lutowy numer „Prasy Polskiej", co jest już poważnym zaskoczeniem i osiągnięciem.

Wiele lat temu grupa młodych dziennikarzy postanowiła z pisma studenckiego uczynić pismo młodej inteligencji i adresować go do wszystkich. Pismo to nazywało się „Po prostu". Życzę Klemensowi Krzyżagórskiemu, aby w zupełnie innych warunkach historycznych, politycznych i społecznych powtórzył sukces „Po prostu" — z pisma adresowanego do określonej grupy zawodowej uczynił pismo dla wszystkich!

Zmienia się i przeobraża rynek czytelniczy. Nie wszyscy to spostrzegają, nie wszyscy to rozumieją. Pojawiły się na tym rynku nowe pisma, stare mają kłopoty nakładowe, trwają poszukiwania formuły pisma, choć mogłoby się wydawać, że formuła pism społeczno-kulturalnych, czy polityczno-społecznych została już dawno ustalona. Złudzenie.

Bez wątpienia zupełnie nowym zjawiskiem na naszym rynku prasowym jest „Przegląd Tygodniowy", który przekroczył już 100 numerów. Podobnie rzecz ma się we Wrocławiu, gdzie

„SPRAWY I LUDZIE" MAJĄ JUŻ 100 NUMERÓW

Z tej okazji Julian Bartosz napisał do Czytelników kilkadziesiąt zdań. Oto niektóre z nich:

„Łatwym pismem nie jesteśmy. Ani dla Czytelników, ani dla autorów. Uczestniczymy w walce politycznej o socjalistyczną odnowę i o wyprowadzenie kraju z kryzysu na socjalistyczną drogę rozwojową w taki sposób, aby nie zamazywać sprzeczności. Muszą one być przezwyciężane...

„Sprawy i Ludzie" są pismem partyjnym, marksistowsko-leninowskim. Nie musimy tego deklarować we wstępniakach. Wynika to jednoznacznie z zawartych w naszych publikacjach treści...

Wiemy, że poza Wrocławiem i Dolnym Śląskiem najróżniejsze względy niezwykle utrudniają naszym Czytelnikom i sympatykom dostęp do pisma. Sądzę, że nie zawsze utrudnienia te wynikają jedynie z nieruchawości „Ruchu" albo ze zrozumiałej walki konkurencyjnej na rynku prasowym..."

Kolegom ze „Spraw i Ludzi", którzy — jak mi skądinąd wiadomo — nie mają we Wrocławiu wcale łatwego życia, życzymy wytrwałości i doczekania tysięcznego numeru!

ZAOSTRZA SIĘ WALKA NIE TYLKO KONKURENCYJNA

na rynku prasowym. Oto Stanisław Kubiak w „RZECZYWISTOŚCI" (nr 9 z 26 lutego 1984 r.) donosi w artykule *„Wiatr (mącący) od morza"* o ostrej polemice gdańskiego „Wybrzeża" z jego artykułami o sytuacji materialnej i zarobkach marynarzy PLO. Chodzi przede wszystkim o te zarobki, które nie wynikają z umowy o pracę, a są wynikiem zajęcia dodatkowego, czyli handlu. W artykule sporo pretensji pod adresem „Wybrzeża" oraz innych pism z Wybrzeża. Przy okazji dowiadujemy się, że „Wybrzeże" rozchodzi się w nakładzie 100 tysięcy egzemplarzy, a „Rzeczywistość" ma na Wybrzeżu Gdańskim około 2 tysiące czytelników.

Trudno jest sprecyzować racje obu stron, należałoby sięgnąć po argumenty przedstawione w poprzednich artykułach tak Stanisława Kubiaka w „Rzeczywistości", jak i Przemysława Kuciewicza w „Wybrzeżu", bowiem w *„Wietrze (mącącym) od morza"* Stanisław Kubiak bardziej polemizuje z intencjami niż z argumentami. Artykuł w każdym razie wart lektury.

Polemikę na inny temat podjął „Tygodnik Współczesny — Argumenty" piórem Ewy Zarzyckiej. Niedawno relacjonowałem artykuł Danuty Dąbrowskiej z „Razem"

O PRAWOSŁAWIU W POLSCE

Artykuł ten nosił tytuł *„Wszystkie barwy ikony"*. Teraz w „ARGUMENTACH" (nr 10 z 4 marca 1984 r.) Ewa Zarzycka w artykule pt. *„Mity i legendy o polskim prawosławiu"* zarzuca Danucie Dąbrowskiej poważne błędy i uchybienia.

„W sumie artykuł „Wszystkie barwy ikony" — pisze Ewa Zarzycka — *zawiera wszystkie odcienie nieścisłości, przeinaczeń, niedopatrzeń a w niektórych przypadkach wręcz historycznych błędów — od biskupstwa prawosławnego w IX wieku w Kamieniu Pomorskim do prawosławnych Litwinów. Zaiste różnorodność duża, ale chyba nie o takie barwy chodziło."*

Nie wnikając w istotę sporu trzeba powiedzieć, że my rzeczywiście mało wiemy o prawosławiu w Polsce. Przywykliśmy szczycić się naszą tradycyjną tolerancją, a ona chyba wymaga również wiedzy. Żeby kogoś tolerować, trzeba o nim coś więcej wiedzieć poza tym, że jest. My o prawosławiu w Polsce na ogół wiemy tyle, że jest. A o innych religiach? Dobrze stało się, że TVP emituje cykl audycji prezentujących różne kościoły w Polsce. Ale sądzę, że to mało. Potrzeba więcej publikacji na ten temat, skoro naprawdę chcemy być tolerancyjni i równoprawnie traktować wszystkie kościoły działające w Polsce.

Michał Bołtryk przeprowadził rozmowę z arcybiskupem Bazylim — Metropolitą Warszawskim i całej Polski i opublikował ją w „PRZEGLĄDZIE TYGODNIOWYM" (nr 10 z 4 marca 1984 r.) pod tytułem: *„Prawosławie"*. Otóż w tej rozmowie jest wiele rzeczy interesujących, ale jedno stwierdzenie jest szczególnie znamienne dla naszej wiedzy o innych kościołach, choć mam wątpliwość czy my znów tak zbyt dużo wiemy akurat o Kościele katolickim.

— *„Kilka lat temu* — powiedział arcybiskup Bazyli — *wysoki urzędnik kurii biskupiej w Warszawie bardzo się zdziwił słysząc, że rozmawiam po polsku. „To wy umiecie po polsku? Tak was wykształcili w cerkwi?" — pytał.*

Ano właśnie! Warto więc za arcybiskupem Bazylim powtórzyć kilka faktów z przeszłości i teraźniejszości prawosławia w Polsce. Jest obecnie prawosławnych około 250 tysięcy, należą do nich: Polacy, Białorusini, Rosjanie, Łemkowie, Grecy, Ukraińcy. Nabożeństwa w cerkwi odbywają się w języku staro-cerkiewno-słowiańskim. *„Natomiast kazania — wedle życzeń wiernych. W wielu miastach — w języku polskim. Każdy z wiernych ma prawo zachowania tożsamości narodowej"*. Po wojnie wybudowano 35 cerkwi, teraz buduje się 12. Państwo pokrywa w 23 proc. koszty remontu cerkwi. W 1988 roku prawosławie w Polsce będzie obchodziło tysiąclecie istnienia.

Na zakończenie przeglądu prasy

DIALOGI Z MŁODYMI POLAKAMI

Urszuli Biełous z „ŻYCIA LITERACKIEGO" (nr 10 z 4 marca 1984 r.) z reportazu „Piwo z Pewexu podnosi autorytet".

— *„Za co pijecie to cinzano?*

— *Za forsę.*

— *Czyją?*

— *Starych.*

— *Co to jest: gerbery, sałata czy plastyki?*

— *Ojciec był w Libii na kontrakcie, jej starzy mają krawiectwo dla butików.*

— *Pomagasz rodzicom w krawiectwie?*

— *Po co? Mają furę szwaczek. Krawiectwa nie wybrałabym.*

— *A kim chciałabyś być?*

— *Modelką.*

— *A kimś takim jak Lidka Wasiak?*

— *A kto to jest Lidka?*

— *Miss Polonia.*

— *A, ta.*

— *A kto jest kanclerzem RFN?*

— *Co pani!"*

No właśnie, takie trudne pytania zadawać biednym dzieciakom. Oni są od używania życia, a nie od nauki.

LUCJAN BOGUSZ

Minął tydzień

W KOSMOSIE

krążące satelity nie tylko nieprzerwanie penetrują powierzchnię Ziemi w celach raczej wojskowych, ale też zaglądają w daleką przestrzeń. I oto międzynarodowa sonda kosmiczna „Iras" — wystrzelona wspólnymi siłami Anglii, Holandii i USA — dokonała przy pomocy teleskopu niebywałego odkrycia. Wedle pierwszych spostrzeżeń — a trwały one bardzo krótko — udało się zaobserwować planetę zbliżoną rozmiarami do Jowisza, która może się okazać 10 planetą naszego Układu Słonecznego. Ustalono tylko, że temperatura tej planety wynosi około — 230 stopni C i być może jest ciałem gazowym.

Tenże sam satelita „Iras" szuka przy pomocy teleskopu podczerwieni... bliźniaka naszego Słońca. Okazuje się bowiem, że ruch międzyplanetarnych sond, jak też skrajnych planet Układu Słonecznego jest czymś zakłócany. Zakłócenia te powodują odchylenia w ruchu sond i planet. Uczeni podejrzewają, że może to być bądź drugie Słońce, gdyby nasza gwiazda była podwójna, a to się przecież często zdarza, albo nie odkryta jeszcze planeta okrążająca nasze Słońce w odległości około 12 mld km.

To drugie Słońce byłoby już wygasłą gwiazdą, która zakończyła cykl rozwojowy i jest dziś czarnym lub brunatnym karłem. Wydziela jeszcze trochę promieni podczerwonych i dzięki temu można ją będzie znaleźć.

Nie wykluczone jednak, że dostrzeżona przez „Iras" planeta jest poszukiwanym obiektem, który powoduje odchylenia w orbitach sond i planet.

GRYPA

na ogół zawsze zwiastuje wiosnę lub towarzyszy łagodnej zimie. Marzec — choć jeszcze może sypnąć śniegiem i skuć ziemię mrozem — bliski jest już wiośnie, a i zima tego roku była łagodna. Wszystko to sprzyja grypie. No i mamy ją. Albo, jak lekarze to określają, choroby grypopodobne. Objawy są dość przykre: ból gardła, gorączka, ogólne „połamanie". Powikłań to grypopodobne świństwo nie powoduje, ale zawsze lepiej z grypą poleżeć i dobrze się wygrzać. U nas niestety panuje moda chodzenia z grypą do pracy. W ten sposób przyczyniamy się tylko do roznoszenia zarazków.

WE WROCŁAWIU

dobiegają końca prace przy „Panoramie Racławickiej". Budzi to zrozumiałe zainteresowanie różnych instytucji i szkół, które proszą już o umożliwienie im obejrzenia malowidła. W rotundzie, gdzie zainstalowano „Panoramę Racławicką", trwają nadal prace. Zrobiono kilka wyjątków, między innymi dla załóg przedsiębiorstw uczestniczących w pracach, dla Polonii. Postanowiono jednak nie czynić już wyjątków, aż do zakończenia prac.

Przy okazji tej sprawy „Wieczór Wrocławia" przypomina, że podobna sytuacja była pod koniec 1893 roku we Lwowie, gdzie płacono grube pieniądze, aby obejrzeć malowidło przed ukończeniem prac. W styczniu 1894 roku twórcy zażądali całkowitego spokoju i proceder taki został przerwany.

W LEGNICY

— jak donosi „Gazeta Robotnicza" — wielkie poruszenie. Tamtejszy teatr przygotowuje premierę „Męża i żony" Aleksandra Fredry. Sztukę wystawiano już wielekroć i nigdy nie budziła takiej sensacji. Dlaczego teraz jest inaczej? Otóż — jak się okazuje — Bernard Ford-Hanaoka, reżyser spektaklu, rzecz całą potraktował nieco inaczej niż czynili to przed nim inni. Na scenie jest... goło i wesoło. Wszyscy flirtują z wszystkimi i to nie w sposób XIX-wieczny, ale bardziej... nowocześnie. Nim więc teatr w Legnicy wystawił premierowy spektakl było już głośno o sztuce Aleksandra Fredry i spektakl ten był tematem rozmów dosłownie w całym mieście. A przedtem o teatrze raczej się nie rozmawiało.

Dziwne!

NA ŁAMY „DZIENNIKA ŁÓDZKIEGO"

powróciła kolumna redagowana przez studentów łódzkich uczelni: „Dziennik Akademicki".

„Jej celem — piszą redaktorzy kolumny — **jest przedstawienie spraw ważnych dla środowiska studenckiego, komentowanie jej codziennego życia, problemów i bolączek, poruszanie kwestii dyskusyjnych, nie rozwiązanych czy na rozwiązanie czekających, prezentowanie działań społeczno-politycznych studentów, ich kultury, sportu i turystyki, a także — co tu dużo ukrywać — młodej organizacji studenckiej, jaką jest ZSP".**

„Dziennikowi Akademickiemu" życzymy długiego żywota. Na łamach „DŁ" ukazywał się już kiedyś „Dziennik Akademicki". Jego publikowanie zaprzestano w 1970 roku. Komu to przeszkadzało?

„VETO" PRZED SĄDEM

Tygodnik konsumentów „Veto" zaskarżyli do sądu mleczarze. A dokładnie przewodniczący Zarządu Krajowego Federacji ZZ Pracowników Spółdzielczości Mleczarskiej — Ryszard Dobrzyński. Uznał on, iż artykuły publikowane w „Veto" naruszyły dobre imię i godność pracowników przemysłu mleczarskiego.

Na pytanie Krzysztofa Krubskiego z „Dziennika Łódzkiego" jak czuje się zespół „Veto" szef redakcji Andrzej Nałęcz-Jawecki odpowiedział, że **„cała redakcja jest dobrej myśli"**. Mniemam, że Ryszard Dobrzyński też. Wkrótce pierwsze starcie.

OSTRZEGAMY KLIENTÓW „PEWEXU"

Kupując drogie trunki w firmowych opakowaniach można kupić wodę. Rzecz cała wydaje się dopiero w domu. Trudno to później udowodnić, gdzie nastąpiła cudowna zamiana koniaku na wodę. Ci, którzy ją dokonują, zdają sobie sprawę, że często drogie trunki kupuje się jako prezenty. Obdarowany nie będzie przecież robił rabanu, że dostał wodę. Wymieniają więc koniak na wodę zupełnie bezkarnie. A może dyrekcja „Pewexu" zrobiłaby tu i ówdzie nalot kontrolę!

Jeden z wyżej wzmiankowanych „eksponatów" do wglądu w redakcji.

W „EXPRESSIE ILUSTROWANYM"

nowa powieść rysunkowa według Juliusza Verne „Dwa lata wakacji". Zachęcamy młodych czytelników popularnej popołudniówki do jej czytania i oglądania. Niektórzy jednak zwierzali się nam, że wolą przygody Koka i Kajtka.

A. B. SEKATOR

Zbigniew Tempski

Nie pomnę już kiedyśmy się spotkali pierwszy raz i poznali. Było to chyba w Warszawie na kursie poświęconym problematyce RWPG. Kurs taki organizowało SDP, a trwał on dwa tygodnie. Była okazja do poznania kolegów z innych gazet i innych miast. Zbyszek pracował wówczas w „Słowie Polskim" we Wrocławiu.

Należeliśmy do klubu ekonomicznego SDP. Spotykaliśmy się więc często na sesjach wyjazdowych, na Targach Poznańskich. Byliśmy też razem na Targach Lipskich. Który to był rok? Połowa lat sześćdziesiątych. Każde takie spotkanie dawało okazję do długich rozmów, opowieści o sobie i swoich sprawach, do dyskusji. Poznawaliśmy lepiej siebie i nasze sprawy.

Zbyszek był rzetelny, dokładny, dociekliwy. Miał już za sobą doktorat z ekonomii. Dysponował dużą wiedzą. Przyjemnie było z nim dyskutować, człowiek mógł się wiele dowiedzieć i nauczyć.

Później kontakt nasz urwał się. Zbyszek wyjechał z Wrocławia. Przeniósł się do Warszawy. Był sekretarzem ZG SDP. Spotkaliśmy się chyba dopiero w marcu 1980 roku. Leciałem z delegacją SDP do Moskwy, a Zbyszek nas ekspediował. Spotkanie było krótkie, takie raczej przy okazji: — Co u ciebie? — Jakoś leci. A u ciebie? — nie narzekam. Po Nadzwyczajnym Zjeździe SDP Zbigniew Tempski przeszedł do pracy w Radiu Polskim.

Pewnego dnia dowiedziałem się, że Zbyszek został naczelnym redaktorem „Przeglądu Tygodniowego". Ucieszyłem się, ale spotkaliśmy się dopiero w Bydgoszczy pod koniec ubiegłego roku na naradzie naczelnych redaktorów pism kulturalno-społecznych. Mogliśmy wreszcie — po długiej przerwie — spokojnie pogadać, podzielić się doświadczeniami z początku niełatwych lat osiemdziesiątych. Spotkaliśmy się jeszcze w drodze powrotnej na dworcu we Włocławku. Zbyszek dojechał tam samochodem znajomego, ja zamierzałem zostać na noc u brata. On kupował bilet do Warszawy, ja do Łodzi. Ucieszyliśmy się niespodziewanym spotkaniem.

— Pamiętaj — powiedział Zbyszek — jak tylko będziesz w Warszawie, wpadnij!

— Bądź spokojny! Wpadnę!

Ale jakoś nie wyszło. Na nowy rok życzyłem mu zdrowia, dobrych tematów, autorów, stałych czytelników. Później jeszcze ze dwa razy rozmawialiśmy telefonicznie. Obiecywaliśmy sobie, że jak tylko będę w Warszawie, to koniecznie...

No i nie wpadnę. Nie ma już Zbyszka.

Nie miał łatwego życia. Nie gonił za sławą, popularnością. Lubił swoją pracę i dobrze ją wykonywał. Jak każdy z nas miał przyjaciół i wrogów. Wydawał się być spokojny, nie poddawał się emocjom, nie ulegał nastrojom. Wiele rozumiał. Ale nikt nie wie, ile go to wszystko kosztowało. Ot, i zapłacił życiem za nasz niespokojny, pełen napięć czas.

Żegnaj Zbyszku!

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Do tej samej rzeki nie można wejść dwa razy

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Dwukrotnie już zbierały się między zjazdami partii krajowe konferencje, zwane też „małymi zjazdami", ale dopiero po raz pierwszy spotkają się delegaci z ważnymi mandatami, którzy w lipcu 1981 roku decydowali o kształcie uchwał IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR. Będzie to w praktyce naszej partii wydarzenie nowe.

W tej samej sali spotkają się ci sami ludzie, aby ocenić jak realizowano uchwały, które przeszło 2,5 roku temu podjęli w imieniu i przy aprobacie całej niemal partii. Już sam ten fakt powoduje, że na Krajową Konferencję Delegatów patrzeć się będzie z oczekiwaniem i zainteresowaniem. Sądzę, że z tego właśnie powodu warto zwrócić uwagę na pewne — często niedoceniane i niezauważane — uwarunkowania.

I.

IX Nadzwyczajny Zjazd PZPR odbywał się w szczególnych warunkach. Toczyła się ostra walka polityczna. Od tego, jak przebiegną obrady Zjazdu partii zależał nie tylko jej los, ale i los socjalizmu w Polsce. Partia osłabiona, podzielona, targana sprzecznościami, atakowana, potrafiła zdobyć się nie tylko na nadanie historycznego znaczenia swoim uchwałom, bo nad tymi uchwałami, można powiedzieć bez przesady, pracowała niemal cała partia, ale jej delegaci wybrali na IX Zjeździe robotniczo-chłopski Komitet Centralny. Tego chyba przeciwnik polityczny nie spodziewał się, gdyż natychmiast po Zjeździe ostro i bez osłonek zaatakował i IX Zjazd, i partię.

Dziś są już inne warunki polityczne i społeczne. Nie znaczy to, że nadal nie toczy się walka polityczna. Ale przybiera inne formy, prowadzona jest innymi metodami. Wygasły emocje. Sytuacja społeczno-polityczna stabilizuje się, co nie znaczy, że partia odzyskała już pełne zaufanie społeczeństwa, że rozwiązane zostały wszystkie problemy, że wyszliśmy z kryzysu. Ale jest to inny czas, inne warunki polityczne i społeczne, inna atmosfera i inne powinny być oczekiwania od przebiegu i wyników Krajowej Konferencji Delegatów. Wydaje mi się jednak, że nie wszyscy to rozumieją i dostrzegają.

Tak więc w połowie marca w tej samej sali spotkają się delegaci na IX Zjazd PZPR. Czy rzeczywiście ci sami? Po pierwsze — będzie nas mniej o blisko 80 osób, które z różnych powodów utraciły mandaty. Po drugie — mamy za sobą nowe doświadczenia, jak i nowe dokonania. Inna jest dziś sytuacja w partii, inna w społeczeństwie. A więc, choć formalnie jesteśmy ci sami, to przecież nie tacy sami poprzez nowe doświadczenia, uwarunkowania, rezultaty naszej działalności. A i partia choć jest ta sama, to przecież nie jest taka sama. Sporo zmieniło się przez te przeszło 2,5 roku.

Uchwały IX Zjazdu PZPR — poza jawnymi przeciwnikami — przyjęte zostały z aprobatą. Spełniały bowiem społeczne oczekiwanie. Zjazd opowiedział się przecież za robotniczym charakterem partii, za marksizmem-leninizmem jako ideową podstawą działania i rozwiązywania sprzeczności, za socjalizmem jako naczelnym zadaniem partii, za kierowniczą i przewodnią rolą partii, za umacnianiem państwa, postępem demokratyzacji systemu politycznego w PRL, za odbudową i utrwalaniem więzi partii z jej klasą i z całym społeczeństwem. Opowiadano się więc za linią porozumienia i walki — jak określono linię IX Zjazdu. Zjazd ten bowiem wypowiedział się też zdecydowanie w obronie socjalizmu, przeciw tym wszystkim siłom, które chciałyby przekreślić dorobek Polski Ludowej, zawrócić Polskę z jej drogi rozwoju, a przez to zmienić układ sił politycznych w Europie i na świecie.

Czy jednak wszyscy rzeczywiście byli i są zadowoleni z uchwał IX Zjazdu PZPR? Czy nie próbowano w przeszłości swoiście uchwał tych interpretować, albo poprzez akcentowanie porozumienia, albo poprzez akcentowanie walki. Ale też z czasem pojawiły się próby rewidowania uchwał IX Zjazdu. Może jeszcze nieśmiałe, może marginesowe. Na przykład na konferencji sprawozdawczo-wyborczej w Ozorkowie padła propozycja wprowadzenia do Statutu PZPR takiego sformułowania, aby każdy członek partii przechodząc na emeryturę musiał przenieść się do terenowej organizacji partyjnej. Organizacje te przeżywają poważny kryzys. Ich członkowie starzeją się, średnia wieku w niektórych przekracza 65 lat, wielu starszych towarzyszy choruje i nie może już uczestniczyć w pracach swej organizacji partyjnej. Są to wszystko sprawy trudne i skomplikowane. Instancje partyjne muszą znaleźć rozwiązanie, ale nie osiągnie się tego tylko zmianą zapisu w Statucie partii.

Musi nas obowiązywać szacunek do własnych uchwał, niezależnie, czy to będą uchwały zjazdu, konferencji, komitetu czy organizacji. Raz podjęte muszą obowiązywać wszystkich i być realizowane. Nauczyliśmy się już podejmowania dobrych uchwał. Teraz pora nauczyć się pełnej, upartej i wytrwałej ich realizacji.

Zdaję sobie sprawę z tego, że są i tacy członkowie partii, którzy bardzo chętnie zmieniliby to i owo w uchwałach IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR. Na przykład szybko zrezygnowali z realizacji reformy gospodarczej.

II.

Nie mam złudzeń co do tego, że realizacja najbardziej słusznej i aprobowanej przez wszystkich linii politycznej nie może się odbywać prosto, bez konfliktów, zahamowań i odchyleń. Realizują ją bowiem żywi ludzie, którzy mają swoje poglądy, przyzwyczajenia, układy, nawyki. To właśnie ci żywi ludzie nadają określony kształt każdej linii politycznej, każdej politycznej i społecznej działalności. Dlatego każda partia tworzy mechanizmy kontrolne i zapobiegające wszelkim wypaczeniom i odchodzeniom od generalnej linii. Chodzi więc o to, aby te mechanizmy sprawnie funkcjonowały.

„Prawa i obowiązki członków partii — stwierdza uchwała IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR — *całokształt norm jej życia wewnętrznego oraz ramy swobody krytyki i dyskusji wyznaczają leninowskie zasady centralizmu demokratycznego — organiczne połączenie w codziennej praktyce szerokiego demokratyzmu i koniecznych gwarancji zapewniających swartość partii.*

W celu całkowitego przezwyciężania naruszania demokracji wewnątrzpartyjnej należy położyć nacisk na przestrzeganie prawa demokratycznego wyboru władz partyjnych i oddolnej kontroli nad ich działalnością, na realizację praw i obowiązków członków PZPR oraz organizacji i instancji partyjnych...

W życiu partii muszą obowiązywać proste, bezpośrednie i szczere stosunki między wszystkimi towarzyszami, niezależnie od pełnionych przez nich funkcji, rzetelność i prawdomówność, odwaga cywilna i poczucie odpowiedzialności, stawianie sobie wysokich wymagań, silne poczucie więzi ideowej i wzajemne zaufanie".

Jednak najpiękniejsze uchwały, najsłuszniejsze, najtrafniej tworzące mechanizmy pozostaną tylko uchwałami, jeśli nie staną się podstawą codziennej praktyki wszystkich organizacji i instancji partyjnych. Czy stan ten już został osiągnięty? Mam co do tego poważne wątpliwości. Mało jest jeszcze takich organizacji, które realizowałyby w praktyce wszystkie zalecenia i postanowienia tak IX Zjazdu, jak i plenarnych posiedzeń KC PZPR. Wszakże minionа kampania sprawozdawczo-wyborcza pokazała, że proces ożywienia działalności partyjnej, na przykład w wielu grupach partyjnych, w podstawowych organizacjach, postępuje powoli, ale systematycznie.

Słabość podstawowych, terenowych, wiejskich organizacji partyjnych, niedoskonałość występująca w ich pracy, nie tylko powodują brak sprawności w realizacji kierowniczej i przewodniej roli partii, ale też mogą doprowadzić do wypaczeń w pracy aparatu partyjnego.

„Należy realizować zawarte w „Statucie" — stwierdza uchwała IX Zjazdu PZPR — *nowe zasady działania aparatu partyjnego i doboru jego kadr, wcielać zasadę jego służebności wobec instancji i organizacji podstawowych, eliminowania praktyki wyręczania organów wybieralnych i zastępowania aparatu państwowego, niedopuszczalności działania poza lub wbrew kolegialnym decyzjom władz partyjnych".*

Sprawność działania partii zależy zarówno od sprawności działania organizacji i instancji, jak i aparatu partyjnego. Tak, jak partia spełnia służebną rolę wobec klasy robotniczej, wobec społeczeństwa, tak aparat partyjny spełnia służebną rolę wobec władz partyjnych, wobec organizacji partyjnych. W pracy aparatu partyjnego, w jego składzie personalnym wiele zmieniło się na lepsze, ale groźby wypaczeń, odchodzenia od statutowych założeń nigdy nie wolno ani lekceważyć, ani pomniejszać. W aparacie partyjnym pracują różni ludzie, mający różne doświadczenie, wiedzę, predyspozycje, przyzwyczajenia, poglądy. Mogą oni nie tylko dowolnie interpretować sens uchwał partyjnych, ale też tak wykonywać polecenia władzy partyjnej, jak je pojmują lub — co jest bardziej niebezpieczne — jak im wygodniej.

Problem aparatu partyjnego jest sprawą bardzo ważną i szeroko w różnych kręgach aktywu partyjnego dyskutowaną. Ludzie pracujący w aparacie partyjnym pytają na przykład o swoją dalszą przyszłość, o drogi swego intelektualnego i zawodowego rozwoju. Czy wszyscy mają zostać „zawodowymi politykami" lub „zawodowymi rewolucjonistami"? Czy też praca w aparacie partyjnym, często bezpośrednio po studiach, stanowi drogę do awansu? I jakie ma to znaczenie dla codziennej i przyszłej działalności partii?

III.

„Konieczne jest — stwierdza uchwała IX Zjazdu PZPR — *stworzenie warunków zapewniających w partii ścisłą więź między odważną, wnikliwą myślą teoretyczną a codzienną działalnością, czerpanie z rozwoju teorii i krytycznego stosunku do rzeczywistości, inspiracji do formułowania programu i polityki partii".*

Po IX Zjeździe PZPR podjęto nie tylko aktualną problematykę na posiedzeniach KC, ale też uczyniono próbę odpowiedzi na kilka podstawowych pytań. Na przykład w referacie Józefa Czyrka wygłoszonym na XII plenarnym posiedzeniu KC PZPR, wyrażony został stosunek partii do kościołów działających w Polsce, a Kościoła katolickiego w szczególności. Określenie tego stosunku było koniecznością, wynikało z zachodzących aktualnie wydarzeń, kiedy w kościołach chronili się ludzie działający w politycznej i antypaństwowej opozycji, jak również wynikało z pytań i wątpliwości nurtujących wielu członków partii. Oto, co powiedział wówczas Józef Czyrek:

„Kościoły i związki wyznaniowe mają u nas pełną swobodę w wykonywaniu swych funkcji religijnych. Przestrzegana jest zasada wolności sumienia. W Polsce Ludowej została wprowadzona w życie zasada i praktyka rozdziału Kościoła od państwa, którą w wielu krajach urzeczywistniono w okresach nawet znacznie historycznie wcześniejszych. Poszanowanie tej zasady stanowi jedną z podstawowych przesłanek stosunków w każdym nowoczesnym państwie. Byliśmy i jesteśmy za tym, by stosunki pomiędzy państwem a Kościołem układały się konstruktywnie, z pożytkiem dla Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Jest pozytywnym faktem, że również kierownictwo Kościoła katolickiego i przeważająca część duchowieństwa są zainteresowane takim właśnie ułożeniem stosunków z socjalistycznym państwem.

Natomiast sprzeczne z takim podejściem są próby naruszania świeckości państwa, upolitycznianie różnic światopoglądowych, przypadki wykorzystywania uroczystości i miejsc kultu religijnego dla symboli i poczynań o wymowie antypaństwowej, wymierzonych w spokój społeczny. Takie tendencje są szkodliwe dla narodu i państwa, niewątpliwie także i dla Kościoła. Nie możemy więc i nie będziemy ich przemilczać".

Na XII plenarnym posiedzeniu KC PZPR nie odpowiedziano na wszystkie wątpliwości, nie podjęto też szeregu problemów pracy ideologicznej partii. Nie przypadkiem poprzednie takie posiedzenie KC, na którym zajmowano się sprawami ideologicznymi, obradowało na dwadzieścia lat przed XIII posiedzeniem KC PZPR. Również i w październiku 1983 roku nie rozwiązano wszystkich problemów, nie odpowiedziano na wszystkie pytania. W uchwale XIII Plenum KC stwierdzono między innymi:

„Komitet Centralny za szczególnie ważne zadanie uznaje walkę o zapewnienie dominującej roli marksizmu-leninizmu w życiu umysłowym kraju, kształtowanie socjalistycznej świadomości politycznej, ekonomicznej, historycznej i prawnej, rozwijanie pracy wychowawczej wśród młodzieży.

I. Biuro Polityczne rozpatrzy kompleksowy program wiążący plany badań naukowych z najważniejszymi problemami ideologicznymi oraz potrzebami politycznego, gospodarczego i kulturalnego rozwoju kraju..."

W ten sposób postawiono przed naukami społecznymi nowe, ważne zadania, stwierdzając również potrzebę wprowadzenia zmian w strukturze tych nauk, jak i też stworzenie programu polityki kadrowej w naukach społecznych, który obejmowałby *„całokształt procesu kształcenia i doskonalenia kadr naukowych".*

Niepokoić i zmuszać do zastanowienia powinien natomiast fakt, że do tej pory nie udało się opracować takiej wersji Deklaracji Ideowo-Programowej, która zadowoliłaby większość członków partii. Deklarację tę ma przyjąć Krajowa Konferencja Delegatów, prace nad nią jeszcze trwają. Sądzę, że również trwać będą i w czasie obrad Krajowej Konferencji Delegatów.

W moim przekonaniu brak do tej pory Deklaracji Ideowo-Programowej i ciągłe spory nad jej kształtem wynikają z ideowej słabości partii, z faktu, że wielu jej członków nie zna dogłębnie marksizmu-leninizmu, że wszyscy — mający przecież różne poglądy — chcieliby w sformułowaniach Deklaracji Ideowo-Programowej widzieć odbicie ich poglądów, a nie tylko precyzyjnie określonej strategii i taktyki partii w realizowaniu linii IX Zjazdu PZPR, w realizacji budownictwa socjalistycznego w Polsce. Jeśli toczymy spory, to na ogół nie o pryncypia, nie o podstawowe założenia, a o sposoby ich realizacji. Niech więc się takie spory toczą, niech je weryfikuje praktyka. Porozummy się przede wszystkim co do spraw zasadniczych. Sądzę, że takie porozumienie osiągniemy na Krajowej Konferencji Delegatów.

Nie rozwiąże to oczywiście wszystkich problemów związanych z ideologią partii, z koniecznością rozwijania myśli teoretycznej i wiązania jej z praktyką. Potrzeba śmiałości w stawianiu pytań i szukaniu na nie odpowiedzi.

IV.

W uchwale IX Zjazdu PZPR powiedziano o państwie:

„Podstawowym narzędziem panowania klasy robotniczej jest państwo socjalistycznej demokracji, wobec którego partia pełni rolę kierowniczą".

„Warunkiem rozwoju demokracji socjalistycznej jest silne państwo i otoczony zaufaniem, służebny wobec obywateli, sprawny i skromny aparat państwowy. Siła państwa i autorytet jego aparatu są możliwe jedynie w warunkach codziennej praktyki rzeczywistego ludowładztwa, samorządności, jawności życia publicznego i społecznej kontroli nad wszystkimi jego dziedzinami".

Zjazd opowiedział się też za szeroko rozumianymi reformami oraz za porządkowaniem systemu prawnego:

„Partia widzi potrzebę dostosowania socjalistycznego systemu prawnego do potrzeb i aspiracji ludzi pracy. Opowiada się za szybkim uchwaleniem nowych ważnych ustaw..."

I takie ustawy zostały uchwalone. Można powiedzieć, że Sejm obecnej kadencji jest Sejmem Ustawodawczym, porządkującym nasz system prawny. Jest tego tyle, że czasem trudno się połapać w ogromie nowych i potrzebnych ustaw. Niektórzy nawet boją się, że nastąpi dewaluacja ustawodawstwa, że ludzie przestaną przejmować się ustawami, zamiast ich przestrzegać i nimi się kierować. Ale ustawy podejmuje się z myślą o przyszłości, więc i skutki tej ustawodawczej pracy dadzą w pełni znać o sobie dopiero za jakiś czas. Zwykle wprowadzanie nowych ustaw w życie nie odbywa się bez trudu i konfliktów. Najtrwalsze są stare przyzwyczajenia i nawyki.

Spór o charakter i rolę państwa we wczesnej fazie socjalizmu nie jest niczym nowym. Gdyby nie było tego sporu Włodzimierz Lenin nie napisałby broszury „Państwo a rewolucja". W broszurze tej Włodzimierz Lenin bez ogródek przyznał, że *„w okresie przejściowym od kapitalizmu do komunizmu dławienie jest jeszcze niezbędne, ale już dławienie wyzyskującej mniejszości przez wyzyskiwaną większość. Specjalny aparat, specjalna machina do dławienia, „państwo" jest jeszcze niezbędne, ale jest to już państwo przejściowe...".* W komunizmie państwo stanie się zbędne, *„gdyż nie ma kogo dławić — „nie ma kogo" w sensie klasy".* Ale to raczej daleka przyszłość. Nas bardziej interesuje to, jakie dziś powinno być państwo. Stąd przed XIII plenarnym posiedzeniem KC PZPR, a i później w dyskusji pytania o dyktaturę proletariatu.

Państwo nasze w minionym 40-leciu przechodziło różne fazy, przechodziło rewolucję. Od państwa demokracji ludowej poprzez wypaczenia dyktatury proletariatu, aż do państwa opiekuńczego, wszystkich równo traktującego, wszystkim pragnącego dać więcej niż na to swoją pracą zasłużyli. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że idea takiego państwa narodziła się zbyt wcześnie, a przez to naruszone zostały podstawowe zasady socjalizmu — przede wszystkim ta, wedle której od każdego powinno się wymagać według jego możliwości, a każdemu dawać tyle, ile sobie na to pracą zasłużył. Dopiero dziś zaczynamy eksperymentować z systemami płac, które takiej zasadzie odpowiadałyby i spełniałyby ciągle aktualny postulat sprawiedliwości społecznej.

W czerwcu 1948 roku odbyło się plenarne posiedzenie KC PPR, na którym Władysław Gomułka wygłosił referat. W referacie tym powiedział między innymi:

„Dyktatura proletariatu rodzi się z okowów i kontrrewolucyjnych walk kapitalistycznych i obszarniczych warstw posiadających, które zostały wywłaszczone ekonomicznie i pozbawione władzy politycznej, a opory reakcji przeciwko reformom społecznym w krajach demokracji ludowej były bez porównania słabsze od oporu reakcji rosyjskiej w latach rewolucji w Rosji, a siły klasy robotniczej tych krajów były znacznie większe, a warunki dla złamania oporu reakcji znacznie lepsze. Opór reakcji w krajach demokracji ludowej był nie tylko dlatego słabszy, że siły klasy robotniczej były większe w związku z tym, że kraje demokracji ludowej wyzwolone zostały przez Armię Radziecką, reakcja miała mniej sił oporu i dlatego, że w rezultacie związania się z hitleryzmem i współdziałania z okupantem oraz bierność wobec walki narodowowyzwoleńczej, prowadzonej przez masy ludowe, została podcięta, została odizolowana w pokaźnym stopniu od narodu. W tych warunkach w krajach demokracji ludowej nie zaistniała konieczność łamania oporu reakcji na drodze dyktatury proletariatu".

Czy to znaczy, że Władysław Gomułka w ogóle neguje dyktaturę proletariatu? Nie, to znaczy tylko, że zwraca uwagę na odmienność sposobu realizowania tego samego celu — zdobycia i utrzymania władzy przez proletariat. Bo w Polsce przecież ginęli ludzie w obronie tej władzy, toczyła się walka zbrojna między przeciwnikami a zwolennikami socjalizmu, a nawet po prostu demokracji. Z tego więc może wynikać tylko jedno, że dyktatura proletariatu nie ma tylko jednej formy, a w różnych warunkach historycznych i politycznych może różnie się wyrażać. Bowiem jej istota — zdławienie oporu klasy obalonej jest aktualna w każdych warunkach, gdzie klasa robotnicza bierze w swoje ręce władzę. Sposoby tego dławienia oporu mogą być różne. Nie ulega więc wątpliwości, że klasie robotniczej dla obrony jej interesów i dla obrony prawidłowego rozwoju narodu niezbędne jest silne państwo, działające w imię obrony tych interesów różnymi sposobami.

Ale tu rodzi się kolejna wątpliwość. Narastający latami kryzys, a także realizacja koncepcji „jedności moralno-politycznej narodu", a więc odejście od klasowego widzenia spraw i sprzeczności, przyczyniło się do osłabienia państwa. Musimy więc je odbudować w warunkach kryzysu, utraty zaufania, upadku różnych wartości, nacisku ze strony sił imperialistycznych oraz ośrodków antysocjalistycznych. Czy umacnianie państwa w tych warunkach nie może zrodzić skutków ubocznych? Na przykład — silnego rozwoju biurokracji. A poza tym, czy w grupach biurokratycznych nie zrodzi się idea „państwa dla państwa", co może prowadzić do arogancji w sprawowaniu władzy, nieliczenia się z racjami obywatela, klikowości i sprzyjać karierowiczostwu. Oczywiście, partia sprawując kierowniczą rolę w państwie ma w swojej dyspozycji system kontrolny, który powinien szybko wykrywać takie zjawiska, sygnalizować o nich i likwidować je. Istnieją mechanizmy szybkiego ostrzegania i zapobiegania, ale czy one sprawnie działają?

Obawiam się, że obecnie, kiedy partia jest odpowiedzialna za stworzenie silnego państwa, a jednocześnie pełniąc służebną rolę wobec klasy robotniczej, może być potraktowana w społecznej świadomości jako ta siła, której bardziej zależy na utrwaleniu silnego państwa, niż na obronie interesów klasowych ludzi pracy. A przecież między silnym i sprawnym państwem socjalistycznym i obroną interesów ludzi pracy nie powinno być sprzeczności.

V.

Krajowa Konferencja Delegatów ma więc nie tylko ocenić dotychczasową realizację uchwał IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR, ale nakreślić kierunki ideologicznych, politycznych i praktycznych działań dla budownictwa socjalistycznego w PRL w najbliższych latach. Ma też wytyczyć kierunki badań dla nauk społecznych, aby teoretyczne rozwiązania i ustalenia mogły wzbogacać naszą praktykę.

Z historii stosunków polsko – radzieckich (2)

WOJCIECH MATERSKI

Po traktacie ryskim

Podpisany w marcu 1921 r. w Rydze traktat pokojowy, kończący wojnę polsko-radziecką, zwiastował zasadniczy zwrot w stosunkach wzajemnych. Nie nastąpił on jednakże wraz z ratyfikacją traktatu; niedobra praktyka okresu wcześniejszego siłą bezwładu rozciągnęła się na wiele miesięcy po marcu 1921. Prawie pół roku trwał spór wokół rangi przedstawicielstw dyplomatycznych, mnożyły się nieporozumienia wokół obecności na terytorium Polski oddziałów białogwardyjskich oraz byłej armii ukraińskiej atamana Petlury (czego traktat ryski wyraźnie zabraniał), przeciągały się w nieskończoność pertraktacje na temat gwarantowanych przez traktat szeregu konwencji i porozumień normujących w szczegółach współżycie obu organizmów państwowych.

Na mocy układu preliminaryjnego, poprzedzającego traktat pokojowy, wszystkie niepolskie oddziały zostały w listopadzie 1920 r. rozbrojone i internowane w obozach jenieckich na terytorium II Rzeczypospolitej — m.in. w Kaliszu, Aleksandrowie, Wadowicach i Strzałkowie. Zgromadzonych tam zostało w sumie kilkanaście tysięcy ludzi, którzy choć bez broni — ale z zachowaniem organizacji wojskowej — stanowili liczącą się siłę. Odbywano normalne zajęcia, w tym szkolenie polityczne, utrzymywano ścisłe kontakty z grasującymi na pograniczu polsko-radzieckim oddziałami kontrrewolucyjnymi. Działający z ramienia połączonych sztabów internowanych oddziałów Jurko Tiutiunnyk — mając ciche poparcie ze strony II Oddziału Sztabu Generalnego Wojska Polskiego — nieomal jawnie przygotowywał „akcję powstańczą". II Oddział udzielał zarazem poparcia tajnej organizacji białogwardyjskiej, kierowanej przez Borisa Sawinkowa. Zaniepokojone tym wszystkim władze radzieckie słały noty protestacyjne do rządu polskiego, domagając się respektowania przyjętych przezeń zobowiązań.

Przełom nastąpił dopiero w październiku 1921 r., kiedy to na mocy dwustronnego protokołu, znanego w literaturze historycznej jako Protokół Karachan—Dąbski, rząd polski zobowiązał się do wydalenia czternastu imiennie nazwanych czołowych dowódców białogwardyjskich. Nie położyło to kresu działalności białogwardyjskiej w Polsce, niemniej znacznie ją zahamowało. Odtąd zmieniły się metody funkcjonowania na terenie II Rzeczypospolitej ośrodków kontrrewolucyjnych — miejsce półjawnego szkolenia zajęło konspiracyjne przygotowywanie akcji terrorystycznych. Nie zorganizowano ich zbyt wiele, a najbardziej głośną i szkodliwą dla klimatu stosunków pomiędzy Warszawą a Moskwą stało się zabójstwo w czerwcu 1927 r. na dworcu w Warszawie posła radzieckiego w Polsce Piotra Wojkowa.

W trakcie pertraktacji ryskich obie strony zadeklarowały chęć nawiązania współpracy gospodarczej i podpisania traktatu handlowego, opartego na klauzuli największego uprzywilejowania. Komplementarność obu organizmów gospodarczych, przez wiele dziesięcioleci stanowiących jedną całość, była ewidentna. Traktatem interesowała się przede wszystkim Rosja Radziecka, cierpiąca na deficyt wielu podstawowych produktów przemysłowych, dla której tej rangi porozumienie z II Rzeczypospolitą miało na początku lat dwudziestych — w warunkach izolacji politycznej i gospodarczej, powszechnej niechęci zagranicy — duże znaczenie tak gospodarcze, jak i propagandowe i prestiżowe. Pertraktacje co prawda podjęto, ale porozumienia nie udało się uzyskać. Polscy politycy i działacze gospodarczy usiłowali zająć rolę pośrednika w przyszłym — jak zakładano — handlu republik radzieckich z Zachodem, a zarazem wymusić za układ handlowy szereg ustępstw, co najmniej warunkując go wywiązaniem się natychmiastowym drugiej strony ze zobowiązań gospodarczych i finansowych ujętych w traktacie ryskim. Trudno odmówić polityce tej realizmu: Rosja Radziecka potrzebowała przede wszystkim kredytów, a tych w odpowiedniej masie polscy przemysłowcy nie byli w stanie zapewnić. Ożywienie powiązań gospodarczych mogło więc nastąpić wyłącznie przy wydatnej pomocy finansowej ze środków budżetowych państwa, lecz wymagało to i śmiałej koncepcji gospodarczej, i przezwyciężenia zahamowań natury politycznej. Tu leżał dylemat.

Tymczasem życie szło naprzód. W roku 1922 układ sił na arenie międzynarodowej począł się zmieniać na korzyść republik radzieckich. Rosja Radziecka została zaproszona na międzynarodową konferencję do Genui w sprawach gospodarczych i finansowych, co było uznaniem de facto suwerenności władzy rad. W trakcie tejże konferencji zaszedł znamienny fakt, mający duże znaczenie dla polityki zagranicznej Kraju Rad i jego miejsca w stosunkach międzynarodowych — podpisanie (poza porządkiem obrad) traktatu radziecko-niemieckiego, zwanego Traktatem Rapallskim, którego myślą przewodnią było poszukiwanie przeciwwagi dla systemu wersalskiego.

Zaprojektowany w Wersalu przez zwycięskie państwa Ententy nowy ład pokojowy uznany został bowiem w Rosji Radzieckiej za potencjalny blok antyradziecki; był też ze zrozumiałych względów uznawany przez Berlin za wysoce krzywdzący. Wypływająca z różnych pobudek wrogość obu państw do rozwiązań wersalskich stała się katalizatorem Traktatu Rapallskiego, stanowiącego niewątpliwy sukces obu izolowanych państw. Grupa polityków niemieckich, która forsowała traktat z „czerwoną" Rosją traktowała go jako wstęp do szerszej akcji dyplomatycznej, polityczno-gospodarczej i — ewentualnie, w przyszłości — także wojskowej. Takie postawienie celów traktatu nie leżało w interesach Moskwy, która politykę rapallską rozumiała — od samego początku — jako środek nacisku na przełamanie wciąż istniejącego wokół niej pierścienia izolacji politycznej i gospodarczej. Układ rapallski oraz krążące spekulacje na temat jego tajnych klauzul stawiały w trudnej sytuacji rząd polski. Niemniej — interesujące — Warszawa właśnie wówczas zaktywizowała kontakty z republikami radzieckimi, o czym świadczyło m.in. poparcie dla inicjatywy zwołania w Moskwie, w grudniu 1922 r. regionalnej konferencji w sprawach redukcji zbrojeń i czynny w niej udział.

W grudniu 1922 r. nastąpiło zjednoczenie radzieckich republik Rosji, Białorusi, Ukrainy i Zakaukazia — powstał Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich. Był to fakt dużej wagi — także dla Polski, w której kręgach politycznych nadal była żywa idea dekompozycji republik radzieckich, idea tracąca w tym stanie rzeczy rację bytu. Stawiał na nią przede wszystkim tzw. obóz belwederski, skupiony wokół marszałka Józefa Piłsudskiego. Utworzenie ZSRR zbiegło się z czasowym zmierzchem wpływów tej grupy.

Pod koniec maja 1923 r. po raz pierwszy władzę w Polsce objął gabinet bez udziału piłsudczyków, oparty na tzw. większości polskiej — koalicja Polskiego Stronnictwa Ludowego-„Piast" i Narodowej Demokracji (endecji). Na czele rządu stanął prezes PSL-„Piast" Wincenty Witos. Wydawało się, iż nadszedł moment zasadniczych korekt w stosunkach polsko-radzieckich. Po raz pierwszy w imieniu rządu padło stwierdzenie (w Sejmie), że prawdziwy i jedyny wróg Polski znajduje się na Zachodzie i są nim Niemcy, natomiast ze Związkiem Radzieckim — niezależnie od różnic ideologicznych — należy podjąć współpracę, także polityczną. Jednak prędko okazało się, że są to wyłącznie deklaracje. Nadal, mimo formalnego uregulowania traktatowego i działalności odpowiednich komisji mieszanych (repatriacyjnej, reewakuacyjnej, rozrachunkowej, specjalnej, delimitacyjnej), praktycznie żadna sfera stosunków wzajemnych nie została do końca uregulowana.

Głęboki regres gospodarczy (rozwarcie nożyc cen, inflacja, a następnie — hiperinflacja), który ogarnął II Rzeczpospolitą pod koniec 1923 r. i na jego tle ostre napięcia społeczne (m.in. wypadki krakowskie), spowodowały upadek rządu Witosa. W bardzo skomplikowanej sytuacji Sejm sięgnął po środki nadzwyczajne powołując pozaparlamentarny gabinet specjalistów. Takie rozwiązanie uznano za niosące największą szansę przezwyciężenia impasu. Na czele gabinetu stanął ekonomista Władysław Grabski. Jego polityka skierowana była przede wszystkim na wyciągnięcie kraju z recesji, wszelkie inne zagadnienia — w tym polityka zagraniczna — zostały podporządkowane temu celowi zasadniczemu. Szukając możliwości trwałego wyjścia z kolosalnych trudności gospodarczych które przeżywał kraj, premier zwrócił uwagę na ogromne możliwości gospodarcze kryjące się w handlu z ZSRR. Jednak zaproponowany przez niego selektywny model poprawy stosunków polsko-radzieckich — w pierwszym etapie na płaszczyźnie gospodarczej, nie został przez Moskwę przyjęty. Gospodarka i handel zagraniczny Kraju Rad były już wówczas na tyle silne, że porozumienie gospodarcze z Polską zeszło na plan dalszy, straciło ten walor atrakcyjności, który miało bezpośrednio po traktacie ryskim, gdy nie były jeszcze zawarte porozumienia o wymianie handlowej z Włochami, Wielką Brytanią, Niemcami czy też Skandynawią.

Istotna pozostawała natomiast kwestia zdecydowanej zmiany klimatu stosunków politycznych, ale tej Grabski rozumiejący swą misję jako przede wszystkim gospodarczą i nie mający odpowiedniego oparcia w programie określonej, konkretnej partii wolał nie podejmować. Niemniej szereg spraw udało się załatwić — uregulowano szczególnie ważne dla strony polskiej stosunki konsularne, sprawy kolejnictwa, pocztowo-telegraficzne, sanitarne, wymiany personalnej, rewindykacji i reewakuacji, doprowadzono do końca (formalnie) masową repatriację. Duże zasługi dla uzyskania tych porozumień położył nowy poseł polski w Moskwie Ludwik Darowski.

Rozwój sytuacji w Europie wiosną i latem 1925 r. postawił zarówno Polskę, jak i Związek Radziecki w bardzo trudnym położeniu. Dyplomacja brytyjska, przy aprobacie Paryża rozpoczęła przygotowania do zwołania konferencji międzynarodowej z udziałem Niemiec, mającej na celu zagwarantowanie granic ich zachodnich sąsiadów — Francji i Belgii. Oznaczało to de facto wolną rękę dla Republiki Weimarskiej na Wschodzie, a więc godziło bezpośrednio w bezpieczeństwo Polski i pośrednio — ZSRR. Próbą uzgodnienia przeciwdziałania tym zamysłom była wizyta w Warszawie we wrześniu 1925 r. ludowego komisarza spraw zagranicznych ZSRR Georgija Cziczerina i seria rozmów z polskim ministrem spraw zagranicznych Aleksandrem Skrzyńskim. Pertraktacje nie dały jednakże większego efektu, niemniej ich rezonans międzynarodowy był znaczny. Pisała o nich na pierwszych stronach cała prasa europejska. Serdeczne przyjęcie, jakie zgotowała Cziczerinowi warszawska „ulica" nadwątliło stereotyp dotychczasowego traktowania ZSRR, wskazało na istnienie zaplecza społecznego dla rzeczywistej poprawy stosunków, odejścia od demagogicznego straszaka „żydokomuny".

Nie udało się zapobiec forsowanej przez Wielką Brytanię — w ramach jej tradycyjnej polityki balance of power — nowej polityce wobec Niemiec. Decyzje konferencji w Locarno, dające międzynarodowe gwarancje granicy niemiecko-francuskiej i niemiecko-belgijskiej zburzyły i tak problematyczny spokój na kontynencie. Ani Warszawa, ani Moskwa nie były w stanie temu zapobiec. Mogły natomiast pod wpływem wspólnego zagrożenia pokusić się o próbę nawiązania rzeczywistej współpracy politycznej. I próbę taką podjęto. Stały się nią rozpoczęte jeszcze przed decyzjami locarneńskimi pertraktacje na temat dwustronnego układu o nieagresji. Ciągnęły się one bardzo opieszale i potrwać miały szereg lat. Wyjaśnienie w trakcie tych żmudnych rokowań intencji obu stron, lepsze wzajemne poznanie się niewątpliwie miały wpływ na odejście — obopólne — od szeregu mitów i uprzedzeń, sprowadzenie stosunków wzajemnych na płaszczyznę realizmu — co zaowocowało zbliżeniem w pierwszym okresie lat trzydziestych.

Zamach majowy 1926 roku i przejęcie władzy w Polsce przez obóz legionowo-peowiacki nie wywołał większych zmian w stosunkach polsko-radzieckich. Było to dla wielu obserwatorów zaskoczeniem, zważywszy znaną antyradziecką Piłsudskiego. Nowy minister spraw zagranicznych RP August Zaleski zaczął swe kontakty z ZSRR dokładnie w tym punkcie, w którym przerwał je jego poprzednik hrabia Skrzyński — tzn. od omówienia raz jeszcze możliwości zawarcia paktu o nieagresji. Niewiele to w sumie dało, ale uspokoiło Moskwę co do status quo sprzed zamachu.

Druga połowa lat dwudziestych to okres zmniejszonej aktywności Związku Radzieckiego w stosunkach międzywojennych. Rozmach leninowskiej polityki zagranicznej staje się przeszłością. Jest to zrozumiałe o tyle, że zrealizowane zostały podstawowe cele wytyczone przez pamiętny X Zjazd RKP(b) w marcu 1921 r. — kraj wybrnął z izolacji politycznej, wszystkie poza Stanami Zjednoczonymi wielkie mocarstwa uznały suwerenność władzy rad i nawiązały z ZSRR stosunki dyplomatyczne. Począwszy od 1925 r. władze radzieckie skupiły się na trudnych problemach wewnętrznych.

Bardzo trudne problemy wyłoniły się w związku ze zmianą polityki gospodarczej — wprowadzeniem centralnego planowania, przygotowaniem kolektywizacji rolnictwa. Na linii Warszawa—Moskwa panowała atmosfera nieufnego wyczekiwania. Niewielka zmiana na lepsze nastąpiła wraz z podpisaniem jesienią 1927 r. układu generalnego w sprawie zwrotu i reewakuacji z ZSRR polskiego mienia kulturalnego. W kinach polskich pojawiły się filmy radzieckie, wydawano coraz więcej tłumaczeń dzieł literackich. W tymże 1927 r. wyjechała do ZSRR pierwsza oficjalna polska delegacja naukowa „przecierając szlak" dla innych uczonych polskich, którzy odtąd będą regularnie uczestniczyć w organizowanych na terytorium Kraju Rad konferencjach naukowych, zbierać materiały i odbywać staże naukowe w placówkach radzieckich.

Polityka rapallska przyniosła ZSRR wymierne korzyści gospodarcze i taktyczne (dekompozycja stanowiska Zachodu wobec władzy rad). Jednakże stosunki wzajemne nie rozwijały się w spodziewany przez Moskwę sposób, ich dynamika była znacznie słabsza niż początkowo zakładano. Na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych nastąpił wyraźny kryzys, a następnie rozpad rapallskiej współpracy (1932 r.). Zwieńczeniem jego był już podpisany m.in. przez Polskę i ZSRR w sierpniu 1928 r. tzw. Pakt Brianda-Kelloga — wielostronna umowa potępiająca uciekanie się do wojny celem załatwiania sporów i zatargów międzynarodowych. W lutym 1929 r. na wniosek ludowego komisarza spraw zagranicznych ZSRR Maksima Litwinowa Polską, ZSRR i kilka państw sąsiednich podpisały specjalny protokół (Protokół Moskiewski, bądź — Protokół Litwinowa) o natychmiastowym wejściu w życie postanowień Paktu Brianda-Kelloga. Był to wyraźny znak, że dyplomacja radziecka gotuje się do zmiany orientacji politycznej — przyjęcia koncepcji wielostronnego systemu bezpieczeństwa z udziałem ZSRR i państw zachodnich, a może nawet wprowadzenia Kraju Rad do ignorowanej przezeń dotąd Ligi Narodów. Rysowało to coraz wyraźniej możliwość zbliżenia politycznego pomiędzy ZSRR i Francją, stwarzając zupełnie nowy kontekst geopolityczny dla sytuacji międzynarodowej Polski. W konsekwencji musiało dojść i doszło do ożywienia w znajdujących się od dłuższego czasu w letargu stosunkach polsko-radzieckich. Prowadzone od lat rozmowy na temat paktu o nieagresji wyszły wreszcie z impasu, oba państwa przestały je traktować jako argument taktyczny w swoich stosunkach z Niemcami i rzeczywiście dążyły do porozumienia.

25 lipca 1932 r. zawarty został polsko-radziecki układ o nieagresji, stwarzający po raz pierwszy w tej skali stabilizację stosunków wzajemnych. Obie umawiające się strony stwierdziły uroczyście, że wyrzekają się wojny jako narzędzia polityki w stosunkach wzajemnych oraz zobowiązały się do wstrzymania od wszelkich działań agresywnych w stosunku do drugiej strony — tak samodzielnych, jak i w porozumieniu z innymi państwami. Zobowiązano się zarazem do nieuczestniczenia w jakichkolwiek porozumieniach wrogich wobec strony drugiej. Układ zawarty został na trzy lata z możliwością prolongaty w niezmienionym kształcie na dalsze dwa lata. Tym samym współdziałanie polityczne stało się faktem.

Wraz z podpisaniem układu o nieagresji zarysowała się możliwość współpracy obu dyplomacji w rozwiązywaniu podstawowych problemów ówczesnej polityki europejskiej, w tym tak ważnej dla II Rzeczypospolitej kwestii niemieckiej. Wprowadzony klimat zaufania miał też zaowocować w innych dziedzinach, przede wszystkim kontaktów kulturalnych i naukowych.

Najpierw drukowano orły

Dla pierwszych miesięcy po wyzwoleniu charakterystyczny był głód polskiego słowa drukowanego. Nakłady gazet i nielicznych czasopism nie zaspokajały wówczas zapotrzebowania, a na książki trzeba było jeszcze czekać, zanim zostały zorganizowane wydawnictwa i uruchomiona baza poligraficzna. Duże powodzenie miał handel starą książką. Ceny były na ogół umiarkowane, w przeciwieństwie do obecnych.

Pierwsze druki w wyzwolonej Łodzi zostały wykonane w drukarni Roberta Weisbacha przy ul. Piotrkowskiej 104a. Kiedy do tej drukarni wszedł por. Kiełczyński delegowany przez Główny Zarząd Polityczno-Wychowawczy Wojska Polskiego grupa pracowników, która już 20 stycznia przyszła do miejsca pracy, wysunęła myśl, by drukarnia stała się placówką wojskową. Właśnie tam wykonano pośpiesznie obwieszczenie o mianowaniu Ignacego Logi-Sowińskiego pełnomocnikiem Rządu Tymczasowego na województwo łódzkie oraz ogłoszenie o wiecu — manifestacji żałobnej ku czci zamordowanych więźniów Radogoszcza.

W szybkim czasie odbito także na kartonie polskie nazwy ulic, które rozwieszano w śródmieściu, a w litografii pośpiesznie wykonano godło państwowe przeznaczone dla potrzeb wojska, ale pewną część nakładu, na interwencję Logi-Sowińskiego, otrzymały także odradzające się w Łodzi urzędy oraz szkoły.

Drukarnia przy ul. Piotrkowskiej 104a została przejęta przez Główny Zarząd Polityczno-Wychowawczy Wojska Polskiego i już w lutym zaczęła wypuszczać tak potrzebne materiały propagandowo-informacyjne, a więc konspekty pogadanek i gawęd, instrukcje, a także broszury pisane pośpiesznie i odpowiadające na tematy, które nurtowały społeczeństwo.

Pracownicy Wydziału Propagandy we Włochach pod Warszawą (siedziba centralnych instytucji wojskowych) pisali szybko, równie szybko były wykonywane prace poligraficzne. Nie było zbędnych konsultacji wprowadzania zmian, uzgadniania tekstu. W ciągu 3—4 tygodni od podjęcia decyzji wydania broszury już kolportowano nakład. Autorami tych broszur byli głównie ppłk Adam Karta i kpt dr Tadeusz Ładogórski (późniejszy profesor PAN).

Już w lutym ukazała się broszura „Ziemie polskie na Zachodzie", przedstawiająca nasze walki o te tereny na przestrzeni dziejów. Zawierała ona także wiadomości geograficzno-ekonomiczne, akcentowała znaczenie obszarów zachodnich dla odradzającego się państwa w nowym kształcie.

W marcu ukazała się publikacja „Demokracja i reakcja w powstaniach narodowych", stanowiąca próbę oceny polskich walk narodowowyzwoleńczych. Autorzy na przykładzie naszych zrywów narodowych wykazali, że obok walki z zaborcą ścierały się dwa nurty wewnętrzne: demokratyczno-rewolucyjny, którego hasłem była niepodległość połączona z reformami społeczno-politycznymi i konserwatywny gotowy do ugody i pertraktacji. Broszura ta stała się punktem wyjścia do szerokiej dyskusji historyków i publicystów prowadzonej później na łamach tygodników społeczno-politycznych („Kuźnica", „Odrodzenie", „Wieś").

Olbrzymie zainteresowanie tematyką Ziem Zachodnich skłoniło Wydział Propagandy do rozszerzenia broszury „O ziemie polskie na Zachodzie". Wojna była już skończona, pozostawała nie rozwiązana jeszcze wówczas kwestia zaludnienia i zagospodarowania terenów odzyskanych. Pisząc o zniszczeniach wojennych autorzy akcentowali gospodarcze zasoby pozyskanych obszarów, możliwości osadnicze i znaczenie rolnictwa, które mogło stosunkowo szybko przynieść plony.

Do serii poświęconej Ziemiom Zachodnim należy zaliczyć broszurę „Najważniejsze miejscowości Śląska, Pomorza i Prus Wschodnich". Publikacja zawierała informacje geograficzne, gospodarcze, demograficzne i historyczne oparte z konieczności na materiałach niemieckich.

Wymienione publikacje (pomijając konspekty pogadanek) były pierwszymi drukami powstałymi jeszcze w czasie lub bezpośrednio po wojnie, poświęconymi tematyce Ziem Odzyskanych. Skoro wiadomość o tych wydawnictwach dotarła do nauczycieli zaczęli oni starać się o otrzymanie broszur.

WŁADYSŁAW BORTNOWSKI

Polskie szkolnictwo odrodziło się bardzo szybko w oparciu przede wszystkim o sieć tajnego nauczania. Trudności z kompletowaniem kadry nauczającej wystąpiły na Ziemiach Odzyskanych, gdzie trzeba było wyławiać nauczycieli z masy repatriantów.

Sytuacja szkół była bardzo ciężka. Brakowało podręczników, map, pomocy szkolnych w pracowniach, bibliotek, materiałów dekoracyjnych. W wielu szkołach herb państwowy wykonywano we własnym zakresie.

Władze oświatowe zwróciły się do Głównego Zarządu Polityczno-Wychowawczego o sprzedanie broszur o Ziemiach Zachodnich. Niestety ze względu na ograniczony nakład i potrzeby wojska prośby tej nie można było spełnić. Do poszczególnych kuratoriów wysłano więc po 2—3 broszury. Natomiast w Ło-

PAWEŁ TOMASZEWSKI

Swego nie znacie

DIALOG SCEPTYKA Z ENTUZJASTA

— Dlaczego chcesz do tego wracać? Przecież wiesz, że sprawa Frontczaka została uznana za zamkniętą. Oficjalnie tej sprawy po prostu już nie ma, rozumiesz?!

— Nie rozumiem. Ta sprawa jest nadal aktualna — być może dziś nawet bardziej niż parę lat temu.

— Czy mam ci pokazać pisma z ministerstwa?

— Znam je i nie zgadzam się z ich treścią. Choćby dlatego, że znam też inne pisma i dokumenty. Zbyt wiele w nich wszystkich nieścisłości, a nawet sprzeczności.

— Czy chcesz przez to powiedzieć, że...?

— Nie. Tego zresztą nie można by dziś dowieść. Sądzę tylko, że sprawę zamknięto zbyt szybko. I to jest niepokojące.

— Nie przesadzaj, to trwało przecież kilka lat...

— Poza tym wiele się od tamtego czasu wydarzyło.

— No, dobrze. Ale powiedz, czy warto?

— Warto. Tak długo warto, aż znikną wszelkie wątpliwości — bez względu na to, po czyjej stronie leżeć będzie w końcu racja.

— No, to zaczynaj...

TAK TO SIE ZACZEŁO

Pewnego dnia, na początku 1978 roku do Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej w Wiskitnie koło Łodzi przyjechał niejaki Stanisław Frontczak. Prezes spółdzielni, Stanisław Kostrzewa, który pracował kiedyś z Frontczakiem w Wojewódzkim Związku Kółek Rolniczych i znał go dobrze z racjonalizatorskiej i wynalazczej działalności, od razu pomyślał, że emerytowany starszy kolega odwiedza go nie z nudów, czy nagłego przypływu sympatii. Na pewno znów coś wymyślił, przemknęło mu przez głowę i — nie pomylił się.

To, co usłyszał po chwili, wprawiło go jednak w niemałe zdumienie. Co prawda, wyznanie Frontczaka nie przypominało w niczym bredzenia domorosłych edisonów, którzy z maniakalnym uporem twierdzą, że właśnie udało im się skonstruować wreszcie perpetuum mobile, ale w pierwszym momencie zabrzmiało aż nazbyt fantastycznie. Po dalszych wyjaśnieniach prezes zorientował się wszakże, iż pomysł Frontczaka opiera się na rzetelnych podstawach naukowych i niezwykle prostym, logicznym rozumowaniu. Jako zootechnik z dyplomem magistra nie mógł tego nie przyznać. Poza tym miał do Frontczaka zaufanie. Wiedział, że kto jak kto, ale ten z byle czym by nie przyszedł.

Chodziło o nowy rodzaj paszy — ponoć dobrej i taniej — którą produkować można bardzo szybko, bez żadnych w zasadzie inwestycji i na dodatek — w bardzo dużych ilościach, nawet jak na skromne możliwości RSP Wiskitno.

Dla prezesa spółdzielni, która przez wiele lat przynosiła milionowe straty i dopiero od niedawna zaczynała wychodzić na swoje, była to wielce obiecująca i godna uwagi propozycja. Co więcej: wynalazca zobowiązywał się sam zająć produkcją nowej paszy i czuwać nad jej ewentualnym stosowaniem, służąc całą swoją wiedzą i bogatym doświadczeniem. Był tylko jeden problem, jedna niewiadoma: jak zareagują zwierzęta na zmianę tradycyjnego menu? Tego nie dało się przewidzieć teoretycznie, ani sprawdzić w przydomowym ogródku Stanisława Frontczaka. I dlatego właśnie zjawił się w Wiskitnie.

DLACZEGO KROWY NIE JADŁY TRAWY!

Miał wtedy 67 lat i pełne prawo do spokojnego życia w domowym zaciszu. Niejeden na jego miejscu już dawno stwierdziłby, że nie ma sensu bawić się na starość w takie rzeczy, że ma już tego wszystkiego dosyć i pora wreszcie pomyśleć przede wszystkim o sobie. Niejeden — ale nie Frontczak. W jego życiu nie było miejsca na obojętność — tak wobec innych, jak innych w stosunku do niego. Taki już ma charakter i takim chyba pozostanie do końca. Gdy widział, że jest coś ważnego do zrobienia, nie zwykł tracić czasu na zbędne pytania, tylko tak długo robił, aż zrobił. A że głowę zawsze miał pełną pomysłów, często udawało mu się, to, z czym pozostali nie mogli dać sobie rady.

Na początku lat pięćdziesiątych pracował w Wydziale Rolnictwa i Leśnictwa Wojewódzkiej Rady Narodowej w Łodzi jako inspektor pomelioracyjnego zagospodarowania łąk i pastwisk, często wyjeżdżał w teren. Pewnego razu wybrał się do powiatu radomszczańskiego na inspekcję. Dziś nie pamięta już celu tej podróży, ale w pamięci pozostał mu na zawsze taki oto obraz:

Maj, piękna, słoneczna pogoda, hektary zmeliorowanych łąk, pasące się na nich bydło z okolicznych wsi, orzące te łąki traktory i — niby nic takiego — kilkanaście krów z pyskami zanurzonymi w zaoranej świeżo ziemi. Wyjadały odsłonięte przez pług korzenie łąkowej roślinności razem z ziemią, razem z torfem, którego wokół było pełno. Zastanawiało go to — jego jednego, chociaż obserwatorów było wielu — i długo nie dawało spokoju. Dlaczego te krowy tak chętnie jadły korzenie, skoro obok miały dostatek zielonej, soczystej trawy?

Parę lat później oglądał przypadkiem jakiś film o dalekiej Północy, a na nim — renifery, które również wygrzebywały coś z ziemi i zajadały z apetytem. Jeżeli to był torf, to..., to czyż w takim razie jego pokłady nie są jakby silosem, w którym sama matka natura zakonserwowała w swoisty sposób dawną roślinność? A skoro tak — myślał dalej z żelazną logiką dziecka — to może da się jakoś tę naturalną „kiszonkę" sprzed tysięcy lat wykorzystać teraz do karmienia zwierząt?

Sięgnął do książek. Idea nie była wcale ani nowa, ani odkrywcza. Nie zmartwiło go to jednak, a wprost przeciwnie — upewniło, że coś w tym widocznie musi być i warto bliżej zająć się sprawą. Z okolic Bełchatowa przywiózł więc do domu kilka kilogramów torfu, próbkę posłał do Instytutu Warzywnictwa w Skierniewicach z prośbą o dokonanie analizy, a gdy otrzymał już wyniki, mówiące między innymi o dużej zawartości witamin i mikroelementów, zaczął eksperymentować.

Na początek dał kurom trochę samego torfu, ale te ani myślały go jeść. Należało zatem coś z nim zrobić, by był strawny dla kurzych żołądków. Ale co? Przypomniał sobie tamte łąki... Rozłożył w ogródku niezbyt grubą warstwę torfu i posiał na nim parę gatunków roślin. Podlewane, rosły wspaniale i już po miesiącu utworzyły razem z torfem coś na podobieństwo gęstego, zielonego dywanu. Trudno go jednak było oddzielić od ziemi, gdyż korzenie z łatwością przebiły się przez torf i jakby przyszyły dywan do podłoża. Za dużo, moje drogie, macie tu swobody, powiedział wtedy Frontczak i następnym razem podłożył pod torf folię. Nie mogąc się przez nią przedostać, korzenie kłębiły się w cienkiej warstwie torfu, szukając w nim potrzebnych do życia składników odżywczych. I znajdowały je, zmieniając też przy okazji strukturę samego torfu. Dzięki temu, twierdzi Stanisław Frontczak, to, co było kiedyś bujną roślinnością, na powrót uległo ożywieniu. W przyrodzie nic nie ginie. Trzeba tylko wiedzieć, gdzie i jak szukać.

Dalej sprawa była już stosunkowo prosta. Należało eksperymentalnie ustalić optymalne warunki produkcji nowej paszy — grubość warstwy torfu rozłożonego na nieprzepuszczalnym podłożu, czas wegetacji, skład mieszanki wysiewanych nasion zbożowych i motylkowych — odpowiednio ją rozdrobnić i wymieszać, po czym podawać (świeżą lub w postaci suszu) i patrzeć co z tego wyniknie.

Tym razem kury dziobały chętnie nową paszę, którą wynalazca nazwał w skrócie R-T — roślinno-torfowa. Przyzwyczajane stopniowo, nie tylko czuły się wyjątkowo dobrze, ale po pewnym czasie zaczęły nawet nieść więcej jajek niż przedtem, a młode kogutki piały, że hej.

Gdyby Frontczak — rolnik z urodzenia, wykształcenia i zamiłowania — miał własne gospodarstwo z inwentarzem, na pewno sam sprawdziłby, czy karma z dodatkiem R-T smakuje też bydłu, świniom i innym zwierzętom domowym, ale że ma tylko mały ogródek i te parę kur, chcąc nie chcąc skorzystać musiał z czyjejś pomocy i uprzejmości. I właśnie dlatego zjawił się pewnego dnia w Wiskitnie.

CZARNA PASZA

Prezes Kostrzewa, chociaż miał do Frontczaka zaufanie, to jednak pewności nie mógł mieć żadnej. Kura to kura, a krowa to krowa. No i sto złotych nie kosztuje. Mimo to postanowił zaryzykować. A nuż się uda? Dlaczego by nie? Sam też przecież chciał, żeby się udało.

Pierwsza plantacja paszy roślinno-torfowej miała zaledwie kilka metrów kwadratowych powierzchni. Pracownicy spółdzielni przychodzili ją oglądać, kiwali głowami, gdy Frontczak wyjaśniał na czym rzecz polega, i mówili, że na razie nic nie będą mówić, że poczekają.

Pierwszej degustacji dokonać miało osiem wytypowanych specjalnie bukatów. Jeżeli ta próba zakończy się pomyślnie, powiedział prezes, pójdziemy z tym dalej, na większą skalę, ale póki co ktoś osobiście musi wziąć odpowiedzialność za te osiem sztuk. Ja mogę wziąć na siebie cztery. Jeden z pracowników wziął trzy. Frontczakowi, jako że był emerytem, zostawili jedną. Zgodnie złożyli podpisy pod stosownym oświadczeniem, po czym poszli do obory.

Na początek do paszy treściwej, którą jadły bukaty, dosypali tylko trochę R-T — zwierzęta muszą się przecież przyzwyczaić, to jasne — ale i tak mieszanka zrobiła się brunatna, prawie czarna. Nie wyglądało to najlepiej — nawet w oczach tych, którzy całe życie spędzili na wsi i niejedno już widzieli. Ale czyż można się temu dziwić? Byczki jedzące z apetytem czarną paszę — to nie był przecież zwyczajny widok.

Stanisław Frontczak przyjmował pierwsze gratulacje. Potem było ich coraz więcej, w miarę jak procent R-T w mieszance rósł do dwudziestu, trzydziestu..., a bukaty wylizywały do czysta koryta i wyraźnie chciały jeszcze.

ROZPOCZYNA SIĘ PISANIE LISTÓW

Dotychczas pracował Frontczak w RSP Wiskitno — jeśli tak można rzec — społecznie. Przyjeżdżał prawie codziennie, nieraz także w niedziele, doglądał plantacji, podlewał, pomagał w innych pracach, dyskutował, wyjaśniał. Prezes Kostrzewa już wcześniej myślał o jakiejś połówce etatu, wiedział jak trudno wyżyć tylko ze skromnej emerytury, ale — przyznaje po latach — bał się trochę, że zarząd spółdzielni nie zaakceptuje jego wniosku, węsząc w nim jakąś lipę i kumoterstwo. Dopiero kiedy wszyscy naocznie przekonali się, że owa dziwna pasza nadaje się jednak do jedzenia, mógł prezes spokojnie podpisać z Frontczakiem umowę o pracę — od 29 kwietnia 1978 roku na czas nieograniczony, w wymiarze jednej drugiej etatu na stanowisku agronoma za 3 tysiące złotych polskich miesięcznie. Zadaniem pana Frontczaka, mówił prezes, będzie czuwanie nad produkcją paszy roślinno-torfowej R-T, której upowszechnienie przynieść może nam, jako spółdzielni, a w perspektywie i innym — duże oszczędności.

Od tej pory w RSP Wiskitno produkcja R-T rusza na dobre. Na nieużywanym odcinku betonowej drogi obsiewa się partiami przywieziony własnym transportem torf, który wybiera osobiście Stanisław Frontczak. Już nie osiem, ale ponad sto sztuk bydła dostaje dodatek nowej paszy. Są pewne kłopoty z jej suszeniem, gdyż spółdzielnia nie posiada własnej suszarni, ale cóż to za problem, jeśli się tylko chce... Na bieżąco prowadzone są analizy R-T, które potwierdzają, że choć jest to pasza stosunkowo uboga w białko, zawiera jednak węglowodany oraz cenne witaminy i mikroelementy, których brak w paszach tradycyjnych. Do Wiskitna coraz częściej przyjeżdżają różni ludzie, niekoniecznie związani zawodowo z rolnictwem, aby na własne oczy przekonać się, czy to prawda, że... Ktoś im opowiadał o paszy, co jest czarna, ale nie bardzo chcieli wierzyć... Któregoś dnia niespodziewanie zajeżdżają w komplecie wicewojewodowie do spraw rolnych z całej Polski, przebywający akurat na jakiejś konferencji w niedalekich Bratoszewicach. Też chcieliby wreszcie zobaczyć tę rewelacyjną ponoć paszę. Skorzy do żartów, z uznaniem kiwają w końcu głowami i... odjeżdżają.

Powoli sprawa paszy Stanisława Frontczaka zatacza coraz szersze kręgi, coraz większe budzi zainteresowanie. W łódzkiej prasie pojawiają się entuzjastyczne artykuły o nowym osiągnięciu zasłużonego wynalazcy i racjonalizatora. Wydaje się, że nie może być żadnych wątpliwości — nowa pasza w pełni potwierdza swoje zalety, jest stosunkowo tania i łatwa do przygotowania, nie wymaga „wkładu dewizowego", należy zatem jak najszybciej przystąpić do jej upowszechnienia. Polskie rolnictwo z pewnością może na tym dużo zyskać, nie powinno się też wykluczać myśli o eksporcie...

Tymczasem 16 czerwca 1978 r. Stanisław Frontczak pisze list do Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Torfowego „Iszmar" w Juszkowym Grodzie, województwo białostockie:

„Od wielu lat pracuję nad zagadnieniem wykorzystania torfu do celów paszowych. Badania moje i doświadczenia w karmieniu zwierząt domowych produkowanymi paszami roślinno-torfowymi dają pozytywne wyniki. W związku z tym pragnę Panów zainteresować tym tematem...".

Odpowiedź nadchodzi po paru dniach:

„...Uprzejmie informujemy, że aktualnie nie mamy możliwości uruchomienia produkcji paszy R-T z braku niezbędnych warunków technicznych i przerobowych...".

Nie chcą w Juszkowym Grodzie, myśli Frontczak, to może w Pasłęku... Nic z tego! *„Projekt jest ciekawy i na czasie* — odpowiadają Pasłęckie Zakłady Torfowe — *Niemniej jednak nie jesteśmy w stanie...".* Nie chcą w Pasłęku, to może w Lęborku... Ale z Lęborka nie ma nawet odpowiedzi. A przecież — komentuje zawiedziony wynalazca — najtaniej byłoby produkować R-T w pobliżu wielkich torfowisk, odpadają wtedy koszty transportu. Mimo to jednak nie rezygnuje. 29 sierpnia pisze do Ministerstwa Przemysłu Spożywczego i Skupu. Znów prosi o zainteresowanie nową paszą i *„przyjście z pomocą wytwarzania na większą skalę".*

Rozwija się dalsza korespondencja.

Stanisław Kostrzewa do Instytutu Przyrodniczych Podstaw Melioracji w Ursynowie koło Warszawy:

„Paszami torfowymi (...) od wiosny karmimy krowy, bukaty i drób z dobrymi wynikami. (...) Przy tym żywieniu mamy poważne oszczędności pasz treściwych. Grupa 110 bukatów chętnie zjada paszę torfową, jest zdrowa, w dobrej kondycji i wykazuje wzmożony apetyt. (...) Resort i instytuty niestety nie okazują zainteresowania, a fachowcy rolnicy określają tę nowość jako rewelację w żywieniu inwentarza(...). Przedkładając powyższe, uprzejmie prosimy o wyrażenie opinii o słuszności stosowania torfu w żywieniu zwierząt gospodarskich w perspektywie dalszego upowszechniania...".

Stanisław Frontczak do Departamentu Produkcji Zwierzęcej Ministerstwa Rolnictwa:

„Uprzejmie informuję, że w gospodarstwie spółdzielczym Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej Wiskitno k/Łodzi przy żywieniu inwentarza stosuje się od pewnego już czasu pasze torfowe... (...) Uprzejmie proszę Ministerstwo o zapoznanie się ze sposobem żywienia naszego inwentarza...".

Do Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej:

„...uprzejmie proszę Komitet Centralny PZPR o spowodowanie zainteresowania się paszą torfową resortu i właściwych instytucji".

Do pisma dołącza: skrócony opis paszy torfowej, analizę torfu używanego do produkcji pasz, protokół kontroli przyrostu bukatów, wypowiedzi prasy.

Potem Frontczak występuje jeszcze w popularnym programie telewizyjnym „Mam pomysł", zaproszony przez redaktora Andrzeja Bobera. Udziela wywiadów radiowych i prasowych. W każdy możliwy sposób walczy z ociężałością i obojętnością biurokratycznej machiny administracji. Jest niecierpliwy. Wierzy w sukces swego wynalazku, choć zdaje sobie sprawę, że na razie dokonał zaledwie pierwszego kroku, że teraz paszą R-T muszą się zająć ludzie nauki, specjaliści, kompetentne władze... Sam dalej niewiele może już zrobić. To przecież nie tylko sprawa jego ambicji. To szansa dla całego polskiego rolnictwa!

DIALOGU CIĄG DALSZY, ALE JESZCZE NIE KONIEC

— Może tak, a może nie. Mało to prasa donosi o różnych „rewelacyjnych" i „sensacyjnych" odkryciach, czy wynalazkach? Nie można tak bezkrytycznie przyjmować wszystkiego, nawet jeśli taki wynalazca publicznie daje harcerskie słowo honoru, że *„to się przecież sprawdza w praktyce".*

— Ale nie można też chyba tego słowa i samego wynalazcy lekceważyć, bo nie ma to nic wspólnego z krytycyzmem. Racja nie jest nierozerwalnie związana z posiadanym tytułem naukowym, czy zajmowanym stanowiskiem. Racji trzeba dowieść!

— Niby tak. A, słuchaj, co się stało z tymi bukatami karmionymi torfem?

— Prasa pisała, że wyniki eksperymentu z paszą roślinno-torfową w Wiskitnie były jednoznacznie pozytywne, a bukaty pojechały na eksport. Potwierdził mi to też osobiście prezes Kostrzewa, ale wiem, że nie wszyscy są co do tego zgodni.

— Nie rozumiem.

— Po prostu kwestionują prawdziwość przyrostu wagowego bukatów karmionych paszą roślinno-torfową. Twierdzą, że w rzeczywistości był mniejszy...

— A konkretnie kto kwestionuje?

— Na przykład Instytut Zootechniki w Krakowie.

— Tam są fachowcy od tych spraw. Sam więc wiesz...

— Ale to jeszcze wcale nie koniec. Posłuchaj dalej...

C.d.n.

---

dzi nauczyciele historii i geografii „własnym przemysłem" zaczęli starać się o broszury. Wykorzystywali znajomości z drukarzami bądź zwracali się bezpośrednio do kierownictwa z prośbą o „sprzedanie" broszur.

Drukarnia pozostawiała sobie 25 tzw. egzemplarzy dyspozycyjnych. Wkrótce okazało się, że nie ma żadnego. Natomiast szereg szkół z Łodzi i okolic nadesłały pisma z podziękowaniem za „dary".

Oprócz broszur były drukowane konspekty pogadanek poświęcone tematyce Ziem Odzyskanych. Również i te druki w bardzo ograniczonej ilości trafiały do rąk nauczycieli i stanowiły ważną pomoc na lekcjach historii i geografii.

Znaczenie wymienionych publikacji było ogromne, gdyż poza artykułami w prasie i czasopismach wiadomości o nowych terenach prawie że nie znajdowały się w polskich wydawnictwach. Zanim więc ukazały się pierwsze publikacje na ten temat (na przełomie 1945/46) broszury i konspekty wojskowe były jedynym źródłem, które mogło pomóc nauczycielowi i uczniom w procesie nauczania.

Ponieważ broszury były wykonywane w Łodzi, drukarnia wysyłała po kilka egzemplarzy każdej publikacji (oprócz ściśle wojskowych) do Miejskiej Biblioteki Publicznej (obecnie Biblioteka im. Waryńskiego). Jak mówił mi dyrektor Augustyniak, cieszyły się one ogromnym wzięciem wśród nauczycieli i uczniów. Sporządzali oni notatki, prosili o wypożyczenie do domu chociażby na jeden dzień.

Również rolę pomocy szkolnych (rzecz jasna w ograniczonych rozmiarach) odegrały plakaty litograficzne wykonywane przez Łódzką Drukarnię Głównego Zarządu Polityczno-Wychowawczego Wojska Polskiego. W pracowni tej byli zatrudnieni artyści plastycy tej miary co Tadeusz Trenkowski, Włodzimierz Zakrzewski czy Jan Kulikowski. Zapewniali oni najwyższy z możliwych poziom artystyczny.

W latach 1945—1947 wykonano ok. 60 plakatów, które stanowiły swego rodzaju ewenement graficzny. Treść wielu plakatów miała charakter patriotyczny, była adresowana do całego społeczeństwa, a nie tylko dla wojska. Stosunkowo wysoki nakład (do 10.000 egz.) każdej pozycji pozwalał na przeznaczenie pewnej ilości egzemplarzy na potrzeby cywilne.

Nie wiem, jak gospodarowało plakatami Ministerstwo Informacji i Propagandy — odbiorca 1000 szt. z każdego nakładu. Natomiast od kwietnia 1945 r. zaczęły zwracać się do drukarni bezpośrednio szkoły, nauczyciele i organizacje młodzieżowe z prośbą o sprzedanie lub ofiarowanie chociażby paru plakatów. Jesienią 1945 roku zaczęły napływać listy od dyrekcji szkół ze Śląska i Ziem Odzyskanych.

Kierownicy szkół lub nauczyciele zazwyczaj akcentowali, że nie mają materiałów do dekoracji szkoły, a niektóre plakaty są także pomocne przy lekcjach historii. Nauczyciele, a czasem delegacje młodzieży z Łodzi niejednokrotnie zwracali się do kierownika litografii z prośbą chociażby o jeden plakat. O ile wiem odpowiedzi odmownych nie było, gdyż nauczony doświadczeniem porucznika Brierre „chomikował" po kilkadziesiąt sztuk każdej pozycji wydawniczej.

Największym powodzeniem cieszyły się plakaty Tadeusza Trepkowskiego: „Grunwald 1410 — Berlin 1945", „Nie powtórzy się nigdy 1939 rok". „1 września dzień lotnictwa", „Lenino 12.X.1943" i Włodzimierza Zakrzewskiego: „Bądź jak Zawisza", „Kołobrzeg 18.III.1945". „Przypominamy sędziom w Norymberdze".

W szkołach plakaty stanowiły stosunkowo długotrwały element dekoracyjno-wychowawczy. Jeszcze w 1947 r. plakat „Bądź jak Zawisza" wisiał w niektórych świetlicach szkolnych na Ziemiach Zachodnich. A więc druk wojskowy, obliczony na stosunkowo krótki okres oddziaływania na otoczenie, nieoczekiwanie służył w ciągu nawet paru lat jako element propagowania tradycji historycznych i kształtowania młodych charakterów.

Oprócz plakatów oraz broszur polityczno-historycznych łódzka drukarnia w ramach „Biblioteczki Żołnierza" drukowała pozycje literackie. W tej serii ukazał się „Michałko" Bolesława Prusa, fragmenty Sienkiewiczowskich „Krzyżaków" (opis bitwy grunwaldzkiej), wiersze Władysława Broniewskiego oraz „Wiersze i pieśni Armii Ludowej".

W 1946 r. drukarnia łódzka na polecenie Wydziału Propagandy Głównego Zarządu Polityczno-Wychowawczego wszystkie posiadane egzemplarze serii literackiej wysłała do kuratoriów w Koszalinie i Szczecinie. Biblioteki szkolne odczuwały bowiem dotkliwy brak książek i wojsko w miarę swych możliwości „ratowało sytuację", która była szczególnie ciężka na terenach zachodnich.

W końcu lat czterdziestych, jako dodatkowe materiały do zajęć z historii w wojsku wydała drukarnia łódzka tablice chronologiczno-tematyczne przedstawiające: a) zamachy niemieckie na byt Polski od X do XX wieku, b) zgubność polityki wschodniej, (ukazywały ekspansję wschodnią państwa szlacheckiego i zachodzące w związku z tym zmiany terytorialne i narodowościowe).

Jeszcze w latach pięćdziesiątych, a więc w okresie, gdy już wydano nowe podręczniki historii, posługiwano się w szkołach wspomnianymi tablicami, a nauczyciele bardzo wysoko oceniali ich przydatność dydaktyczną.

Gdy na początku lat pięćdziesiątych miałem w Łodzi zajęcia na ogólnopolskim kursie dokształcającym nauczycieli historii ze szkół średnich, spora grupa spośród uczestników opowiadała o praktycznym wykorzystaniu materiałów wojskowych na lekcjach podkreślając, że w okresie, gdy nie było ani nowych podręczników, ani innych pomocy szkolnych stanowiły one nader istotny element, ułatwiający przyswajanie treści nauczania i ułatwiający prowadzenie lekcji.

Od pierwszego wejrzenia

EDWARD BRYL

Zaręczyny Ewy były huczne, niczym wesele. Zaledwie po kilkumiesięcznym pobycie w Łodzi przywiozła sobie do rodzinnej wsi narzeczonego i to nie byle jakiego, sierżanta MO. Matka i ojciec dumni z córki zaprosili rodzinę, sąsiadów. Zabito świnię. Stoły uginały się pod ciężarem jadła. Koleżanki, co ukończyły razem z nią szkołę krawiecką, nie kryły zazdrości. Tej się poszczęściło! Przeprowadzi się wkrótce na dobre do dużego miasta. Będzie miała mieszkanie w blokach, rodzinę!

Tak po cichu Ewa też o tym marzyła. Oprócz niej w domu jest jeszcze kilkoro rodzeństwa, a pięciohektarowe gospodarstwo nie zapewni wszystkim przyszłości. Trzeba było urządzić się inaczej. Wyjechała do Łodzi, zamieszkała u starej, siedemdziesięcioletniej ciotki, w niewielkim pokoiku, bez żadnych wygód, z wodą i wc na korytarzu. Na początek i to było dobre. Byle się zahaczyć. Podjęła pracę.

Na „szczęście" nie czekała długo. Pewnego październikowego wieczora 1981 roku nadeszło zupełnie niespodziewanie. Zabłądziła. Wsiadła w autobus i zamiast w sercu miasta, znalazła się w nieznanej sobie dzielnicy, znacznie odległej od centrum. Na ulicach cicho, pusto. Zatrzymała przejeżdżający radiowóz. Uprzejmy funkcjonariusz odwiózł ją do domu. To była miłość od pierwszego wejrzenia. Od tej pory spotykali się systematycznie. Nie mógł żyć bez niej. Doszło do zaręczyn.

Tymczasem życie dziewczyny z ciotką zupełnie się nie układało. Kobiecinie z daleko posuniętą sklerozą wydawało się, że wszyscy ją okradają, sąsiedzi, znajomi, siostrzenica też. Bezustannie toczyła boje. Zamykała wszystko, co się da. Na lodówce powiesiła kłódkę na łańcuchu, znaczyła farbą bryłki węgla. Ewa wyniosła się do hotelu robotniczego.

Wkrótce nastąpił wstrząs. Dowiedziała się, że jej narzeczony ma żonę i dwoje dzieci. Może i zerwałaby z nim, ale nie dawał za wygraną. Przychodził pod zakład, do hotelu. Błagał, płakał. Opowiadał, jaki to jest nieszczęśliwy, jakie ciężkie ma życie. Żona alkoholiczka, dzieci zaniedbane. On robił zakupy, gotował, karmił maluchy. Małżonka niczym się nie interesowała, nawet nigdy nie ugotowała obiadu. Ewa w końcu ustąpiła. Płakała nad jego losem.

— Chociaż ty zostań ze mną — mówił. — Możemy już być razem, nic nie stoi na przeszkodzie, przecież wkrótce się pobierzemy. Separacja trwa ponad półtora roku. Sprawa rozwodowa na ukończeniu.

— Mieszkałam u swojego chłopca — opowiadała później Ewa *— od stycznia do marca 1983 roku. Zwykły pokój z kuchnią na Radogoszczu. Żona zabrała mu większość mebli. Za własne pieniądze kupiłam szafki do kuchni. Moją ciążę przyjął spokojnie. Nie namawiał, żebym przerwała. Snuliśmy plany na przyszłość. Nocami prowadziliśmy długie rozmowy, wymyślaliśmy imię dla dziecka... Pewnego popołudnia wrócił z pracy i powiedział, żebym się wynosiła. Jutro będzie tu żona. Postanowił znów żyć razem, dla dobra dzieci. Rozpaczałam, termin rozwiązania za dwa miesiące, nie miałam się gdzie podziać. Czemu mu zawierzyłam?*

Dziewczyna znalazła się w sytuacji bez wyjścia. Do rodzinnej wsi wrócić nie mogła, ani do starej ciotki. Tuż przed rozwiązaniem zatrzymała się w Państwowym Domu Małego Dziecka w Łodzi. Kobiety w bardzo trudnych warunkach mają taką możliwość. Ewa skorzystała z niej, ale nie po to, aby pozostawić tam narodzone dziecko. Chciała je zabrać z sobą, jednak nie miała dokąd. Syn urodził się w maju.

— Było mi ciężko, źle — wspomina *— Personel nie lubi matek. Zawadzałam i ja, choć starałam się jak mogłam. Rano pędziłam do kuchni obierać ziemniaki, sprzątałam, szorowałam podłogi. Noce przepłakałam, potem we dnie chodziłam półprzytomna. Bez przerwy słyszałam płacz dzieci. Leżały często mokre, głodne. Pielęgniarek i opiekunek pracowało niewiele, maluchów na jedną przypadało sporo, ale serca do nich nie miały. Padały niewybredne wyzwiska; szczeniaku bękarcie. Mnie też dostawało się nierzadko — dziwka, kurwa, było na porządku dziennym. Przeżyłam dużo, ale zniosłabym jeszcze więcej, byle nie zostawić tam samego dziecka. Widoku nieskończenie smutnych, bladych, miarowo kiwających się w łóżeczkach maluchów nie zapomnę do końca życia.*

W Wydziale Spraw Lokalowych Urzędu Dzielnicowego Łódź-Polesie leżą podania Ewy. Pisała jedno za drugim. *„Zwracam się z uprzejmą prośbą o przydzielenie mi jakiegokolwiek mieszkania zastępczego, znajduję się w trudnej sytuacji..."*

Podobnych pism są tysiące. Sprawa Ewy nie należy do wyjątków. Petentka jest cząstką ogromnej rzeszy wyczekujących na poprawę warunków, ale warunki Ewy i jej dziecka są żadne.

— Nic nie zapowiadało nieszczęścia, spadło na mnie, jak grom — mówi Ewa. *— Mieliśmy być razem. Nie zabezpieczyłam się zupełnie. Teraz rzeczy osobiste i te, które kupiłam dla dziecka, mam u ludzi, trochę u sąsiadki mojego byłego narzeczonego, trochę u ciotki, resztę u koleżanki. Sama nie wiem, gdzie co jest. A na mieszkanie się nie zanosi.*

Dziewczyna ma jedno wyjście: zostawić syna w domu dziecka i iść swoją drogą. Wróci po nie na pewno po latach, jak się urządzi... Do hotelu robotniczego przecież malucha nie zabierze! Czy musi dojść do tego niefortunnego i być może tragicznego dla obojga rozstania...? Ewa prosiła o pomoc w swoim zakładzie pracy. Dyrektorka przybiła pieczątkę na podaniu i zaopiniowała.

„Mając na względzie bardzo trudne warunki życiowe, dyrekcja ZPO... w Łodzi popiera prośbę naszej pracownicy i prosi o uwzględnienie".

Nic więcej nie mogę zrobić — powiedziała jeszcze na zakończenie rozmowy — *na dziecko może pani poczekać, ale skoro już jest, to pani sprawa.*

Czyżby? Co jakiś czas wstrząsają opinią publiczną tragiczne wydarzenia — noworodek w pojemniku na śmieci, noworodek na torach... Ewa popełniła wiele błędów, ale nawet nie próbowała uciekać przed konsekwencjami. Chce wychować malca, wcale się go nie wstydzi. Tak, jak potrafi, walczy o przyszłość. Trzeba jej pomóc. Jest młoda, mogłaby urządzić się od nowa, wygodnie, nie robi jednak tego. Kołatała do wielu drzwi, trafiła do wiceprezydenta m. Łodzi, do zastępcy dyrektora Wydziału Zdrowia do spraw Opieki Społecznej. Sprawa została scedowana do Wydziału Spraw Lokalowych Łódź-Polesie, który uporczywie milczał i za każdym razem, gdy petentka się pojawiała, urzędnicy udawali, że pierwszy raz o mieszkaniu dla niej słyszą. W końcu dziewczyna uzyskała odpowiedź:

„W związku ze złożonym podaniem dot. przydziału pomieszczenia zastępczego do czasu otrzymania lokalu spółdzielczego, informuję, że sprawy tej w bieżącym roku załatwić nie można z uwagi na brak dostatecznej ilości mieszkań przydzielonych do naszej dyspozycji".

Pobyt matki z dzieckiem w instytucji, w której się Ewa zatrzymała może trwać do trzech miesięcy. Syn jej ma już osiem. Dziewczyna stale ubiega się o przedłużenie, ale czy można ciągnąć w nieskończoność takie życie? Ponieważ łódzki Dom Małego Dziecka zaczęto remontować, nieszczęsną pensjonariuszkę wraz z chłopcem przeniesiono do innego województwa.

— Trafiłam z deszczu pod rynnę. Długo ciągnęło się, póki jakoś personel nie uładził się ze mną, dopóty panie z oddziału nie przywykły do mnie. Dzieci jest tutaj znacznie mniej. Wydawać by się mogło, że są bardziej zadbane. Jednak nie. Najbiedniejsze są te z kwarantanny. Płacz ich słychać cały dzień. Pracownicy wchodzą tylko w czasie karmienia i przewijania. Maluchy całe dnie leżą zamknięte. W ogóle, to panie nie lubią, gdy im się patrzy na ręce. Pracują, aby dzień przeszedł. W sali bawialnej pełno zabawek, tyle że leżą na półkach, dzieci się bawią tylko niektórymi. Żadnych zabaw grupowych, kształcących ze starszakami nikt nie prowadzi. Na spacery też wychodzą rzadko, najczęściej z salową. Ich życie toczy się między nocnikiem a stołem, chociaż, jak jeść które nie chce, to i nikt się tym zbytnio nie przejmuje. Są wystarczająco duże i przegłodzenie im nie zaszkodzi. Byle dokumentacja była w porządku i jaki taki ład przed obchodem lekarza i zapowiedzianym nalotem władz służby zdrowia. Nagłe się raczej nie zdarzają, jeżeli na oddziale większe porządki, to wiadomo, że przyjadą goście. Tak było przed wizytą dyrekcji ZOZ-u, kiedy to strzyżono wszystkie maluchy i zmieniono dekoracyjne malowidła w jadalni. Dzieciaki są kąpane raz w tygodniu, niemowlaki też. Mam kłopoty z karmieniem, przewijaniem dziecka.

— Znowu go pani rusza, teraz nie pora — poucza mnie młoda oddziałowa.

— Przecież po to jestem, aby się malcem zajmować.

— Nikt tu pani nie trzyma, można wyjechać i to zaraz.

— Chciałam wziąć małego w czasie świąt, chociaż na jeden dzień — opowiada Ewa — *pojechać do rodziny. Nie pozwolono mi. Po co?* — tłumaczyła mi pielęgniarka. — *Potem będzie leżał trzy tygodnie na kwarantannie. Marlenka jednak pojechała z mamą „na przepustkę". Ta dziewczyna urodziła dziecko i zostawiła je tu. Ma wkrótce zabrać dziewczynkę na stałe. Na razie wzięła tylko na okres świąt Bożego Narodzenia. I bardzo dobrze, tyle, że Marlenki nie położono później na kwarantannę. Po wizycie w domu wróciła zwyczajnie na salę niemowlaków. Łzy dusiły mnie w gardle. Dlaczego ja, wraz z dzieckiem nie mogłam chociaż na chwilę pobyć, jak człowiek, wśród bliskich. Potraktowano je bezdusznie. Tu jest obco, wszystko na komendę, jedzenie, siusianie, przewijanie, a przecież dzieci, to nie automaty. Wystarczy obejrzeć je, niektóre są poodparzane.*

Ojciec dziecka Ewy zbytnio się losem syna i jego matki nie przejmuje. Ustalił tylko wysokość alimentów, które płaci regularnie po dwa tysiące miesięcznie. Ewa została sama ze swoim ogromnym strachem, strachem przed rozstaniem z dzieckiem.

Jak należy spojrzeć na sprawę Ewy, dziewczyny, która marzyła o życiu w wielkim mieście, a znalazła się prawie na bruku. Migracja do ośrodków przemysłowych trwać będzie, tym bardziej że każda para rąk do pracy liczy się dziś podwójnie. Ważny jest start tych młodych, którzy najczęściej ze swych wsi nie przychodzą ubodzy, ale z gotowym wkładem mieszkaniowym. Skoro zostają wchłonięci przez miasto, zatrudnieni w przemyśle, na wielkich budowach, trzeba stworzyć im jakieś perspektywy życia, albo nie stawiać na nich. Ściąga się tych ludzi, a w zamian często nie daje możliwości stabilizacji: wegetują przez lata, zanim się jakoś urządzą. Tymczasem są rejony, gdzie pustoszeją wsie, starzy rolnicy oddają ziemię za rentę, bo dzieci w mieście i nie ma kto gospodarować. Sprzedają oni miastu swoją młodość, pracę. Hotele robotnicze ich atmosfera, brak zupełnego zainteresowania ze strony zakładów pracy stawiają ich z góry na pozycji przegranej. Głód mieszkań, blokada we wszystkich spółdzielniach mieszkaniowych nie ułatwia niczego, ale i nie zachęca, są twardzi, wytrwali. Wszelkimi sposobami starają się zdobyć wymarzone miejskie obywatelstwo, tym bardziej że często już nie mają odwrotu. Zdarza się, że padają ofiarą pośpiechu, nieuczciwości własnej i innych. W przypadku Ewy koszty jej nierozwagi, zachłanności poniesie dziecko. Do tego dopuścić nie wolno. Wszystkie domy opieki społecznej pękają w szwach. Ludzi zbędnych, dzieci niechcianych przybywa. Dlaczego syn Ewy ma powiększyć tę liczbę, skoro matka chce go wychować, potrzebuje tylko własnego kąta, nawet najskromniejszego. Miłością macierzyńską okupiła swoje winy. Miasto dało jej pracę, ma zagwarantowany urlop wychowawczy, z którego korzysta, to i musi znaleźć się dla niej i dziecka kąt, pozostać w próżni dłużej nie może! Gdyby nie dostała pracy w Łodzi, taka sytuacja nie zaistniałaby, długo musiałaby czekać w rodzinnej wsi na tego jedynego, który zabrałby ją do miasta, kto wie, czy doczekałaby się.

Więcej towarów lecz czy łatwiejsze zakupy?

TERESA JERZYKOWSKA

Na zaopatrzenie sklepów narzekamy ciągle — i nie bez powodu. Wiele podstawowych towarów z dziedziny odzieży, artykułów gospodarstwa domowego, sprzętu RTV czy innych drobnych i większych, lecz bardzo potrzebnych artykułów to ciągle jeszcze nieosiągalne — lub też trudno osiągalne, wymagające długich wędrówek po sklepach i wielogodzinnego wyczekiwania w kolejkach — „luksusy". Choć z drugiej strony — jeśli porównamy zaopatrzenie sklepów w ciągu ostatnich kilku miesięcy, z tym, które było w latach 1981 i 82 trzeba przyznać, że poprawa jest wyraźnie widoczna. Praktycznie nie ma już sklepów, w których oglądać można jedynie puste wieszaki i półki (a i te nie na sprzedaż), a tak przecież było jeszcze całkiem niedawno. Oczywiście to, że nastąpiła wyraźna poprawa zaopatrzenia nie oznacza, że wszyscy powinniśmy cieszyć się z tego co mamy, a zadowoleni z takich sukcesów producenci i handlowcy mogą spocząć na laurach. O powodach do powszechnego zadowolenia będzie można mówić dopiero wówczas, gdy zapanuje tzw. rynek konsumenta, które to określenie jest w naszych warunkach kategorią mityczną. Rynku konsumenta nie mieliśmy, jak dotąd, nigdy, nawet w czasach niezbyt odległych, które obecnie niektórym z nas wydają się zaopatrzeniowym rajem. Teraz szczególnie ów ideał wydaje się dość odległy, ale zgodnie z założeniami CPR w roku bieżącym na drodze do jego osiągnięcia uczyniony zostanie następny, niewielki krok. Mówiąc prościej — jeśli plan będzie prawidłowo realizowany zaopatrzenie sklepów w przemysłowe towary konsumpcyjne w roku bieżącym powinno się nieco poprawić.

Zacznijmy od przypomnienia kilku liczb. Plan na rok 1984 przewiduje wzrost dochodu narodowego o 2,6 proc. w porównaniu do roku ubiegłego. Produkcja przemysłowa ma wzrosnąć o 4,5 proc., dostawy rynkowe o 7 proc., w tym dostawy na rynek towarów konsumpcyjnych nieżywnościowych o ponad 10 proc. Jednocześnie zakłada się wzrost dochodów realnych ludności o 1-2 proc. oraz wzrost spożycia o 2,4 proc.

Zajmijmy się bliżej dostawami towarów przemysłowych. Ich wysokość we wszystkich grupach towarowych i asortymentach będzie większa niż w roku ubiegłym, przy czym w niektórych asortymentach produkcja (a więc i dostawy na rynek) przekroczy poziom z najlepszego okresu lat 1978-1979. Pozornym paradoksem jest fakt, że wzrost ten dotyczy przede wszystkim tych towarów, które kupić najtrudniej. Dla przykładu: automatów pralniczych trafi na rynek o blisko 19 proc. więcej niż w roku 1978, maszyn do szycia o 41,3 proc., radiomagnetofonów o 228 proc. więcej, telewizorów kolorowych o 84,8 proc. Również więcej niż w roku 1978 trafi na rynek okryć i ubiorów z tkanin, obuwia skórzanego i gumowego. Czy oznacza to — jeśli założenia zostaną zrealizowane — że owe tak poszukiwane towary będziemy mogli kupić równie łatwo jak sześć lat temu? Otóż wcale nie, z kilku co najmniej powodów.

Przede wszystkim trudności ostatnich lat to nie tylko znaczne zmniejszenie produkcji, a tym samym dostaw rynkowych, ale także wiążąca się z tym zjawiskiem dezorganizacja popytu. Bardzo wiele osób kupowało towary nie dlatego, że były im faktycznie potrzebne, lecz po prostu dlatego, że akurat trafiły na nie w sklepie i dysponowały wystarczającym zasobem gotówki. Często tego rodzaju zakupy traktowane były jako swoista lokata kapitału bądź też jako źródło dodatkowych dochodów. Inni, ci faktycznie potrzebujący, którzy kupiliby np. pralkę w roku 1981, 82 czy 83 lecz nie udało im się tego zamiaru zrealizować oczywiście będą starać się w roku bieżącym o pożądany przedmiot, wraz z tymi, którzy urządzanie mieszkania rozpoczęli dopiero teraz. Nacisk na rynek będzie więc znaczny i — mimo wzrostu podaży — popyt nie zostanie zaspokojony. Nie zostanie, tym bardziej że nadal występować będzie zjawisko zakupów zbędnych: na wszelki wypadek, bo akurat są pieniądze, na zapas w obawie przed następną podwyżką cen. Jest to zjawisko typowe dla nierównowagi rynkowej i trzeba dłuższego okresu zwiększonych dostaw, przekraczających faktyczne zapotrzebowanie, aby udało się je opanować. Przy czym apele do społeczeństwa o rozwagę w dokonywaniu zakupów nie zdadzą się na nic. Jedynym wyjściem jest stałe zwiększanie dostaw do takiego poziomu, aby kupić mogli ludzie faktycznie potrzebujący i ci nadmiernie „gospodarni". W roku bieżącym, mimo poprawy zaopatrzenia jeszcze takiego poziomu dostaw nie osiągniemy.

Następnym warunkiem, od którego zależy kształtowanie się relacji między podażą a popytem jest jakość towarów. Jest sprawą oczywistą, że np. w dobrych butach czy starannie wykonanym płaszczu z wysokogatunkowej tkaniny możemy chodzić przez kilka sezonów — ale te same artykuły złej jakości wystarczą nam zaledwie na jeden sezon. W następnym będziemy musieli stanąć w kolejce po nowe. Tymczasem w ostatnich latach sprawą najważniejszej wagi było zwiększenie ilości towarów. Do spraw jakości przywiązywano mniejszą wagę — choć nie jest prawdą, że jedynie produkując mało i powoli można produkować dobrze. W roku bieżącym powinny zacząć działać rozwiązania systemowe, sprzyjające podnoszeniu jakości, m.in. rozmaite korzyści ekonomiczne, jakie uzyskać mogą zakłady produkujące wyroby ze znakiem jakości, obligatoryjny obowiązek handlu do odbioru jakościowego towarów niepodpisywanie umów z producentami, którzy produkują buble.

Wydaje się jednak, że i w tej dziedzinie rewelacyjnych efektów spodziewać się nie można. Nadal bowiem brak skutecznego systemu kar za produkowanie wyrobów złej jakości, kar, które odczuwano by w zakładach znacznie silniej, niż obecne premie za wysoką jakość. Ponadto w kontaktach między producentami a handlowcami, którzy powinni stać na straży interesów klientów ciągle będzie znajdować odbicie dylemat: kupić towar nie najlepszy czy też nie kupić nic. Jedynie w niektórych grupach towarowych, gdzie pokrycie ilościowe już obecnie równoważy bądź przekracza popyt można spodziewać się wyraźniejszej poprawy jakości. Dotyczy to m.in. takich towarów, jak obuwie i środki czystości.

Kolejnym czynnikiem, od którego zależy długość kolejek i trudności związane z nabyciem towarów przemysłowych jest zasobność kieszeni potencjalnych nabywców. Normalną reakcją każdego człowieka, którego dochody zwiększają się jest chęć posiadania większej ilości lepszych, bardziej luksusowych towarów. Jeśli znowu sięgniemy do porównania z końcem lat siedemdziesiątych — okaże się, że relacje między cenami na wiele artykułów przemysłowych a poziomem płac uległy zmianie na korzyść konsumentów. W stosunku do średniej płacy średni poziom cen konsumpcyjnych towarów przemysłowych jest około dwukrotnie niższy, siła nabywcza statystycznego obywatela o 50-60 proc. wyższa. Nie dotyczy to towarów uznanych za luksusowe, których ceny znacznie wzrosły (np. samochody) lecz zdecydowanej większości artykułów podstawowych. Posłużę się przykładem, jaki zauważyłam w sklepie w ostatnich dniach: podczas gdy w latach siedemdziesiątych cena damskich butów z łyżwami — 650 zł — równała się nieomal najniższej pensji, obecnie — 2200 zł — nie stanowi nawet jej połowy. Przykłady takie można mnożyć.

Na rok bieżący przewiduje się wzrost płac o 17 proc., co oczywiście nie znaczy, że o tyle wzrosną dochody realne czy też siła nabywcza ludności. Ponadto zakłada się, że każda złotówka, o jaką wzrosną wynagrodzenia, znajdzie pokrycie w zwiększonej produkcji. Jeśli choć jeden z tych warunków nie zostanie spełniony, jeśli nadal pojawiać się będą pieniądze nie znajdujące pokrycia w towarze planowany wzrost dostaw na rynek pozostanie niezauważony, a nawet może dojść do sytuacji, w której mimo że towarów będzie coraz więcej luka między podażą a popytem pogłębi się.

Tak więc — poza niektórymi artykułami — zdecydowanej poprawy sytuacji rynkowej oczekiwać nie należy, choć pewne złagodzenie trudności powinno nastąpić, o ile oczywiście uda się wszystkie założone w CPR zadania zrealizować. Niestety, na razie nie można z całą pewnością twierdzić, że tak właśnie będzie. Jak wiadomo, plan centralny nie jest już obecnie czymś w rodzaju dyrektywy, z której wynikałyby w sposób obligatoryjny zadania dla poszczególnych resortów i przedsiębiorstw. Te ostatnie w ramach reformy zyskały dużą samodzielność także w dziedzinie określania swoich planów i konkretnych zadań. Obecnie trwają konsultacje, zmierzające do uzyskania zgodności między CPR a planami przedsiębiorstw. Szacuje się, że w 95 proc przypadków zgodność tę uda się uzyskać. Ponadto podjęto również inne kroki dla zapewnienia realizacji produkcji na potrzeby rynku. Utrzymane zostały cztery programy operacyjne, na podstawowe grupy towarów rynkowych ma być podpisanych 30 zamówień rządowych.

Chociaż podpisanie takiego zamówienia daje zakładowi — obok korzyści ekonomicznych — także gwarancję zabezpieczenia materiałowego, wiele zakładów odnosi się do tych propozycji, łagodnie mówiąc, niechętnie, wiąże się z tym bowiem nie tylko konieczność wyprodukowania odpowiedniej, określonej w umowie ilości towarów, ale także zapewnienie ich wysokiej jakości i terminowości dostaw.

Kolejnym problemem, który będą musiały rozwiązać przedsiębiorstwa, aby rzeczywiście na rynku znalazło się więcej towarów będzie pokonanie bariery zaopatrzenia w surowce i materiały z importu. Ponieważ w roku bieżącym import zostanie utrzymany na poziomie z roku ubiegłego — na zabezpieczenie wzrostu produkcji trzeba będzie poczynić 3-8 proc. oszczędności materiałów.

O ile zresztą w pokonywaniu trudności materiałowych, dewizowych itp. istnieje możliwość pomocy ze strony Centrum — nie ma takiej możliwości w odniesieniu do przezwyciężania trudności subiektywnych, do których należy przede wszystkim zatrudnienie. Z problemami kadrowymi przedsiębiorstwa muszą radzić sobie same, przy czym na wzrost zatrudnienia raczej nie ma co liczyć. Wzrost produkcji musi więc zostać osiągnięty na drodze wzrostu wydajności. Możliwości takie istnieją i nadal nie są w pełni wykorzystywane, czy jednak uda się je wykorzystać w tym roku?

Biorąc pod uwagę wszystkie czynniki kształtujące podaż i popyt trudno z nadmiernym optymizmem myśleć o zakupach, jakich będziemy dokonywać w tym roku. Przypomnijmy ponadto efekty roku ubiegłego: 6,7 proc wzrostu produkcji, 4 proc wzrostu produkcji rynkowej podczas gdy założenia planu na rok 1983 przewidywały akurat odwrotną relację, której nie udało się osiągnąć. Mimo to pewna poprawa zaopatrzenia dała się zauważyć. W roku bieżącym — o ile nawet postęp w tej dziedzinie nie będzie bardziej wyraźny — to przynajmniej nie będzie mniejszy. A więc jednak nieco lepiej.

O naturze i roli kobiety

Dokończenie ze strony 1

rownic wierzył nawet tak oświecony człowiek jak Jean Bodin (1530-1596). Utrzymywał mianowicie, że czarownice popełniają piętnaście niezwykle ciężkich przestępstw: 1. odtrącają Boga, 2. bluźnią, 3. oddają cześć Diabłu, 4. składają mu w ofierze własne dzieci, 5. dzieci tych nie chrzczą, 6. nawet w łonie matki, 7. kuszą innych ludzi, 8. zaklinają się imieniem Diabła, 9. cudzołożą, 10. zabijają i pożerają ludzi, 11. żywią się padliną, 12. niszczą trucizną i czarami, 13. sprowadzają pomór na bydło, 14. nieurodzaj na zboże, 15. mają stosunki cielesne z diabłem. Za takie „zbrodnie" groziła wtedy kara śmierci.

Trudno oszacować, ile nieszczęsnych kobiet — rzekomych czarownic — poddano okrutnym, wyrafinowanym torturom i wysłano na stos. Prawdopodobnie zebrałoby się setki tysięcy. W samej Polsce straciło życie od 20 do 40 tysięcy kobiet, posądzonych o czarownictwo i związki z Szatanem. Ostatni stos płonął w 1775 roku, we wsi Daruchów k. Wielunia, gdzie skazano na śmierć kilkanaście (14?) kobiet. Najwięcej tego rodzaju wyroków wykonano w naszym kraju w drugiej połowie XVII wieku i w pierwszej ćwierci XVIII.

Trzeba jednak odnotować, że wyraźny antyfeminizm Kościoła nie miał żadnego uzasadnienia w nauce Jezusa Chrystusa. Jezus był bardzo wyrozumiały dla kobiet i lubił przebywać w ich towarzystwie. One zaś okazały się najwierniejsze i niezawodne w czas próby: do końca uczestniczyły w drodze krzyżowej oraz wzięły udział w pogrzebie.

Postawa Jezusa wobec kobiet wyróżnia się korzystnie na tle innych twórców religii, którzy z reguły mieli złe zdanie na temat rodzaju żeńskiego. Na przykład Buddha, który był znakomitym psychologiem, twierdził, że kobiety są przebiegłe, przewrotne i okrutne. Natura ich i dążenia mają być bardziej tajemnicze niż drogi ryb w głębinie. Toteż radził on swoim uczniom, żeby unikali kobiet, a w ich obecności — czuwali nad sobą.

Podobnie prorok islamu — Muhammad wyżej cenił mężczyzn od kobiet. Twierdził, że Bóg jest miłosierny dla tych pierwszych. A podczas zwiedzania raju i piekła zauważył, iż mieszkańcami raju byli przeważnie ubodzy, natomiast piekła głównie kobiety.

Tak jak w Biblii inicjatorką grzechu pierworodnego była Ewa, w mitologii greckiej zło przypisywano Pandorze. Nie oparła się ona ciekawości i zajrzała do tajemniczego naczynia z Olimpu. Uczyniła to wbrew przestrogom Prometeusza, czyli po grecku Przewidującego. Z chwilą zdjęcia pokrywki wydostały się na świat i zaczęły odtąd nękać ludzi wszelkie nieszczęścia i choroby, a na dnie naczynia pozostała tylko nadzieja.

W starożytnych mitach spotykamy już uwagi na temat odmienności natury kobiecej. Najbardziej ciekawe jest bodaj to, że kobietę kojarzono z losem. Wszystkie bóstwa losu są rodzaju żeńskiego: Mojry — Klato, Lachesis i Atropos, Nemezis, Ananke, Tyche. Kobiety także zdominowały instytucję wyroczni (Sybilla, Pytia) i do dziś zresztą one zajmują się wróżbami. Kobiecą głowę i piersi miał wreszcie zagadkowy Sfinks znęcający się nad mieszkańcami Teb.

Dlaczego właśnie kobieta była uosobieniem losu? Być może jest jakiś sens w abstrakcyjnym twierdzeniu Oswalda Spenglera, że kobieta jest losem i czasem, mężczyzna natomiast przeżywa los i stara się go pojąć. Wynikałoby z tego, że kobiety są naszym losem, albo że mamy z nimi los.

Jeśli rzeczywiście los jest rodzaju żeńskiego, to należałoby go obłaskawiać tak samo jak kobiety. Czyli w jaki sposób? Fiodor Dostojewski był zdania, że najskuteczniej działają pochlebstwa, gdyż nie oprze im się żadna niewiasta. Przy czym skuteczne są, według niego, także pochlebstwa całkowicie fałszywe, i to ponoć wśród każdej klasy społecznej. „*Nawet westalkę* — pisał — *można uwieść za pomocą pochlebstwa. Cóż dopiero — zwykłych ludzi*". Z kolei słynny politolog florencki Mikołaj Machiavelli uważał, że Fortuna, jak każda kobieta, daje młodym i zuchwałym. Zgadzał się z tym w pełni Napoleon Bonaparte.

W różnych kulturach istoty mężczyzny szukano w pierwiastku duchowym i rozumnym, kobiecość zaś kojarzono z ciałem i zmysłami. Emil Zegadłowicz powiadał, że dusza kobiety jest po prostu jej ciałem. Z takim podejściem wiązały się podejrzenia, że kobiety są wiecznie nienasycone w miłości i zdradliwe. Już Zeus sądził że kobiety doznają więcej rozkoszy podczas stosunku miłosnego. Nie zgadzała się z nim wprawdzie Hera, ale Tejrezjasz, który przez siedem lat był kobietą, przyznał rację królowi Olimpu. Zdaniem Tejrezjasza kobieta przeżywa aż dziewięciokrotnie większą rozkosz, aniżeli mężczyzna. Że tak w istocie może być wskazują reakcje kobiet podczas stosunku. Szczególnie interesujące obserwacje w tym zakresie miał Enrique Poncello, które dobrze streścił Jerzy Wilmański w swej pięknej, choć smutnej książce „Tak prędko, coraz prędzej." Cytuję zatem Wilmańskiego: „*Niektóre kobiety o bardzo pięknych oczach w tym momencie dostają zeza; odwrotnie, niemal wszystkie zezowate na tę chwilę go tracą. Niektóre ograniczają się do głębokiego westchnienia, jakby zabierały się do odpoczynku po strasznym zmęczeniu. Inne pojękują niby chore dziecko, albo wydają przenikliwy okrzyk, jeden jedyny przenikliwy okrzyk triumfu. Wiele kobiet chwilami wręcz rozdzierająco szlocha. (...) Niektóre przybierają wyraz twarzy niechętny, pełen pretensji. Inne wyją, jakby z tęsknoty za dżunglą. Jeszcze inne milczą, żeby nie uronić ani sekundy z tego przeżycia, a są i takie, które wyglądają jakby nadsłuchiwały jakiejś odległej muzyki...*"

Absolutyzowanie aspektu cielesno-zmysłowego szło w parze z pomniejszaniem zdolności intelektualnych kobiet. Od Arystotelesa do Hegla i po czasy współczesne głoszono, że kobieta nie jest w stanie dorównać mężczyźnie pod względem rozumowym, ale za to przewyższa go uczuciowo. W XVII wieku autor holenderski, Albertus Magnus, pisał, że: „*białogłowa nie jest sposobna do nauki, dla gnuśności mea-tów mózgowych zapychających się i tępość czyniących*".

Rozważania nad naturą i psychologią kobiecą wkroczyły w nowy etap z powstaniem psychoanalizy. Zygmunt Freud na podstawie obserwacji klinicznych doszedł do wniosku, że istota kobiety sprowadza się do tego, iż nie jest ona mężczyzną i nie ma członka. Gdy sobie uświadomi ów brak, popada w kompleks niższości, ogarnia ją zazdrość o męski organ. Częściowym wybawieniem z depresji może być dla niej jedynie urodzenie dziecka i poświęcenie się macierzyństwu. O ile mężczyzna z natury jest aktywny i zdolny do tworzenia cywilizacji, to kobieta jest bierną strażniczką gatunku. Jeśli nie godzi się ona z przeznaczeniem i aspiruje do ról męskich, ma to być dowodem „zatrzymanego rozwoju" i kwalifikującej się do leczenia nerwicy.

Poglądy Freuda poddała krytyce — jako typowo męskie i jednostronne — Karen Horney. Według niej naprawdę to mężczyzna jest zazdrosny i ma kompleks z powodu małej roli w tworzeniu istot żywych, który kompensuje sobie wzmożoną aktywnością w innych dziedzinach. Co więcej — mężczyzna nie tylko zazdrości kobiecie, lecz odczuwa przed nią strach. Kobieta jawi mu się jako istota demoniczna i niebezpieczna. Strach przed pochwą i kobiecością doprowadza nieraz mężczyzn do chorób i perwersji. Kobieta znajduje się w lepszej sytuacji, gdyż nie musi udowadniać swej kobiecości, mogąc w zasadzie zawsze odbyć stosunek. Mężczyzna natomiast zmuszony jest wciąż potwierdzać się seksualnie i dlatego prześladuje go nieustanny lęk, że się nie sprawdzi, a przez to ośmieszy.

Nie mam zamiaru rozstrzygać tu dyskusji o naturze kobiety. Chodziło mi tylko o przedstawienie różnych punktów widzenia. Dyskusja zresztą trwa i ma z pewnością tak długie perspektywy, jak długo gatunek ludzki będzie istniał. Osobiście opowiadam się jednak za wiązaniem „męskości" z aktywnością, a „kobiecości" z biernością, ale w tym sensie, że mężczyzna jest biologicznie predysponowany do większej aktywności niż kobieta. Tego zdania był np. Antoni Kępiński. Pisał on: „*Sam biologiczny charakter reprodukcji seksualnej jest tego rodzaju, że strona męska jest stroną aktywną, atakującą, a żeńska — bierną, przyjmującą... W odbiciu subiektywnym znajduje to swój wyraz w odpowiednich postawach psychicznych (męska bardziej aktywna, kobieca — bardziej pasywna). W związku z tym także obserwuje się przesunięcie ciężaru odpowiedzialności za akt seksualny na mężczyznę, a za płodność — na kobietę*". Mężczyznę kompromituje brak wzwodu, zaś kobietę bezpłodność.

W nieco inny sposób rozgraniczył role płci Talcott Parsons. Mężczyzna według niego pełni funkcje „instrumentalne", a kobieta „ekspresyjne". Z rolą mężczyzny związane są m. in. agresywność i samodzielność, a z rolą kobiety — życzliwość i posłuszeństwo. Nawiązując do tej koncepcji Kazimierz Pospiszyl wystąpił niedawno z tezą, że w polskich rodzinach zawsze duże znaczenie miały kobiety, przy równoczesnym osłabieniu autorytetu ojca. Dlatego rodziny nasze zorientowane były nie na sukces, lecz na porozumienie, w całej kulturze zaś przeważały funkcje ekspresyjne, emocjonalne.

Faktem jest, że cudzoziemcy, już dawno dostrzegali w Polsce uprzywilejowaną pozycję kobiety. Na przykład Fryderyk II Wielki stwierdził: „*Rozum w tym królestwie popadł w zależność od niewiast; kobiety intrygują i rozstrzygają o wszystkim, podczas gdy ich mężowie hołdują pijaństwu*". W Polsce nie przyjęła się raczej formuła — Kinder, Küche, Kirche (dzieci, kuchnia, kościół), która przecież nie tylko w Niemczech określała rolę kobiety. A w życiu państwowym nie mieliśmy autorytatywnego władcy-ojca; tak jak Rosja znała batiuszkę-cara i matuszkę-Rossiję. I stąd, być może, pewna kobiecość w naszej psychice narodowej.

Nie wiadomo dotąd z całą pewnością, jaka jest etymologia słowa „kobieta". W XVI wieku był to wyraz nieprzyzwoity, obelżywy wobec pań. Być może pochodził, po prostu, od „koby" — kobyły. W każdym bądź razie w satyrze Marcina Bielskiego panie użalają się:

„Męże nas zowią białogłowy, prządki,
Ku większemu zelżeniu
kobietami zowią".

Dopiero w XVIII wieku słowo „kobieta" zaczęło funkcjonować w obecnym znaczeniu. Do dziś jednak uważa je za niestosowne i niegrzeczne znany historyk, prof. Janusz Pajewski, sam używający zwrotów „pani" lub „niewiasta". To ostatnie określenie odnoszono pierwotnie tylko do kobiet nieznajomych, ponieważ dosłownie znaczy „nieznana".

O kobietach mówi się, że jest to płeć piękna, lecz słaba, w przeciwieństwie do mężczyzn, którzy stanowią płeć silną, ale za to brzydką. Czy tak jest naprawdę? Na temat urody nietrudno się zgodzić — wystarczy spojrzeć na nasze żony, znajome i nieznajome. Kobiety istotnie są bardzo piękne, ale czy również słabe? Jak to wygląda antropologicznie? Otóż mężczyźni — przeciętnie biorąc — faktycznie mają silniejszą budowę fizyczną: więcej mięśni, grubszą skórę, dłuższe ręce i nogi, większe dłonie i stopy oraz serce i płuca, cięższy mózg. Przy tym jednak żyją krócej niż kobiety, wykazują mniejszą odporność na ból, częściej ulegają chorobom stresowym (zawał, wrzody żołądka), więcej piją i łatwiej wykolejają się moralnie. Niektórzy powiadają, że kobiety znoszą lżej przeciwności losu, ponieważ umieją się wypłakać. W ich skłonności do płaczu należy widzieć nie tylko słabość, lecz przede wszystkim źródło siły i wytrzymałości na trudy życia.

A jakie są kobiety-Polki? Według koncepcji Eugeniusza Brzezickiego i Antoniego Kępińskiego, wśród Polek przeważają raczej histeryczki. Te zaś często są zimne seksualnie i cierpią na tzw. anorgazmię, czyli niedostatek satysfakcji erotycznej. W stosunkach z mężczyznami bawi je głównie flirt oraz fakt, że są adorowane i podbijane, a mniej wagi przywiązują do samej miłości. To chyba miał też na myśli Henryk Sienkiewicz, kiedy pod koniec ubiegłego stulecia pisał, że Polki kochają się w formach uczucia, mniej dbając o treść. Są to — czytamy — „*dziwne, fantastyczne kobiety, o płonących głowach a rybim temperamencie*". Fantazja jest u nich bujniejsza od temperamentu.

Zdaniem prof. Kępińskiego, histeryczki nie mają zbyt głębokich uczuć macierzyńskich. Dziecko traktują trochę przedmiotowo, jak lalkę i zabawkę. Poza tym w miłości zdradzają chęć dominowania. Na tę ostatnią cechę również, co ciekawe, zwrócił uwagę Sienkiewicz. Bohater powieści „Bez dogmatu" powiada: „*W każdej z was siedzi królowa — i tym ogromnie różnicie się od innych kobiet... Wy chcecie, żebyśmy dla was istnieli, nie wy dla nas*".

W 1822 roku spędził kilka tygodni w Polsce Henryk Heine. Poeta był wprost oczarowany naszymi kobietami. Porównując je do najdelikatniejszych, najmilszych kwiatów egzotycznych, pisał: „*Polki są nieskończenie różne od kobiet niemieckich. Przypisać to należy słowiańskim właściwościom w ogóle, a obyczajom polskim w szczególności. Pod względem uprzejmości nie mógłbym Polek stawiać wyżej od kobiet niemieckich; nie dadzą się one w ogóle porównać ze sobą. Któż zechce stawiać Wenus Tycjana wyżej od Marii Correggia? W słonecznej, pokrytej kwiatami dolinie wybrałbym Polkę za towarzyszkę; w oświetlonym księżycem gaju lipowym wybrałbym Niemkę. Niewiele znajdzie się wśród Polek wzorów gospodarności, umiejętności wychowywania dzieci, pobożnej pokory i wszystkich tych cichych cnót kobiet niemieckich*". Inaczej też, stwierdza dalej Heine, wygląda życie religijne Polek i Niemek. U Niemek jest ono głębsze, a u Polek — powierzchowne i nieco infantylne.

W XIX wieku popularnym stał się wzór Polki-patriotki. Od matek oczekiwano, jak w słynnym wierszu Konstantego Gaszyńskiego, że wychowają synów na dobrych patriotów: pamiętających o krzywdach swego narodu, unikających stosunków z wrogami, pielęgnujących ojczyste tradycje i język. Z tego rodzaju obowiązków panie nasze wywiązywały się na ogół bardzo dobrze. Ale trzeba również odnotować, że wcześniej polskie damy niezbyt zmartwiły się utratą niepodległości. W 1792 roku, w czasie konfederacji targowickiej i kontrrewolucji, kobiety z dobrych domów — jak podaje dziejopis — „*otwarcie, na waleta bałamuciły się z najeźdźcami*". Fakt ten potwierdził Józef Ignacy Kraszewski. „*Rozpusta kobiet była tak wielka* — pisze on — *że żadne imię, żaden dom pański nie był wolen od tej skazy, a cudzoziemscy jenerałowie i ambasadorowie mieli tylko trudności wyboru wśród niezliczonego kandydatek grona*". Wspominam o tym, aby ktoś nie odniósł wrażenia, że pod względem patriotycznym panie były zawsze bez grzechu.

W ostatnich trzech dziesięcioleciach kobiety uzyskały w naszym kraju poważną niezależność. Podstawą emancypacji stały się powojenne przemiany rewolucyjne. W latach 1950—1980 aktywizacja zawodowa kobiet w gospodarce uspołecznionej wzrosła z 31 do 44 proc., a w niektórych działach przekroczyła 80 proc., lub zbliżyła się do tego poziomu. Początkowo mężczyźni niechętnie odnosili się do podejmowania pracy zawodowej przez ich żony. Powstało nawet hasło — od tytułu filmu — „Irena do domu". Kobiety nie dały się jednak zatrzymać w tradycyjnej roli kryptosłużących. Ostatnio natomiast, jak wynika z badań GUS, coraz więcej kobiet znowu przebywa w domu na utrzymaniu męża. A te, które pracują zawodowo, z reguły czynią to wyłącznie z przymusu ekonomicznego, a nie z zamiłowania. Tylko panie z wyższym wykształceniem mają szersze ambicje i wykazują chęć wyżycia się w pracy zawodowej. Należy jednak podkreślić, że kobiety zarabiają przeciętnie prawie 40 proc. mniej od swoich mężów i mają niewielkie możliwości awansu.

Emancypacja i aktywizacja zawodowa nie przyniosły chyba kobietom spodziewanego szczęścia. Z reguły przecież muszą teraz pracować jakby na dwóch etatach. W dodatku ich praca domowa rzadko bywa doceniana przez mężczyzn i nie liczy się w dochodzie narodowym. A w Stanach Zjednoczonych oszacowano, iż wartość usług domowych świadczonych przez żony wynosi około jednej czwartej całego produktu narodowego brutto.

We wszystkich krajach świata kobiety dość pokornie godzą się z rolą „kryptosłużących" (określenie J. K. Galbraitha), do czego mężczyźni zdołali tak przywyknąć, że już nie wyobrażają sobie, aby mogło być inaczej. Kobiety — jak w dowcipie ze wstępu — są naszymi najlepszymi przyjaciółkami. Nie doceniamy wprawdzie na co dzień ich roli, ale fascynuje nas ich uroda i pociąga tajemnicza natura. Mądry Aleksy Zorba z powieści Kazantzakisa, słusznie twierdził, iż kobieta „jest odwieczną sprawą".

EDMUND LEWANDOWSKI

Kronika kulturalna

KMP „WIADUKT" i Młodzieżowe Centrum Kultury było organizatorem spotkania z Tadeuszem Gicgierem. Spotkanie odbyło się 29 lutego w kawiarni „Pałacyk". Tematem wiodącym była satyra. Autor podpisywał także swoje książki.

6 MARCA w gmachu Muzeum Sztuki otwarta została wystawa pt. **„Od Ingresa do Picassa"** prezentująca grafikę francuską ze zbiorów Gabinetu Rycin Biblioteki Uniwersyteckiej w Warszawie.

W GALERII Sztuki BWA czynna jest wystawa prac IV Biennale Małych Form Rzeźbiarskich.
W Salonie Sztuki Współczesnej obejrzeć można ekspozycję **„Notatki malarskie"** Sabiny Sikory.
Natomiast w galerii studenckiego teatru „Pstrąg" — „Grupa '80" czynna jest wystawa pt. **„Cmentarz żydowski" — grafika — frottage — fotografia.**

5 MARCA w sali Teatru Studyjnego im. J. Tuwima wystąpił światowej sławy mim francuski **Pradel** razem ze swoją asystentką **Dominique.** W Polsce Pradel występuje po raz pierwszy. Zobaczą go widzowie Łodzi, Warszawy, Gdańska i Wrocławia.

W DDK Łódź-Górna 5 marca otwarta została wystawa malarstwa **Anny Piotrowskiej pt. „Kwiaty".**
Tego samego dnia, wieczorem w DDK odbędzie się wieczór autorski poetów **Krzysztofa Smoczyka i Zbigniewa Dominiaka** z cyklu „Debiuty książkowe".

W MINIONY poniedziałek w kinie „Wisła" odbył się pokaz filmów **Leszka Skrzydło.**

TAKŻE w poniedziałek, 5 marca w Akademii Muzycznej odbył się kolejny wieczór muzyczny, w którym wystąpili studenci klasy klawesynu z Akademii Muzycznej w Warszawie.

W DNIACH 1—4 marca **w Domu** Filmu i Plastyki ŁDK odbywała się sesja filmoznawcza poświęcona twórczości **Josepha Losey'a,** jednego z najwybitniejszych twórców anglosaskiego kina. W programie wykłady **dr J. Reka i mgr E. Dankowskiej** oraz pokaz filmów.

W DNIACH 9—11 marca PTL „Arlekin" gościć będzie w swojej siedzibie aktorów z teatru „Rabcio" w Rabce, którzy przedstawią łódzkiej publiczności spektakl dla widzów dorosłych zatytułowany „Co wom powim, to wom powim". Jest to dorobek sceniczny **Macieja K. Tondery** w jego reżyserii oparty na gawędach Kazimierza Przerwy-Tetmajera.

22 LUTEGO minęła 170 rocznica urodzin **Oskara Kolberga.** Z tej okazji przygotowano ogólnopolską sesję poświęconą twórcy polskiej etnografii. Odbyły się także „Dni Kolbergowskie". W zabytkowym dworku w Przysusze (ziemia radomska), gdzie się urodził Kolberg, po zabiegach rewaloryzacyjnych powstanie muzeum jego imienia.

ODDZIAŁ Świętokrzyski Związku Polskich Artystów Fotografików grupuje m. in. twórców tzw. „kieleckiej szkoły krajobrazu", którzy w ubiegłym roku otrzymali nagrodę ministra kultury i sztuki za wybitne osiągnięcia artystyczne
W roku bieżącym ekspozycja pt. **„Kieleckie krajobrazy"** wystawiona będzie w Bułgarii. W muzeum fotografii w Monachium otwarta zostanie wystawa pt. **„Puszcza Jodłowa"**, a w paryskiej Bibliotece Narodowej ekspozycja prac **Pawła Pieścińskiego.**

DECYZJĄ wojewódzkiego konserwatora Zabytków w Olsztynie Pola Grunwaldzkie wraz z zespołem pomnikowym zostały uznane za zabytek. ■

Foto: Włodzimierz Parys

Świadectwo obecności

1.

Jan Koprowski należy do tego typu ludzi pióra, których twórczość wiernie odpowiada temperamentowi. Nad zacisze gabinetu przedkłada wszelkiego rodzaju kontakty z ludźmi, zarówno w kraju, jak i za bliższą czy dalszą miedzą. Tak więc podstawą jego literackiej wiedzy o życiu staje się szeroko rozumiana obserwacja, ulubionym chwytem (wykorzystywanym zwłaszcza w opowiadaniu czy szkicu) zdarzenie zasłyszane, przypomniane, rzadziej bezpośrednio relacjonowane przeżycie. Owa obserwacja za każdym razem potwierdza myśl, *że „życie nie zna litości ni współczucia, płynie niepohamowanie naprzód i nikt nie jest w stanie go powstrzymać".* Stwierdzeniu temu pewnej aktualności nadaje fakt, iż minęło właśnie pół wieku od momentu literackiego debiutu Jana Koprowskiego: jako szesnastoletni młodzieniec zadebiutował wierszem „Wiosenna orka" opublikowanym w piśmie „Głos Wsi". Wkrótce potem wydał dwa tomiki poezji: „Do mojej ziemi" oraz „Hellada we wrzosach". Rocznica debiutu stwarza okazję do przypomnienia sylwetki twórczej dawnego redaktora naczelnego „Odgłosów".

2.

Jego dorobek jest zróżnicowany formalnie i tematycznie. Jednako chętnie wypowiada się w wierszu, jak i w powieści oraz opowiadaniu, najczęściej jednak w zwięzłym szkicu. Wiąże się to ze specyfiką literackiego talentu, życiową postawą autora oraz z zamiłowaniem do podróży.

Pierwsza powieść powstała wkrótce po wojnie w Szklarskiej Porębie. Autobiograficzną „Opowieść o moim ojcu" rozpoczynają wielce znamienne słowa: *„Mój ojciec niczym się w życiu nie wyróżniał. Nie był bohaterem, nie posiadał odznaczeń i orderów, nie brał udziału w żadnej z wojen, nie pracował w podziemiu. W ogóle nie dokonał niczego takiego, o czym opowiada się w książkach. Nie umiał nawet pisać i czytać. Mimo to, a może raczej właśnie dlatego postanowiłem opisać jego życie.* Opowieść o moim ojcu będzie zatem opowieścią o człowieku zwyczajnym, takim jakich spotyka się wszędzie, na każdym kroku. O bohaterach pisało się przecież ciągle, o zwykłych ludziach mało kiedy". W słowach tych zmieścił się niemal cały program — pełny zwrot w stronę prostego, zwyczajnego człowieka. Wśród takich właśnie ludzi, uwikłanych w najzwyczajniejsze codzienne sprawy, poszukujących prawdy życia w jego najdrobniejszych przejawach, pisarz dostrzega, wyławia i utrwala „niezniszczalne wartości ludzkiego życia". Tendencja ta od początku towarzyszy utworom Jana Koprowskiego. Gdy uporał się z własną genealogią, gdy dokonał rozrachunku z przeszłością, zmienił trochę punkt widzenia. Uwidoczniło się to w „Potomkach Tespisa", środowiskowej powieści „z kluczem" o łódzkim środowisku teatralnym. Uwidoczniło się to również w większości opowiadań. Mianowicie narrator jakby zdystansował się wobec przedstawianych spraw i wydarzeń, w miejsce surowej powagi pojawiać się poczęła żartobliwa autoironia, a nawet ujęcia pastiszowe.

Świat, w jakim obraca się narrator tych opowiadań, ludzie, z którymi się styka i o których mówi — to jakby jedna wielka rodzina. Feliks Fornalczyk napisał kiedyś, że Koprowski jako autor reprezentuje postawę współczującą, a zarazem pełną szacunku wobec każdego pojedynczego człowieka i jego codziennych prawd życiowych. Ja określiłbym tę postawę jako refleksyjną raczej, pełną wyrozumiałości, zadumy i zaangażowania w tylko co wspomniane prawdy życiowe.

Wyjątkowe wprost znaczenie w tej prozie posiadają realia. Autor przywiązuje wagę do najdrobniejszego przedmiotu. Chodzi przy tym nie tylko o rzetelność informacji, chodzi o poszanowanie wymowy szczegółów. O człowieku bowiem stanowią nie tyle jego intencje, co przede wszystkim otoczenie: dom, sytuacja rodzinna, środowisko zawodowe, krąg znajomych, przyjaciele, adwersarze etc., etc. Człowiek opisywany przez Koprowskiego — to człowiek żyjący zawsze wśród innych. To także pisarz. Do najcelniejszych fragmentów „Potomków Tespisa" należą te strony, na których przedstawione zostało funkcjonowanie współczesnego środowiska literackiego oraz współzależność między słowem a czynem wśród twórców literatury.

Warto też zwrócić uwagę na bardzo osobisty ton większości opowiadań. Nie w sensie zwyczajnego utożsamiania narratora z osobą autora, lecz w znaczeniu głębokich nieraz przeżyć, z których się te utwory zrodziły. I choć Jan Koprowski — jak na mężczyznę przystało — stara się stłumić sentyment i poskromić uczucia, to jednak wyzwala w czytelniku przeświadczenie o potrzebie i ogromnej wadze prawdziwych ludzkich wzruszeń. O potrzebie szczerości. Postulat szczerości ma w tym przypadku swoje konsekwencje formalne. Pisarz przemawia możliwie bezpośrednio, obywa się bez wyrafinowanych i deformujących konwencji literackich, przemawia w sposób, który odczuwamy jako naturalny i adekwatny wobec rejestrowanych „okruchów życia".

Oto tom opowiadań pt.: „Trou Madame". Złożyły się nań opowiadania publikowane przez kilka lat na łamach „Życia Warszawy". Cechą charakterystyczną tego tomu jest wyróżnik tematyczny — wszystkie utwory w mniejszym lub większym stopniu dotyczą Warszawy, jej teraźniejszości i przeszłości. Zwięzłość i koncentracja na jednym tylko wydarzeniu czy zjawisku, odtworzenie jakiejś charakterystycznej sytuacji, nadanie opisowi waloru uogólniającego — oto co prowokuje do nazwania utworów Koprowskiego zebranych w tym tomie obrazkami rodzajowymi. Koprowski Warszawy nie opisuje. Raczej oddaje atmosferę stolicy, jej niepowtarzalność, jej symboliczną dla Polaków (choć nie tylko dla Polaków) rolę. Nie opisuje miasta, lecz opowiada o nim, przedstawiając związanych z nim ludzi, i to nie tylko tak zwanych warszawiaków z dziada-pradziada, także mieszkańców powojennych, a nawet zagranicznych turystów. Ci ostatni zwłaszcza dysponują szczególną skalą porównawczą.

Zaletami prozy Jana Koprowskiego są: zwięzłość, dążność do możliwie najdokładniejszego przedstawienia sytuacji, dyskretne pointowanie, wydobywające prawidłowości, którym wszyscy podlegamy i przed którymi nikomu jeszcze nie udało się skryć. Z prozy tej przebija prawda o różnych ludziach, jej wydobyciu zazwyczaj służy konfrontacja marzeń z rzeczywistością. Bohaterowie Koprowskiego to ludzie pogodni, jakkolwiek życie dokuczyło im nie raz, nie dwa. Nie poddają się niepowodzeniom — ratuje ich poczucie humoru. Zamysł takiego właśnie ukazywania rzeczywistości przedstawionej służy porządkowaniu świata, wynika z potrzeby przypominania o wartościach podstawowych, takich jak miłość, wierność, poszanowanie starszych, przywiązanie do ludzi i miejsc etc. Co nie oznacza wcale, iż autor „Trou Madame" skłania się w stronę moralistyki. Hołduje raczej zadumie. Nad losem jednostkowym i naszym wspólnym — narodowym.

3.

Poezję Jana Koprowskiego cechuje liryzm i refleksyjność. Potrafi on cieszyć się światem. Uczucia tego nie mąci coraz częściej manifestująca się świadomość nieuchronności przemijania. W wierszach Koprowskiego, zwłaszcza ostatnich, powraca przeszłość: jako wspomnienie, jako sen, a nawet jako jawa. Nie spotykamy tu jednak nostalgii — jest rzeczowość, jak w poincie wiersza „Czytanie książek":

Czas który był moim przyjacielem
przeszedł do obozu moich wrogów.

Lektury, podróże, doświadczenia banalne i niecodzienne, radości i smutki życia rodzinnego (między innymi przedwczesna śmierć syna), wspomnienia szkolnych kolegów, apostrofy do przyjaciół po piórze, historia i teraźniejszość naszego kraju — to najczęstsze motywy wierszy. Przebija z nich doświadczenie, z którego wypływa pogodny, pełen zrozumienia stosunek do świata. Zrozumienia czy wyrozumiałości? Oto bowiem w tej klarownej myślowo i warsztatowo poezji przejawiają się wątpliwości:

Czy świat się zmienia
czy my się zmieniamy
czy to jawa prawdziwa
czy sen nierzeczywisty?
Trudno objaśnić
czego objaśnić niepodobna.

W dedykowanym małżonce wierszu poeta stwierdza: *„Jest tylko wczoraj i jutro, nie ma dziś".* Przewrotnej tej formule pozostaje wierny, ale w przyszłość wybiega z rzadka, zdecydowanie woli powroty do rzeczy i spraw minionych. Jego wiersze to często poetyckie listy, które mają wszelkie szanse być odesłane z adnotacją: adresat nieznany. Czym bowiem jest przeszłość, ta osobista, najbardziej intymna? Czy nie owym dalekim brzegiem, niedostrzeganym przez innych?

Budowaniem mostów błękitnych nazwał kiedyś literaturę Karol Irzykowski. I Koprowski w pewnym sensie czerpie z tego. Stara się — mimo niemożności — budować most zrozumienia, most łączący życie i literaturę.

4.

Są twórcy, którzy muszą odnotować każdą ciekawszą podróż, każde ciekawsze spotkanie, rozmowę, lekturę. Należy do nich autor „Ludzi i książek", wytrwały i konsekwentny kronikarz powszedniego dnia literatury. Można powiedzieć, iż w ciągu wielu lat swej wszechstronnej literackiej działalności wyspecjalizował się on w tropieniu polskich przygód literackich za granicą, w szczególności w niemieckim obszarze językowym. Sprzyjały temu funkcje pełnione w Związku Literatów Polskich oraz w redakcjach.

W swych reportażach, szkicach i felietonach Jan Koprowski nie ukrywa, że w świecie różnie o nas mówią i piszą, że obok zalet dostrzegają i wady. Relacjonuje owe opinie na ogół bezstronnie, lecz niejednokrotnie przecież obruszy się w nim dusza Polonusa, gdy ktoś przekroczy granice obiektywizmu i wypowiada się o Polsce i jej literaturze w sposób krzywdzący, czy choćby prowokujący. Przypomina wtedy pogląd Karla Dedeciusa, najwybitniejszego tłumacza literatury polskiej na język niemiecki: *„Charakterystyczne dla literatury polskiej jest jej zaangażowanie, co należy zawdzięczać jej spontaniczności, witalności i oryginalności. Nie jest ona literaturą bezbarwną, lecz pełną silnych indywidualności. Wiersze, powieści, opowiadania, utwory satyryczne ujawniają zróżnicowaną, wielorodną koegzystencję konfliktów. To ją uwierzytelnia i sprawia, że literatura ta staje się pasjonująca i sympatyczna".* Wdzięczna ta opinia to dopiero jedna strona medalu. Wciąż przecież napotykamy opór. Jesteśmy bardziej otwarci na świat, niż świat chce być otwarty na nasz kulturalny dorobek.

Relacje: Polska — Europa i Europa — Polska intrygują Koprowskiego bez przerwy. Trudno w tym miejscu zrelacjonować wszystkie jego związane z tym tematem refleksje i obserwacje. Posłużmy się więc skrótem, anegdotą, zanotowaną przez Hansa Habego w książce „Życie dla dziennikarstwa". Otóż przypomina on wywiad, jakiego udzielił jednej z francuskich gazet Marek Hłasko. Autor „Pierwszego kroku w chmurach" powiedział, iż pragnie powrócić do Polski, bo *„rozczarował go Zachód, nie rozumiejący, gdzie tkwią rzeczywiste siły epoki, a poza tym pozostawił w Warszawie szczoteczkę do zębów".* Pointa ta nie wymaga chyba komentarza. Anegdotkę powyższą przytoczyłem nie tylko dla jej celności. Przy okazji bowiem chciałem zilustrować sposób pisania autora „Jak nas widzą, jak nas piszą" — żywy, obrazowy i zwięzły. O sposobie tym wypowiada się Koprowski w zawartym w przywołanej powyżej książce tekście pt.: „Dwa wspomnienia i jeden morał". Wspomnień nie zdradzę, lecz w ramach zachęty do lektury zdradzić mogę morał: pisać należy zwięźle i nie zapominać o żelaznej zasadzie — dowcip na początku, dowcip w środku i dowcip na zakończenie. Po prawdzie — to dowcipów Koprowski nie nadużywa, wie przecież, że dzisiejszy świat jest przeludniony nie tylko słowami, lecz i dowcipami.

Z zapisków Jana Koprowskiego wyłania się obraz stosunków literackich Polski z innymi krajami: niejednolity, skomplikowany, niekiedy serdeczny, innym razem ostrożny, jeśli nie wręcz powściągliwy. Ale w każdym przypadku interesujący, dający świadectwo potrzebie wymiany myśli i książek, potrzebie spotkań i rozmów, potrzebie nieustannego zbliżania narodów.

5.

W serii „Klasycy literatury XX wieku" wyszła książka Jana Koprowskiego poświęcona życiu i twórczości znanego pisarza austriackiego Józefa Rotha. Stanowi ona pierwszą w języku polskim monografię autora „Hotelu Savoy".

Józef Roth, przeżywając renesans w krajach niemieckiego obszaru językowego, cieszy się znaczną popularnością i u nas. Roth przez całe życie zmagał się z przeciwnościami losu: nie znał swego ojca, walczył z nieuleczalną chorobą żony, pokonywał materialny niedostatek, wpadł w nałóg alkoholizmu, wiódł żywot emigranta. Przede wszystkim jednak pisał. Wracał w twórczości do kraju lat dziecinnych (galicyjska mieścina Brody), dawał wyraz tęsknocie do monarchii austro-węgierskiej, przeciwstawiał się podejrzanym tendencjom politycznym. W odpowiedzi na ankietę dziennika „Pariser Tagblatt" z 1934 roku powiedział między innymi: „Nie ma prawdziwie wartościowego talentu bez następujących właściwości: 1. współczucie dla ludzi uciskanych, 2. miłości do dobra, 3. nienawiści wobec zła, 4. odwagi, aby współczucie dla słabych, miłość do dobra, nienawiść wobec zła, wypowiadać głośno i niedwuznacznie, a więc jasno i wyraźnie".

Dokonana przez Koprowskiego analiza twórczości Józefa Rotha wykazuje wszystkie jej zalety: ideową klarowność, liryzm i humor, a także swoistą tęsknotę za tym, co odeszło, tęsknotę za stabilnością, odpowiedzialnością i poszanowaniem człowieka. Jest to analiza przede wszystkim informacyjna. Koprowski chce po prostu możliwie najdokładniej przedstawić autora „Marsza Radetzy'ego" polskim czytelnikom.

W książce o Rocie nie brakło i ciekawostek. Myślę, że czytelników „Odgłosów" zainteresować może opinia Józefa Rotha o mieszkankach Łodzi anno 1928: „Nieprawdopodobnie eleganckie kobiety. Niektóre wyglądają tak, jakby wprost z paryskich kawiarni przyleciały tutaj samolotem i rozsypano je malowniczo w pejzaż łódzkiego wieczoru".

6.

Pisarstwo Jana Koprowskiego jest przede wszystkim świadectwem jego obecności w życiu literackim. Jest także — w znacznej mierze — świadectwem jego obecności w Łodzi. Stwierdził to zresztą sam w szkicu „Podróże po Polsce": *„Nie mógłbym wykreślić ze swojego życia lat spędzonych na Kielecczyźnie, w Łodzi, na Dolnym Śląsku. Nie chodzi o to, że wykreślać ich nie ma potrzeby. Chodzi o to, że wszędzie tam zostało coś ze mnie i zewsząd tam poszło coś ze mną w świat — do innych miast i innych ludzi".*

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI ■

Henryk Szylkin

Wyznanie

Jak mam cię kochać
kiedy śnią się połamane drzewa
a zamiast piwonii piołun w ogrodzie
podlewany łzą

Znikła też ławka ze słodkookim błyskiem
gwiazd
i bluszcz co całował twoje policzki
z moimi ustami

Jak mam cię kochać
w krzyku duszonego człowieka
zadymionym krajobrazem
gdzie chore oddechy maszerują ulicami
i nie wiem czy pieszczotę
czy epoki zgęszczony chłód
przynoszę tobie

Jak mam cię kochać
budować nadzieję ze splotu rąk
gdy w cierpieniu co dojrzewa w oczach
pęka nerw życia
a czas wykrzywiwszy nam usta
każe śmiać się
sztucznym śmiechem klowna

Potrzask

Przestrzegają przed pustynią
gdzie nawet kaktus nie wyrośnie
przed cmentarzem ryb wśród poczerniałych
grążeli

u wybrzeży jarzębin i sosen
zamienionych w popiół

Przypominają o bakteriach
zamkniętych w puszkach Pandory
o ogniu co spala piasek pod nogami
o głodzie który coraz szerzej
otwiera usta

Piszą o rakietach wycelowanych we mnie
niepokoją laserem co przecina niebo
straszą iperytem wtłaczanym do bomb
i jeszcze mówią że serce moje
podejrzanie bić zaczyna
a oczy widzą co nie trzeba

Pytania

Prawdę mówić czy kłamać jak drudzy
marchewkę wybrać lub kij
stanąć w pół drogi bo stanęli inni
milczeć choć z gardła wydziera się krzyk

Patrzeć spokojnie przez oko judasza
czy być alarmem na krzywdę i zło
gdy sąsiadowi wyważają drzwi

Wierzyć aniołom co stracili Boga
czy szatanowi co uklękł przed krzyżem

Dojście do mety

Nauczyłem się czytać
z połamanych drzew które nikomu
nie stały na drodze
z brzuchów wywróconych chodników
z dyrwanka perzu zamiast kobierca pszenicy
z samolotów co rykiem jak nożem przecinają
sen

i wiem —
trzeba kochać świat
póki w krwiobiegu utajona chęć
każe źrenicom sięgać na odległość horyzontu
a ciepła ziemia
rodzi trochę kwiatów

Po studenckim „Balu"

Zbyt szybko, niestety, trzeba było w Teatrze Studyjnym im. Tuwima zdjąć z afisza **„Bal manekinów" Brunona Jasieńskiego**, mimo niesłabnącego powodzenia sztuki, aby ustąpić miejsca na scenie próbom do „Kordiana".

Było to przedstawienie dyplomowe IV roku Wydziału Aktorskiego Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej (z udziałem studentów lat niższych) w dynamicznym kształcie scenicznym, nadanym przez reżysera **Bogdana Michalika**, przy współudziale znanego artysty pantomimy **Jana Pieczuro**, odpowiedzialnego za ruch sceniczny, z pomysłowymi dekoracjami i kostiumami **Grzegorza Małeckiego**, podbudowane dobrze brzmiącą muzyką **Zbigniewa Zamechowskiego** (studenta III roku tegoż wydziału!).

Z całą pewnością był to niezwykle udany, choć nierówny wykonawczo, pokaz umiejętności i możliwości młodych adeptów sztuki aktorskiej, który można zarazem uznać za jedną z najciekawszych łódzkich premier bieżącego sezonu teatralnego. Naszym zdaniem najbardziej obiecująco zaprezentował się wielokierunkowo uzdolniony **Andrzej Krukowski** oraz panie — **Adrianna Biedrzyńska** i **Małgorzata Mirek**.

Ci spośród naszych Czytelników, którym nie udało się obejrzeć owego studenckiego „Balu" niech przynajmniej uwierzą nam na słowo, że [illegible] on wart oglądania.

Zdarzenia i zwierzenia

Plotki o Sienkiewiczu

W telewizji mamy powtórzenie serialu o Maryni, na ekranach mamy film „Marynia", będący skrótem telewizyjnej Rodziny Połanieckich". Poplotkujmy zatem o Sienkiewiczu.

„Rodzina Połanieckich", podobnie jak „Bez dogmatu" czy ostatnie „Wiry" uznawana jest za mniej udaną powieść wielkiego pisarza. W jego biografii literackiej były zresztą zaskakujące wzloty i upadki. Ostatnim wielkim dziełem Sienkiewicza są „Krzyżacy". Potem powstały słabe „Na polu chwały" i „zupełnie beznadziejne" — jak pisze Cat-Mackiewicz — „Wiry".

A oto raptem w dwa lata po „Wirach" nawrót do świetności — „W pustyni i w puszczy". Dlaczego?

Stanisław Cat-Mackiewicz całe życie głosił pogląd, że Sienkiewicz kochał się w podlotkach i to właśnie przesądziło, że jego typy kobiece są takie nieskomplikowane psychologicznie. Im bardziej zbliżają się do typu małolata, tym są wyrazistsze i lepsze — choćby Litka z „Rodziny Połanieckich". Mam oczywiście na myśli powieść, nie film.

Kontynuując ten motyw Cat-Mackiewicz przytacza list 64-letniego Sienkiewicza do kilkunastoletniej Wandy U. Czytamy w nim: „Zabrałem się już do Stasia i Nel, która pożyczyła oczu od jednego Kotka..." A poprzedni list kończy się słowami: „ściskam Twoje rączki, ptaszku najmilszy i całuję kochana czuprynkę..." Albo w innym liście: „Mnie jeden Twój list więcej obchodzi niż tamtych całe tuziny i pisać mi do Ciebie miłej, niż do każdego innego. Bardzo Ci dziękuję raz jeszcze, moja droga Panienko... ściskam Twoje kochane i najmilsze rączki..."

Adresatka tych gorących listów, miała lat... dwanaście.

Listy te wydano po wojnie w układzie prof. Juliana Krzyżanowskiego, ale — jak pisze Cat-Mackiewicz — uczonemu nie przyszło do głowy zastanowić się nad oczywistym związkiem pomiędzy korespondencją a nadzwyczajnym faktem regeneracji twórczej literackiego talentu. Podobnie jest i w innych przypadkach. Nikt nie badał, czy temat miłości do Anieliki nie był wywołany stosunkiem między Sienkiewiczem a siostrą jego żony, panią Jadwigą Janczewską, z którą pisarz utrzymywał żywą korespondencję właśnie w czasie wydania „Bez dogmatu".

Do Sienkiewicza mamy stosunek hołdowniczy, i słusznie, bo dał polskiej i światowej literaturze parę wspaniałych dzieł, do dziś obecnych w obiegu czytelniczym. Myślę jednak, że ma rację Cat-Mackiewicz (również zresztą wielbiący Sienkiewicza) żądając od badaczy, od historyków literatury, nieusuwania w mrok niedyskrecji prywatnych, jeśli mogą być one kluczem czy komentarzem do twórczości pisarza.

Zarzuca także Cat-Mackiewicz prof. Krzyżanowskiemu, że w pruderyjny sposób potępia wszystkie plotki na temat Sienkiewicz—Modrzejewska. Pisarz niewątpliwie kochał się w Modrzejewskiej, co zgodnie stwierdzają poważni badacze tamtej epoki. Zresztą w Modrzejewskiej kochało się wielu — od jej pierwszego męża Zimajera, po hrabiego Chłapowskiego, czyli drugiego męża... Ale nie tylko. Urzekła Modrzejewska w czasie pobytu w Stanach Zjednoczonych nawet wielkiego poetę amerykańskiego, sędziwego Henry'ego Longfellowa. Stary poeta, po występach Modrzejewskiej w Bostonie osobiście obszedł wszystkie redakcje, aby swoim autorytetem wpłynąć na przychylny ton amerykańskich recenzentów.

Jeśli ta artystka miała tak wielki dar jednania sobie ludzi, musiała więc w jakiś sposób wpłynąć i na Sienkiewicza. Czyż nie jest bowiem dziwne, że Sienkiewicz uważany u nas nie tylko za apologetę szlachetczyzny ale i za obrońcę cnót mieszczańskich, w tak dziwny sposób zachowywał się wobec Modrzejewskiej i jej męża?

Kiedy Chłapowski siedział na farmie w Anahein, próbując — bez powodzenia zresztą — gospodarować zupełnie nie po amerykańsku, Sienkiewicz wędruje z Modrzejewską po Ameryce, ślą entuzjastyczne artykuły do polskich gazet. W Warszawie owych czasów te hołdownicze recenzje budziły fale plotek.

Czy ta — platoniczna zapewne — miłość wielkiego pisarza do wielkiej artystki nie pozostawiła żadnego śladu w twórczości? Oczywiście Cat-Mackiewicz ma opinię skandalisty i być może w swoich supozycjach nieco przesadza, ale problem „Sienkiewicz i kobiety" (choćby te nieudane małżeństwa) nie jest tylko problemem alkowy, lecz ma zapewne związki z twórczością pisarza. Życie Sienkiewicza jest komentarzem do jego twórczości — a zatem i plotka jest ważna.

JERZY WILMAŃSKI

„Raz w roku w Skiroławkach"

Szanowny Towarzyszu Redaktorze!

Przez przeszło 2 miesiące z zaciśniętymi zębami przyglądałem się jak w polskiej prasie poniewiera się moim nazwiskiem i tytułem mojej książki „Raz w roku w Skiroławkach". Jak podchwytuje tę sprawę „Wolna Europa" i tygodnik zachodnioniemiecki „Stern" aby oskarżyć nasz rząd, naszą partię — o demoralizowanie narodu. Tu i ówdzie odcinałem się, ale jednocześnie chciałem, aby do końca obnażyły się pewne mechanizmy działające w naszym życiu kulturalnym. Albowiem, Towarzyszu Redaktorze, przez cały czas mówiono o książce, której **nikt nie czytał**, ba, nikt jej nawet w ręku nie trzymał.

Obecnie, jak sądzę, nadeszła pora, aby obnażyć owe mechanizmy. I poddać je sądowi Czytelników, w tym przede wszystkim członków naszej partii.

1. Pisarz, po pięciu latach pracy nad ogromną 2-tomową książką liczącą ponad 800 stron, udziela kilku wywiadów, w których oświadcza, że napisał powieść o stosunkach polsko-niemieckich, a ściślej o integracji ludności zamieszkującej nasze ziemie północne.

2. Po wywiadach następuje cisza. Książka w grudniu wchodzi na maszyny rotacyjne.

3. W tym samym czasie na prośbę jednego z prowincjonalnych tygodników autor pozwala wydrukować trzy małe fragmenty z końca I tomu „Raz w roku w Skiroławkach".

4. Jednocześnie na skutek anonimowego listu z dopiskiem „Bierz go" — czołowy polski tygodnik polityczny piórem czołowego felietonisty oskarża tę książkę o demoralizowanie narodu, na podstawie przeczytanych niedbale trzech fragmentów. Niedbale — ponieważ popełnia dwa kłamstwa. Pisze o „pośladkach rzeźbiarki Aldony", choć — jak to się każdy może przekonać, **nie ma w mojej książce żadnej rzeźbiarki** Aldony. Pisze on też, że autor zaczął drukować początek powieści, choć to koniec pierwszego tomu.

5. W następnych tygodniach ten sam tygodnik znowu podejmuje temat **rzeźbiarki** Aldony, potem o **rzeźbiarce** Aldonie powtarzają bezkrytycznie inne pisma. Nikt nie raczy się pofatygować, aby przyjrzeć się przedmiotowi ataku — to znaczy książce.

6. W końcu grudnia druk książki jest zakończony. Mimo tego **nikt** nie raczy zapoznać się z przedmiotem sporu, powtarza się wciąż te same głupstwa i kłamstwa, jeden dziennikarz po drugim, jedno pismo po drugim. Podchwytuje temat „Wolna Europa" i „Stern". Oni także **nie znają** książki. Ale co im szkodzi powtarzać bezkrytycznie oskarżenie polskiego felietonisty?

7. W trakcie druku „ginie" z drukarni 900 egzemplarzy książki. Wydawca popełnia głupstwo — zamiast rozesłać książkę redakcjom i różnym instytucjom w kraju, decyduje się cały nakład przekazać Domowi Książki, a dopiero z „dodruku" rozesłać zainteresowanym. Tymczasem w prasie dyskusja o książce trwa nadal, choć nikt wciąż **nie zna** książki.

8. Dom Książki i składnica księgarska mają swoją politykę robienia planów. Wstrzymują rozpowszechnienie, aby móc realizować swoje własne plany finansowe w poszczególnych miesiącach. I dzieje się tak, że książka trafia do sprzedaży, na przykład w Morągu, a nie ma jej w Iławie i długo nie będzie. Nie trafiła jeszcze do głównych miast polskich. Znowu więc przedmiot sporu nie jest znany.

9. Książki i sprawy broni Jan Rem w „Tu i Teraz". Broni choć też książki **nie zna**, nie czytał jej, nie miał jej w ręku.

Oto jak działają „nasze mechanizmy", Towarzyszu Redaktorze. Propagandowe mechanizmy.

A tymczasem jaka jest prawda o tej książce? Jest to historia pokazująca procesy integracyjne ludności mazurskiej, ukraińskiej, warmińskiej i polskiej — w małej wiosce „gdzieś na północy" kraju. Aby nie być oskarżonym o tanią propagandę, autor ucieka się do formy baśni o Kłobuku, który płacze ludzkie losy. Zamiast Mazurów i Warmiaków mamy Baudów i Bartów, zamiast Krzyżaków i junkrów pruskich — Kawalerów Maltańskich, itd., itp. Książka jest próbą nawiązania dialogu i także swoistą polemiką z takimi książkami o tych problemach jak „Dzieci Jerominów" Wiecherta, Kirsta „Pan Bóg zasnął na Mazurach", Lenza „Muzeum Ziemi Ojczystej", a także — choćby przez swą baśniową formę i nie tylko — z „Blaszanym bębenkiem" Grassa.

I oto całą tę problematykę, całą tę książkę — usiłuje się zepchnąć w ślepą uliczkę demoralizowania narodu.

Mam tylko jedno pytanie: kto napisał anonim do czołowego felietonisty z dopiskiem „Bierz go". I dlaczego taki felietonista, zanim weźmie się do ataku, nie zapozna się z utworem? Kto uruchamia w naszym kraju mechanizmy kłamstwa? Dlaczego jedno pismo powtarza za drugim tę samą bzdurę, a nikt nie raczy zapoznać się z przedmiotem dyskusji?

Z poważaniem.

ZBIGNIEW NIENACKI

(TRYBUNA LUDU nr 48 z 25/26 lutego 1984).

Bigos hultajski

MIESZANKA FIRMOWA LITERACKO — OBYCZAJOWA

TRÓJKRÓLEWIE

Po zgonie Jana III Sobieskiego (1696) Polska coraz bardziej pogrążała się w chaosie i anarchii, która miała doprowadzić do rozbiorów i ostatecznego wykreślenia Rzeczypospolitej Obojga Narodów z politycznej mapy Europy. Warcholstwo szlachty i samowola magnaterii skazały kraj po śmierci króla na bolesne doświadczenia wojny wewnętrznej. Młodziutki król szwedzki Karol XII, zanim został pokonany przez cara Piotra I, skutecznie zwalczał powołanego na tron polski Augusta II z saskiej dynastii Wettynów, a na boku siedzący w Berlinie elektor brandenburski umacniał swe wpływy w północno-zachodniej Polsce. Poniższy wiersz nieznanego poety, zapisany w rękopisie proboszcza ze Świecia, opublikował po latach K. Froelich w piśmie „Altpreussische Monatschrift", a następnie w książce „Geschichte des Graudenzer Kreises" (Grudziądz 1872):

Szczerze trzech królów święta Polska odprawuje,
Kiedy na swoim gruncie trzech razem rachuje:
Szweda, Sasa, Prusaka, których jest robota,
Że są figurą mirry, kadzidła i złota.

Szwedzi są gorzką mirrą, że na takich gości
Radzi nieradzi musiem zażyć cierpliwości.
Sas kadzidłem, bo kiedy przed Szwedem uchodził,
Szpetnie kadził i całą Polskę nam zasmrodził.

Brandenburczyk zaś złotem korumpując chytrze,
Aby pruską koronę utrzymał przy mitrze,
Przez co się osobliwa rzecz w tym państwie stała,
Że ta Epiphanija do nas zawitała.

Stąd Betlejem i Polska na równej jest szali,
Bo tamto już zginęło, a ta już się wali.
I bardzo bliska zguby, chyba Bóg obrońca
Nie da nam w tym nierządzie upadać do końca.

PIOTRKOWSKA

Główny trakt niegdysiejszej i współczesnej Łodzi doczekał się pięknego opracowania pt. „Ulica Piotrkowska" (Łódź 1970). Z biegiem czasu wypiękniała Piotrkowska bardzo, ale przed niespełna wiekiem przybyszowi ze stołecznej Warszawy jawił się odpychający obrazek fabrycznego miasta. Zapis poniższy pochodzi z felietonu „Terra incognita", podpisanego kryptonimem W. M., pod którym ukrywała się pozytywistka warszawska, przyjaciółka Marii Konopnickiej, Waleria Marrene-Morzkowska (1832—1903):

„Ulice źle brukowane, chodniki asfaltowe rzadko gdzie, i to tylko na głównej Piotrkowskiej ulicy widzieć można, przy niej sklepy, a raczej sklepiki skromne, zaniedbane. Wielkie miasto i mieścina wszędzie się stykają z sobą i mieszają tak, iż niepodobna orzec, do której z tych kategorii Łódź zaliczyć należy. Nieraz w gmachu o pałacowym wyglądzie spotyka się sklep tak nędzny, jakby w jakiej niepozornej osadzie. Wystawy nie nęcą wzroku, kupiec nie rozkłada towaru, sklep istnieje tu tylko dla potrzebujących, a jego powierzchowność odpowiada powierzchowności przechodniów".

BALKON

Była mowa o domach, więc pewien agronom
Zawzięcie perorował przeciwko balkonom.
Pytam: „Czemu?" — „Teściowa z okna wyleciała,
Zawiśla na balkonie..." — „No i?.." — „Ocalała!"
Kalendarz Łódzki humorystyczno-satyryczny
„Syf" na rok 1914

PŁASZCZ KSIĘCIA NAMIESTNIKA

O wielkim księciu Konstantym Pawłowiczu, bracie carów Aleksandra i Mikołaja Romanowów, pisałem już w 32 numerze „Odgłosów" z r. ub., teraz zaś przytaczam kolejną anegdotę z cytowanych już „Wspomnień podchorążego z czasów w ks. Konstantego" (Lwów 1863), których autorem był Ignacy A. Komorowski:

„Pewnego dnia w zimie, wielki książę wysiadając z kocza przed koszarami 4 pułku, zrzucił z siebie płaszcz bobrami podszyty i oddał go żołnierzowi stojącemu przed koszarami. Wychodząc, woła o podanie płaszcza, lecz ani płaszcza, ani żołnierza odszukać nie było można. Rejwach w koszarach, rewizja najostrzejsza przez parę dni, wszyscy żołnierze konsygnowani, a płaszcza jak nie ma tak nie ma. Nareszcie ostygł wielki książę z pasji, śmiał się z odwagi złodzieja, który na własność jego się targnął, i obiecywał, że nie tylko karać nie będzie, ale nadto wynagrodzi swoicie sprawcę, byle się tylko przyznał. Obietnice Konstantego nie wzbudzały wielkiego zaufania, bo płaszcz na wieki przepadł".

PLON WIEDZY

Gdyby bibliotek duchowa siła
W dobroci wyrosła żniwo —
Jakże by ludzkość szlachetną była!
Jakże by była cnotliwą!

Ale, niestety! Ów duch, co płynie
Z mądrości wieków książkowej —
Króluje tylko w myśli dziedzinie...
Nie w serca wniknął, lecz w głowy...
Aleksander Kraushar: Stroje jesienne. Kraków 1903 (wyd. bezimienne).

PRZYPIS BIBLIOGRAFICZNY

Informuję sympatyków twórczości niesłusznie dziś zapomnianego autora poczytnych niegdyś powieści historycznych Walerego Przyborowskiego (1845—1913), że udało się wzbogacić bibliografię dzieł tego syna ziemi kieleckiej jeszcze jedną powieścią, która skutecznie zniknęła z pola widzenia wytrawnych bibliografów, nie została też odnotowana w znakomitym zresztą opracowaniu pióra Jerzego Cieślikowskiego (Obraz literatury polskiej. Seria 4. Literatura polska w okresie realizmu i naturalizmu. T. 3). Chodzi to o niewielką (118 stron liczącą) książeczkę pt. „Trupieniec. Obrazek z czasów drugiego najazdu szwedzkiego. Przez Zygmunta Lucyjna Sulimę", wydaną w 1890 r., przez Gebethnera i Wolffa w Warszawie, ale drukowaną w Kielcach w drukarni „Gazety Kieleckiej".

Niektóre powieści Z. L. Sulimy, bo pod takim pseudonimem ukrywał się czasem Przyborowski, były „wolne od natrętnego gadulstwa, dydaktyki, moralizowania i stylistycznej afektacji" i do dziś cieszą się powodzeniem wśród młodocianych i dorosłych czytelników, choć dostępne są tylko w bibliotekach.

Opracował: ANDRZEJ KEMPA

Mieszkanko pełne snów

Michaił Bułhakow (1891—1940) zafascynował czytelnika polskiego powieścią „Mistrz i Małgorzata", której pierwsze wydanie ukazało się w oficynie „Czytelnik" w końcu lat sześćdziesiątych. I choć znany nam był uprzednio jako autor sztuk teatralnych „Dni Turbinów", „Molier. Zmowa świętoszków" i „Ucieczka", to przecież dopiero w „Mistrzu i Małgorzacie" ukazał w pełni swój wybitny talent literacki, przebogatą wyobraźnię wyrażającą się w oryginalnej metaforyce poetyckiej, wreszcie gogolowski zmysł satyryczny.

Oglądana przez taką optykę sztuka „Mieszkanko Zojki czyli czarna magia oraz jak ją zdemaskowano", wystawiona ostatnio w Łodzi na dużej scenie Teatru Nowego, w poważnym stopniu rozczarowuje. Może zbyt wiele sobie po autorze „Mistrza i Małgorzaty" obiecujemy, a tu tymczasem mamy do czynienia z mniej udanym utworem, choć ewokowanym tym samym piórem.

Mniej udany w zestawieniu z arcydziełem to jeszcze nieciężki zarzut. Tekst sztuki ujawnia miejscami znakomite pisarstwo Bułhakowa, niektóre postacie — zwłaszcza te widziane w krzywym zwierciadle — nakreślone są plastycznie. Natomiast stosunkowo nienadzwyczajnie wyszła pisarzowi postać tytułowa, która w założeniu ma być prowadząca w sztuce. Z pewnością słabsza jest druga część utworu od dobrze zawiązanej części pierwszej.

„Mieszkanko Zojki" miało swą prapremierę w moskiewskim Teatrze Wachtangowa, przy czym reżyserował przedstawienie sam Eugeniusz Wachtangow. Było to w roku 1926, a więc w czasie funkcjonowania Nowej Polityki Ekonomicznej. NEP, uruchamiając dla wyżywienia i odbudowy kraju między innymi także kapitały prywatne, stwarzał mimowolnie nieuczciwym jednostkom szansę do nadużyć, a co za tym idzie do nieuzasadnionego, rozpasanego bogacenia się.

W taki oszukańczy sposób korzysta z nie dość skrupulatnej kontroli ze strony władz bohaterka sztuki, Zoja Denisowna Pelc, która uzyskawszy lokal i koncesję na prowadzenie zakładu szyjącego odzież roboczą, uruchamia pod tym płaszczykiem tajny dom schadzek. Mieszkanie jej przy starej i sławnej ulicy moskiewskiej Arbat, bezbarwne w dzień, a rozbłyskujące wieczorami blichtrem kolorowych kinkietów, cekinów i obnażonych ciał kobiecych, jest miejscem akcji sztuki. Tutaj mogą upłynniać swoje łatwe i wielkie zyski nepmani, wszelkiego autoramentu kombinatorzy i skorumpowani urzędnicy.

Nic dziwnego zatem, że mieszkanie Zojki urasta do pewnego symbolu tego zdeprawowanego światka wegetującego jak liszaj na organizmie społecznym. Nie ma tu ludzi uczciwych, gdyż tacy na Arbat do Zojki nie przychodzą. Autor zgromadził natomiast doborowe grono osób, w którym hochsztaplerzy mieszają się z przedstawicielami ancien régime'u.

Tym ostatnim, reprezentowanym w sztuce przez męża Zojki, autentycznego arystokratę Pawła Fiodorowicza Oboljaninowa i przez eks-damę Allę Wadimową, nie marzy się już powrót carskiej Rosji. Te rachuby załamały się wraz z upadkiem zbrojnej kontrrewolucji. Myślą więc tylko o tym, w jaki sposób wyemigrować z kraju, z nepmanami zaś koegzystują w nadziei, że w tym otoczeniu znajdą środki materialne na urzeczywistnienie swych planów.

Jeżeli reprezentanci dawnych warstw posiadających, ukazani w stanie kompletnej degrengolady, ale w jakiś sposób w wierności dawnemu modelowi życia, budzą tylko litość, to szczególnym wstrętem przejmują ludzie o dwóch obliczach, jak dyrektor przedsiębiorstwa państwowego, a równocześnie protektor Zojki i stały bywalec jej „mieszkanka" Borys Siemionowicz Gąsior, czy lichutki łapownik i pieczeniarz, de officio przewodniczący komitetu blokowego — Anisim Zotikowicz Portupieja. Złym geniuszem mieszkanka Zojki i animatorem jej poczynań jest gałgan, kombinator, człowiek bez zasad i jakichkolwiek przekonań — Aleksander Tarasowicz Ametystow.

Sztuka Bułhakowa, licząca już sporo ponad pół wieku, osadzona jest mocno w realiach tamtego okresu w Związku Radzieckim. Rodzi się pytanie, czy wystawiana dziś w Polsce — odrzucając modę na Bułhakowa jako kryterium wyboru — ma charakter klasyki teatralnej, czyli inaczej mówiąc jest anachronizmem wobec naszej współczesności, czy też w pewien sposób się z nią rymuje lub współbrzmi. Według mnie nie warto sięgać po „Mieszkanko Zojki" jak po dokument historyczny, uwierzytelniający odległe nam czasy i uwarunkowania. Na to sztuka jest zbyt wycinkowa. By zaś wejść do kanonu klasyki — zbyt nierówna w materii teatralnej.

Cóż zatem może stanowić motywację odświeżenia tekstu i przyobleczenia w formę współczesnego przedstawienia? Jedynie niektóre, odległe zresztą pokrewieństwa sytuacji. Przejawami towarzyszącymi kryzysowi gospodarczemu i strukturalnemu w dzisiejszej Polsce są także często drastyczne przypadki spekulacji, żerowania na trudnym położeniu społecznym przez elementy nieuczciwe. Spektakl mógłby więc służyć piętnowaniu takich postaw.

Śladów powyższego rozumowania można doszukać się w widowisku Teatru Nowego. Brak jednak konsekwencji reżyserskiej w utrzymaniu całości w jednolitym charakterze. Część wykonawców skłania się ku rodzajowości typowej dla społeczeństwa radzieckiego lat dwudziestych — ci wychodzą z indywidualnych zadań przynajmniej obronną ręką — inni wydają się zagubionymi między wiernością literze tekstu a jego aluzyjnością. Można mówić o próbkach dobrego aktorstwa w spektaklu trudniej zdobyć się na pochwałę gry zespołowej. Nic chyba nie zostało zachowane z dystansu do postaci i traktowania ich jako znaków — symboli w alfabecie, jakim Bułhakow pisał obraz współczesnego sobie społeczeństwa. I to chyba obciąża reżysera przedstawienia Pawła Dangla.

Rola Zojki nie bardzo przystaje do emploi Teresy Makarskiej, którą znamy z ciekawszych kreacji aktorskich. Przy całej rzetelności w stosunku do tworzonej postaci aktorka gra ją, jak się wydaje, bez przekonania. Spiętrzają się tu chyba słabości tekstu, nie dające wykonawczyni pełnych szans, jak i brak zdecydowania reżysera, o czym wyżej.

Najlepiej oceniam w przedstawieniu robotę aktorską Józefa Zbiróga w roli Portupieji. Tę epizodyczną postać wyposaża aktor w ogólniejsze treści, właściwe nie tylko początkom państwa radzieckiego. Skąd my to znamy?! — chciałoby się zakrzyknąć.

Widmowy, jak symbol umarłego świata, jest Oboljaninow w wykonaniu Piotra Krukowskiego. Przyjętą konwencję udaje się aktorowi utrzymać przez całe przedstawienie włącznie z końcową kulminacją wydarzeń scenicznych.

Ametystow Dymitra Hołówki, choć bardziej przekonywający jako łump w pierwszej części sztuki niż w charakterze wyfraczonego administratora i duszy lupanaru w części drugiej, zagrany został z poczuciem humoru i temperamentem.

Janusz Kubicki jako Gąsior zawierzył zanadto swemu doświadczeniu aktorskiemu, nie szukając nowych rozwiązań w ujęciu roli. Jest więc w dużej mierze naśladowcą samego siebie z innych, dość nalszych ról.

Niespójność stylu gry aktorskiej ujawnia się zarówno in plus jak i in minus. Na przykład komiczna, choć trochę na własny rachunek jest Janina Borońska jako jedna z „modelek" Zojki — Lizunia. Natomiast postacie dwóch Chińczyków, Ganzalina i Cherubina, w swej groteskowości graniczą z naiwnością. Nieznajomi I i II (czytaj: funkcjonariusze milicji) są dwuznaczni i nieokreśleni raczej z braku koncepcji niż z jej nadmiaru.

Pole do popisu stworzone scenografom wykorzystali z inwencją nie zawsze najtrafniejszą Ewa i Paweł Ogielscy, zwłaszcza w końcowej fazie widowiska, gdy kwatera Zojki ujawnia się w całej okazałości jako mieszkanko pełne snów, żałosnych, kiczowatych na miarę nepowskiego gustu, ale przecież — snów.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

Teatr Nowy: Michaił Bułhakow „Mieszkanko Zojki" (Zojkina kwartira), sztuka w 4 aktach; przekład i reżyseria — Paweł Dangel; scenografia — Ewa Nowicka-Ogielska i Paweł Ogielski; muzyka — Janusz Stokłosa; fortepian — Jolanta Majchrzak; choreografia — Janina Niesobska; premiera — 12.II.1984.

Mity codzienne

Miłość do nieobecnej

Ewa ma 23 lata i pracuje w Zakładach Pończoszniczych, Grażyna jest pielęgniarką i skończyła lat dziewiętnaście, Małgorzata chodzi do drugiej klasy Technikum Budowlanego, osiemnastoletnia Monika do liceum, szesnastoletni Piotrek do szkoły zasadniczej. Agata, Kaśka i Kuba — do ogólniaka. W sumie jest ich piętnastka z Łodzi i piętnastka spoza. Spoza to znaczy z Poznania, Gdańska, Katowic. Najmłodszy ma lat 11, najstarsza 23.

Kiedyś mieli prezesa, a właściwie prezeskę. Była nią Ania, która studiuje w Warszawie i razem z Marzeną założyła Fan-Klub Izabeli Trojanowskiej. One miały najbliższy kontakt z Izą, jeździły na koncerty i na przedstawienia do Teatru „Syrena". One to wszystko zorganizowały i ogłosiły w gazecie.

A później już nie było prezesa. Prezes był potrzebny wtedy, kiedy było dużo spraw organizacyjnych, kiedy był potrzebny lokal, kiedy było trzeba reprezentować klub przy różnych ważnych rozmowach. Prezes był też potrzebny, żeby zintegrować kilkudziesięcioosobową grupę, która przecież wcale się nie znała między sobą i na początku nie była tak zgrana jak dzisiaj.

Teraz już nie potrzebują żadnego prezesa i mówią, że jest demokracja i o wszystkim wszyscy decydują. Poza tym po dwóch latach ludzie z klubu są na tyle ze sobą związani, że już nie trzeba kogoś, żeby ich integrował. Integruje ich Iza.

DLACZEGO JĄ KOCHAJĄ?

Chłopców pociąga w niej uroda. No, broń Boże, nie tylko i nie przede wszystkim. Przede wszystkim to pociąga ich w Trojanowskiej „inność" i oryginalność.

Kubę intryguje w niej interpretacja wykonywanych utworów i bardzo dobrze dobrane teksty, które traktują o życiu i są bardzo dla niego przekonywające.

Ewę interesuje Iza Trojanowska przede wszystkim jako człowiek, interesuje ją jej charakter, bo jest w Trojanowskiej coś takiego co potrafi przyciągnąć. Ewa nie potrafi tego bliżej określić, ale to doskonale w sobie czuje i koniec.

Piotrek, co prawda, nie widział jej nigdy tak naprawdę „na żywo", niemniej jednak na podstawie telewizji i płyt potrafi powiedzieć dlaczego mu się podoba. Otóż, podoba mu się dlatego, że jest nie tylko piosenkarką, ale i aktorką. Zaimponował mu również jej wygląd i taki niesamowity wzrok, który tak bardzo potrafi przeszyć do środka, do głębi.

— Iza będąc na scenie gra, w przeciwieństwie do dzisiejszych zespołów rockowych, które ot tak sobie śpiewają. Dzisiejsi soliści zespołów rockowych rozbierają się do pasa na scenie i nie wiadomo co w ten sposób manifestują. I robią to w sposób niejako zwierzęcy. Iza natomiast jest na scenie elegancka (Monika).

— „Republika" gra na „odczep się", lekceważy odbiorców, Kora śpiewa teksty niezrozumiałe, z kolei „Perfect" śpiewał teksty głupie. Piosenki Izy są autentyczne i ona potrafi je nie tylko śpiewać, ale i interpretować (Marzena).

— Nic nie było nam nigdy tak bliskie, niż to co śpiewa Iza. (Ewa)

Krótko mówiąc kochają ją za wygląd, za elegancję, za dobre wykonanie piosenek, za ich treść, za urodę, za fryzurę, za oczy, za spojrzenie i za wiele jeszcze innych rzeczy. Również za bezpośredniość.

Cały czas mówią o niej w czasie teraźniejszym, chociaż wiadomo, że od dwóch lat nie ma jej w Polsce. Mówią o niej w czasie teraźniejszym, chociaż nie chodzą na jej koncerty i nie słuchają najnowszych jej piosenek. Niemniej jednak cały czas są przekonani, że wyjazd Izy jest tylko tymczasowy, że na pewno wróci i to jeszcze w tym roku.

I czekają.

Na początku, kiedy wyjechała nagrywać do Holandii, myśleli, że to tylko na kilka miesięcy. Kiedy się pobyt przedłużał, cały czas liczyli, że wróci już niedługo, i nawet już sobie przygotowywali przywitanie. Bo oni cały czas mają nadzieję.

Utrzymują z nią kontakt przez matkę męża, która dostarcza im listy i odwrotnie. Ostatnio wysłali jej list oraz prezent gwiazdkowy na święta. Ona im pisze co robi, co śpiewa i gdzie mieszka. Ostatnio w Niemczech Zachodnich.

Nie wierzą w żadne plotki, jakie o niej krążą, że to czy tamto. Swojego czasu zrobiono na Izę nagonkę i dlatego młodzież przestała ją lubić i się nią interesować. Prasa tak szybko, jak ją wylansowała, tak szybko ją zniszczyła. I za to mają żal do dziennikarzy. Mówią, że pewnie się nie „wkupiła" jak inne zespoły. Niemniej jednak oni nie uważają, że ich zdradziła. Wprost przeciwnie.

Czekają. I będą czekać do skutku na jej powrót. Choćby latami.

Jest obecna w ich sercach.
Jest obecna w ich duszach.
Jest obecna w ich snach.

Wiedzą o Izabeli Trojanowskiej bardzo dużo. I tak:

Wiedzą jaka jest jej ulubiona potrawa, wiedzą, jaka jest jej ulubiona płyta, wiedzą jak by dała na imię swoim dzieciom. Wiedzą nawet, jaką ostatnio kupiła szafkę oraz, że na ostatnim koncercie miała pod sukienką wieszak. Znają jeszcze wiele innych szczegółów dotyczących jej życia.

Kuba w swoim środowisku jest autorytetem w tej dziedzinie i jest z tego powodu szanowany. Koledzy pytają czasem, co się z nią dzieje i kiedy wróci. Kuba odpowiada.

Marzenie kiedyś nauczycielka kazała zrobić na lekcji wychowawczej pogadankę na temat Trojanowskiej. I zrobiła, a wszyscy ją słuchali. Tylko, że to było dawniej.

Rodzice Magdy ponoć uważają, że gdyby było na maturze pytanie z Trojanowskiej — to na pewno napisałaby świetną pracę i bez problemu zdała maturę.

Poza tym wszyscy w klubie zgodnie twierdzą, że mogliby występować w Wielkiej Grze z tej dziedziny. Ale, wiadomo że takiej dziedziny nie będzie...

LISTY

Na początku przychodziło ich mnóstwo. Nieraz czterdzieści w tygodniu. Z całej Polski — z Wrocławia, Poznania, Częstochowy, Szczecina. Piszą jedenastolatki i piszą dwudziestolatki.

Teraz listów jest mniej, średnio cztery, pięć w tygodniu, przeważnie od stałej grupy korespondentów, od członków fan-klubu spoza Łodzi. Piszą w listach o wszystkim.

Ludzie proszą o zdjęcia, plakietki, plakaty, płyty, proszą o kontakt z Izą, oczekują wieści, pytają o szczegóły z jej życia.

Są listy, w których młodzi ludzie opisują swoje przeżycia związane z Trojanowską. Piszą więc do nich o snach, w czasie których dominowała postać idolki. Piszą o tym, jak ją sobie wyobrażają (to ci, którzy jej nigdy nie widzieli). Są też listy, w których młod ' opisują swoje przewidzenia na ulicy lub w autobusie. Że niby pomylili kogoś z Trojanowską, bo jakaś dziewczyna była bardzo podobna...

Bywają też listy bardziej osobiste. Listy dotyczące własnych problemów i przeżyć.

Pisze chora dziewczyna ze szpitala. Opisuje, że miała operację, jak się czuje, że jest jej bardzo trudno i oczekuje od nich pomocy.

Pisze chłopak z Zakładu Karnego. Opisuje swoje więzienne życie i wiele różnych refleksji. Napisał też, że im podaruje album poświęcony Trojanowskiej, który robi w więzieniu.

Dla nich jest to kontakt ze światem zewnętrznym, listy są od różnych fanów z różnych stron kraju. Jednocześnie mają poczucie, że ich toś potrzebuje.

— Okazuje się, że jesteśmy ludziom potrzebni, że oczekują od nas odpowiedzi, że oczekują życzliwości i trochę ciepłych słów — powiada Kuba.

— A my jesteśmy szczęśliwi, że o Izie jeszcze się pamięta — dodaje Ewa.

Dawniej, jak przychodziło więcej korespondencji — na listy odpowiadali wszyscy. Dzisiaj zajmuje się tym Kuba, niemniej jednak wszyscy znają ich treść. Są przekonani, że po ukazaniu się o nich reportażu znowu będą otrzymywać kilkadziesiąt tygodniowo. Bo są przecież ludzie samotni, którzy potrzebują kontaktu.

FAN

Fanów nie można dzielić, fan to jest zawsze fan i koniec. Można tylko oddzielić prawdziwych fanów od takich, którzy ich udają dla szpanu. Dla szpanu to znaczy, żeby być zawsze na fali. Szpanerzy będą wielbili i udawali, że się znają na tym, co jest aktualnie modne i popularne. Szpanerzy będą się wyróżniali strojem i sposobem bycia.

Oni nie szpanują, choćby z tego względu, że postać ich idolki, co tu dużo ukrywać, nie jest dzisiaj popularna i modna, czyli nie jest na fali.

Niemniej jednak prawdziwy fan zawsze jest ze swoją idolką, niezależnie od tego jak się potoczyły jej losy. Prawdziwy fan powinien być jej wierny i oddany. Prawdziwy fan zawsze stanie w jej obronie.

I oni tacy są.

Jeżeli ktoś źle powie o ich ulubienicy, to zawsze próbują wytłumaczyć i zdementować ewentualne plotki.

Jeżeli ktoś źle o niej napisze — to piszą listy do redakcji w jej obronie. No, nie zawsze drukują, to fakt, ale oni piszą.

Marzena nawet bije tych, którzy źle mówią o Izie. Nie, żeby zaraz krew się lała, ale tak symbolicznie — jak mówi.

Ale Marzena jest wyjątkiem, ma duży temperament i raczej sobie żartuje. Prawdziwy bowiem fan jest tolerancyjny. To, że oni, na przykład, nie lubią Kory nie świadczy wcale o tym, że nie będą szanować jej fanów. Wprost przeciwnie — razem chodzą na różne koncerty, wymieniają poglądy. Mają tylko inne zdanie. Nie akceptują takiej sytuacji, żeby na koncertach fanowie bili się między sobą. A tak się, niestety, zdarza.

CO IM DAJE KLUB?

Uważają, że bez tego fan-klubu nie wyobrażają sobie życia. Przynajmniej raz w tygodniu muszą się spotykać. Kiedyś była taka sytuacja, że przez pewien czas nie mieli możliwości tutaj przychodzić — to spotykali się w Hortexie albo w czyimś domu. Są związani wspólną sprawą i wspólną osobą i dlatego są przyjaciółmi.

Poza tym, że robią dyskoteki dla całego Młodzieżowego Domu Kultury, że organizują różne imprezy poświęcone Trojanowskiej, że jeżdżą na przedstawienia do warszawskiej „Syreny" i nawiązują kontakt z tamtejszymi aktorami, że słuchają jej piosenek i oglądają jej zdjęcia; poza tym, że planują własnymi siłami wystawić przedstawienie oparte na „Sexie i polityce", które ostatnio widzieli w „Syrenie"; poza tym wszystkim co bezpośrednio dotyczy fan-klubu i Trojanowskiej — rozmawiają o innych sprawach, o swoich kłopotach, problemach, o szkole, teatrze.

W ten sposób spędzają wolny czas, odrywają się od szarej rzeczywistości, od monotonii. W ten sposób czują się wolni, swobodni i bezpieczni. Mają sposób na puste wieczory...

Mówią, że kółka zainteresowań w szkole to zupełnie coś innego (nie wszyscy), że tam nie ma takiego luzu. Powiadają, że dzisiaj nauczyciele stracili autorytet i nie można mieć do nich zaufania, że nie można z nimi, nauczycielami, swobodnie i szczerze porozmawiać ani się im zwierzać. Zdarzają się oczywiście wyjątki, ale bardzo rzadko. Generalnie jest tak, jak przed chwilą powiedzieli, nie inaczej. W swoim gronie natomiast czują się pewni i swobodni, nie potrzebny jest im dystans i nie ma żadnego strachu.

Fan-klub w jakimś sensie nauczył ich życia. Nauczył ich życia w ten sposób, że stali się bardziej odważni i zaradni. Kiedy musieli wszystko sami organizować, kiedy jeździli na koncerty, kiedy ot tak po prostu rozmawiali z aktorami z „Syreny" — to pozbyli się nieśmiałości i niepewności.

Przyszłość łączą z osobą swojej idolki. Żyją głównie jej powrotem. Że niby nie wierzę? No, na pewno za kilka lat będą być może myśleć inaczej, ale teraz tak czują. I to jest ważne. Byle jak najdłużej być jej wiernym.

Tak postępuje prawdziwy fan...

JACEK BINKOWSKI

Polemiki • Listy • Opinie

MAM 18 LAT...

Jestem przedstawicielem młodego pokolenia. Mam 18 lat. Każdy człowiek ma prawo do życia, a tym bardziej człowiek młody. Przecież ma on przed sobą jeszcze długą drogę do przejścia i chciałby spokojnie myśleć o przyszłości. Nie chcę, aby ten list był oskarżeniem kogokolwiek, a jedynie wyrażeniem niepokoju, jaki się budzi w nas — młodych ludziach.

Wizja przyszłości świata jest okrutna, bo nie daje szans przeżycia nikomu. Wojna nuklearna będzie najkrótszą i ostatnią wojną tego świata. Dlatego obok niepokoju rodzi się w nas nieopanowana chęć zapobieżenia tragedii. Chcemy różnymi sposobami walczyć o pokój na Ziemi.

Swój protest i ból staram się wyrażać w wierszach. Jeden z nich przesyłam Wam. Skierowany on jest do wszystkich ludzi. W nich tylko widzę jedyną siłę, która mogłaby zmienić obraz przyszłego świata. Ta siła w nich tkwi i czasami odnoszę wyrażenie, że ludzie jej nie dostrzegają. Tylko wiara w sukces ludzi pokoju może tę siłę rozbudzić. Ludzie w podświadomości wierzą, że tragedia może nastąpić w każdej chwili, zdają sobie z tego sprawę, ale boją się tę myśl dopuścić do świadomości. A przecież tylko przez uświadomienie sobie grozy sytuacji można coś zdziałać, można skutecznie walczyć o pokój. Chcę, aby ludzie poczuli się urażeni słowami: „nie wierzcie dalej, że będzie wojna", bo tylko wtedy ich poczucie dumy sprawi, że „uwierzą" i że przestrasza się. Ta siła potrzebna jest teraz. Nie wolno czekać. Niedługo może się okazać, że jest za późno. Przecież wszyscy pragniemy żyć.

MARIUSZ PIOTROWSKI
(Zduńska Wola)

Od redakcji: Wiersz załączony do listu skierowaliśmy do oceny specjalistów. Prosimy cierpliwie czekać na odpowiedź.

TELEFONY W ŁODZI

Odpowiadając na notatkę zamieszczoną na łamach Waszego tygodnika w dniu 14. I. 1984 r. pt. „Poczta nas nie zwodzi", dotyczącą wymiany aparatów telefonicznych u abonentów centrali „Centrum", Wojewódzki Urząd Telekomunikacji w Łodzi uprzejmie informuje, że po uruchomieniu w/w centrali wszystkie telefony towarzyskie znajdujące się na obszarze obsługiwanym przez tę centralę zostały zamienione na telefony końcowe. Za wymianę tę urząd nie pobierał żadnych dodatkowych opłat, jedynie abonenci płacili za sam aparat telefoniczny kwotę 1900 zł. Wyjaśniamy, że aparaty towarzyskie były własnością urzędu i za nie przy instalowaniu nie pobierano opłat, natomiast aparaty końcowe są własnością abonentów, dlatego też pobrano w/w kwotę. Natomiast w przypadkach bardzo starych aparatów, które ze względu na inny typ tarczy numerowej nie mogły współpracować z centralą typu E-10 i które należało wymienić na *nowe, urząd sprzedawał nowe aparaty, bądź jeżeli warunki techniczne na to pozwalały, a abonent nie wyrażał zgody na zakup nowego aparatu, wymieniano same tarcze numerowe.* Pragniemy jednocześnie wyjaśnić, że z powyższych względów wymiana dotyczyła 30 aparatów i 100 tarcz numerowych, a więc biorąc pod uwagę 20 tys. abonentów podłączonych do CA-Centrum, były to przypadki jednostkowe.

Opłaty za sprzedane aparaty telefoniczne pobrano zgodnie z zarządzeniem ministra łączności TLM-512 z dnia 4 czerwca 1976 r.

Ponadto powiadamiamy, że urząd określa aktualny stan łączności w Łódzkim Węźle Telekomunikacyjnym jako dobry. Jedynie stan techniczny centrali obsługującej stacje telefoniczne o numerach rozpoczynających się od cyfr „78" oceniany jest jako niedostateczny i z uwagi na to centrala ta zostanie wymieniona, o czym już informowaliśmy Waszych Czytelników.

Z-ca dyrektora d/s Urządzeń Sieciowych
inż. ZB. ROMANOWSKI

KONKURS POETYCKI

Wojewódzka Biblioteka Publiczna — Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miejskiego — Zarząd Wojewódzki Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej w Radomiu ogłaszają w ramach XI Radomskiej Wiosny Literackiej otwarty konkurs poetycki „O DZBAN CZARNOLESKIEGO MIODU" związany z 400 rocznicą śmierci Jana Kochanowskiego.

W konkursie mogą wziąć udział członkowie Korespondencyjnych Klubów Młodych Pisarzy, członkowie Kół Młodych przy oddziałach ZLP oraz twórcy nie zrzeszeni w ZLP.

Tematyka utworów winna obejmować realizację ideałów Jana Kochanowskiego, współczesne refleksje nawiązujące do wątków jego twórczości, osobowości itp.

Biorący udział w konkursie proszeni są o nadesłanie zestawu trzech wierszy dotychczas nie publikowanych (w konkursie weźmie udział tylko jeden wiersz) opatrzonych godłem — do dn. 15.03.1984 r. pod adresem Wojewódzka Biblioteka Publiczna, pl. Konstytucji 3 Maja 8, 26-600 Radom, z dopiskiem na kopercie „Konkurs Jednego Wiersza".

Do utworów w trzech egzemplarzach winna być dołączona zalakowana koperta opatrzona godłem, zawierająca wewnątrz kartkę z imieniem, nazwiskiem oraz dokładnym adresem autora nadesłanych prac. Wiersze nie podpisane imieniem i nazwiskiem autora będą wykluczone z konkursu.

Organizatorzy przewidują następującą wysokość nagród: I nagroda — 10.000 zł, II nagroda — 8.000 zł, III nagroda — 7.000 zł, oraz 5 wyróżnień równorzędnych po 4.000 zł. Organizatorzy zastrzegają sobie możliwość innego podziału nagród przy niezmienionej ogólnej sumie.

Jury powołane przez organizatorów rozstrzygnie konkurs ok. 20.03.1984 r. Ogłoszenie wyników nastąpi na imprezie „Noc Jednego Wiersza" w dn. 31.03.1984 r., podczas której zostaną zaprezentowane najlepsze utwory.

KONKURS NA REPORTAŻ IM. RAFAŁA URBANA

Oddział Opolski Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL, redakcja „Trybuny Opolskiej", Zakłady Azotowe w Kędzierzynie-Koźlu, Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego oraz Opolskie Towarzystwo Kulturalno-Oświatowe w Opolu ogłaszają VII Konkurs im. Rafała Urbana na reportaż, którego tematem są biografie ludzi związanych z Opolszczyzną lat 1945—1984.

Intencją organizatorów jest ukazanie przez prace konkursowe panoramy losów Opolan, ich zmagań z okolicznościami i z własnymi słabościami, ich zwycięstw i niepowodzeń. Organizatorom zależy na dotarciu przez reporterów do życiorysów ludzi powszechnie znanych, pełniących ważne funkcje polityczne i społeczne, odpowiedzialne stanowiska w administracji i gospodarce, a także ludzi tzw. prostych, których dążenia, praca i osiągnięcia na miarę ich skromnych marzeń, składają się na zbiorowy portret Opolan z okresu Polski Ludowej.

Objętość prac nie może przekraczać 15 stron znormalizowanego maszynopisu. Prace (w trzech egzemplarzach) należy opatrzyć godłem, dołączyć do nich w zamkniętych kopertach informacje o autorze (imię i nazwisko, adres) i przesłać do „Trybuny Opolskiej", Opole, ul. Powstańców Śl. 9, 45-086, z dopiskiem — Konkurs im. Rafała Urbana. Termin nadsyłania prac upływa w dniu 31 maja 1984 r.

Powołane przez organizatorów jury konkursu rozstrzygnie o jego wynikach do dnia 30 czerwca 1984 r.

Przewiduje się następujące nagrody: I — 25 tysięcy złotych, dwie II — po 20 tysięcy złotych, trzy III — po 15 tysięcy złotych, oraz pięć wyróżnień po 8 tysięcy złotych. Jury ma prawo innego podziału funduszu nagród, których fundatorami są Urząd Wojewódzki, Wydział Kultury i Sztuki w Opolu oraz Komitet Organizacyjny Święta „Trybuny Opolskiej".

Organizatorzy zastrzegają sobie prawo pierwszeństwa druku (za honorarium) nagrodzonych i wyróżnionych prac w prasie opolskiej. Czynić też będą starania o spopularyzowanie (za zgodą autorów) prac w prasie i periodykach centralnych, a także w wydawnictwie książkowym.

WYJAŚNIENIE MIESZKAŃCOM RETKINI

W nawiązaniu do „listu mieszkańców" Retkini, zamieszczonego w nr 5 „Odgłosów" z 4 lutego br. informuję uprzejmie, iż mimo jego anonimowego charakteru, ze względu jednak na wagę poruszonych spraw, zdecydowano wszystkie zarzuty poddać szczególnej kontroli. Działania takie podjęto już 4 lutego 1984 r., a więc jeszcze przed ukazaniem się nr. 5 „Odgłosów", gdyż jak słusznie zauważa komentarz redakcyjny, oryginał „listu" wpłynął bezpośrednio do Urzędu Miasta Łodzi.

W czynnościach kontrolnych brali udział przedstawiciele tut. Wydziału Handlu, zarządu PSS „Społem" oraz pracownicy działu inspekcji Oddziału „Polesie" PSS „Społem". Zapoczątkowane 4 lutego czynności sprawdzające, powtarzane były 7, 8, 10 i 11 lutego dla uzyskania — z jednej strony obiektywizmu wyników, z drugiej zaś dla wykluczenia faktu, iż ewentualna poprawa stanu zaopatrzenia była zjawiskiem krótkotrwałym, spowodowanym pierwszymi czynnościami kontrolnymi. Pragnę zapewnić, że w obu krytykowanych sklepach przy ul. Dzierżyńskiego, zaopatrzenie ocenione zostało jako dobre, a w niektórych pozycjach asortymentowych, nawet lepsze od cytowanych w liście pozytywnych przykładów — sklepów przy ul. Retkińskiej 106 i Maratońskiej nr 93.

Oczywistym jest, że w istniejącej sytuacji rynkowej, każde kryterium oceny może zostać poddane krytyce. Jeśli jednak stwierdzono, że w sklepach tych występują:

— kilka (do 6) asortymentów pieczywa podstawowego,
— do 10 asortymentów ciast i pieczywa cukierniczego,
— od 4 do 5 gatunków serków smakowych,
— podobnie serów twardych i topionych,
— do 10 asortymentów dżemów,
— przetwory owocowo-warzywne, kisiele i budynie,
— ryby świeże i wyroby garmażeryjne w 2 do 8 gatunkach

to czy określenie Autora „listu" cytuję „...w sklepach (tu adresy) nigdy nic nie ma, a jeżeli jest to towar, którego konsumenci nie kupują np. przecenione kompoty lub sok pomidorowy" — koniec cytatu — odpowiada faktom? Pozostawiam to ocenie Czytelników.

7 lutego w czasie kontroli w sklepie przy ul. Dzierżyńskiego 42a (w godz. między 10 a 12,30) stwierdzono: 2 gatunki mięsa wieprzowego, 4 gatunki wędlin, mięso wołowe bez i z kością oraz z tłuszczy — słoninę. Tegoż dnia około godziny 13,40 w sklepie przy ul. Dzierżyńskiego 32, prowadzącym sprzedaż wędlin (bez mięsa) było ich 5 rodzajów.

Owszem występuje szereg towarów, których ciągłości sprzedaży nie udaje się utrzymać mimo czynionych wysiłków, lecz dotyczy to wszystkich sklepów, nie tylko na Retkini i nie tylko tych dwóch krytykowanych, np. olej, herbata, galaretki, lepsze asortymentowo wyroby wędliniarskie itp. Stwierdzono również, że pewnych towarów kierownictwa sklepów nie zamawiały, np. krajankę twarogową chudą. W tym przypadku natychmiast zwrócono uwagę i polecono personelowi sklepów uzupełnić asortyment towarów.

Ze zrozumiałych względów nie jestem tu w stanie przytoczyć całego wykazu asortymentowego, również w układzie porównawczym z innymi sklepami, jeśli jednak wolno, pozwalam sobie przesłać w załączeniu egzemplarz takiej analizy, do ewentualnego, swobodnego wykorzystania przez Szanowną Redakcję „Odgłosów". Służę również do wglądu protokołami z pozostałych dni czynności kontrolnych, w tym również z dyżuru w wolną sobotę 11 lutego z godziny 12.00.

Jest rzeczą oczywistą, że na dobry poziom pracy jakiejkolwiek jednostki organizacyjnej — również sklepu, wpływają jej pracownicy, w tym szczególnie kierownictwo.

Częste zmiany, czynione dotychczas w tej mierze w obu sklepach są dowodem, że do zagadnienia tego kierownictwo Oddziału „Polesie" PSS „Społem" przykłada odpowiednią wagę. Wyrażam osobiście nadzieję, że opisany wyżej stan zaopatrzenia jest może właśnie skutkiem ostatnich zmian, bowiem aktualne kierownictwo pawilonu przy ul. Dzierżyńskiego 42a sprawuje swoje funkcje od 30.01.1984 r.

W pełni podzielam zdanie Autora „listu" o słabo rozwiniętej sieci sklepów w ogóle na osiedlu Retkinia. Faktem jest, iż społeczeństwo tego osiedla stanowi blisko 50 proc. ludności całej dzielnicy poleskiej, natomiast sieć sklepów, to już tylko 15 proc. całego potencjału handlowego tej części miasta. Problem moim zdaniem, znacznie utrudnia — skądinąd nowoczesne i bezpieczne, rozdzielenie obu jezdni ulicy Marchlewskiego siatką wzdłuż torów tramwajowych. Nierzadko powoduje to, że droga dojścia mieszkańca np. parzystej strony tej ulicy do najbliższego sklepu po stronie przeciwnej wynosi licząc w obie strony — do 2 km.

Pragnę zapewnić, że zarówno tut. Wydział, jak i poszczególne organizacje handlowe, zabiegały zawsze i nadal czynią wysiłki, aby budownictwo tzw. „towarzyszące", realizowane było równolegle z mieszkaniowym. Jednak często w dyskusjach z samymi zainteresowanymi — przyszłymi mieszkańcami osiedli, na pytanie czy budować pawilon handlowy, słyszy się odpowiedź: nie, najpierw mieszkania. Również problem sytuowania sklepów, zwłaszcza spożywczych, w parterach bloków mieszkalnych nie jest rozwiązaniem sprawy. Uciążliwości takiego sąsiedztwa — głównie hałasy — powodują wystąpienia mieszkańców o likwidację tych placówek. Tym niemniej spieszę zapewnić, że wg. informacji uzyskanych od Naczelnika Dzielnicy Łódź—Polesie, również w tej dziedzinie ma w bieżącym roku nastąpić generalna poprawa. Ogółem w tej części osiedla przybędzie do końca roku 8 tys. m kwadratowych powierzchni sprzedażowej.

Z ważniejszych wymienię tu:

— pawilon spożywczy typ „Mazur" przy zbiegu ulic Dzierżyńskiego z Maratońską,
— pawilon piekarni osiedlowej wraz ze sklepem przy ul. Marchlewskiego,
— oraz (niestety) w parterach bloków w tym rejonie sklepy: ogólnospożywczy, garmażeryjny, mięsno-wędliniarski i warzywno-owocowy.

Ponieważ w kilka dni po otrzymaniu pierwszego, wpłynął do mnie drugi „list" tegoż Autora, proszę pozwolić mi skorzystać z okazji udzielenia odpowiedzi i w tym przedmiocie. Zgadzam się z oceną, iż dyżurujący w wolne soboty sklep przy ul. Dzierżyńskiego 32, nie jest w stanie w pełni zaspokoić potrzeb mieszkańców. Stąd też decyzja, aby drugi ze sklepów przy tej ulicy nr 42a, począwszy od soboty 18 lutego br. dyżurował we wszystkie wolne soboty w godz. od 7 do 10, że sprzedażą pieczywa i mleka. Rozwiązanie takie nie wymaga zatrudnienia całego personelu, nie będzie więc w konsekwencji powodowało konieczności zamykania sklepów w innym terminie — na co również Autor „listu" zwraca uwagę.

Na zakończenie pragnę podkreślić, iż aby nie być posądzonym o akcyjny charakter podjętych działań, ustaliłem z prezesem Zarządu „Społem" PSS, aby problem zaopatrzenia i funkcjonowania sklepów w tej części dzielnicy, był przedmiotem stałego i szczególnego nadzoru ze strony kierownictwa Spółdzielni.

Obawiam się jednak, aby inny autor tego rodzaju „listu" nie postawił mi kolejnego zarzutu, że ta szczególna troska wynika z faktu, iż jestem mieszkańcem Retkini.

Łączę wyrazy szacunku
Dyrektor Wydziału
mgr JERZY MYŚLIWY

Załączonej analizy zaopatrzenia nie zamieszczamy ze względów technicznych. Pismo dyrektora Wydziału — mamy nadzieję — wyjaśnia wszystko.

REDAKCJA

NIECH SIĘ LUDZIE DOWIEDZĄ

Piszę do Was, gdyż jesteście tygodnikiem godnym zaufania, zajmującym się sprawami, które często mają miejsce w Łodzi. Moim problemem jest zamieszkanie w hotelu robotniczym „Skogar". Matka moja nie żyje już od kilkunastu lat, ojciec ponownie się ożenił i wraz z macochą znęcał się nade mną. Opieka wraz z milicją stwierdzili, że dalsze wspólne zamieszkanie jest niemożliwe. Byłam zmuszona opuścić dom. Wynajmowałam kilkakrotnie mieszkanie u ludzi obcych. Pod koniec 1982 roku Komisarz przez Urząd Miasta wydał mi pozwolenie na zamieszkanie w hotelu robotniczym „Skogar". Przez pewien czas mieszkałam w pokoju wieloosobowym. Współmieszkanki przyjmowały towarzystwo męskie, nawet po godzinie 24.00. Było głośno. Często przychodziłam do pracy niewyspana, a pracuję na dwie zmiany, na produkcji. Udałam się do kierownika hotelu, aby złożyć skargę. Kierownik zaproponował mi pokój jednoosobowy. Propozycję przyjęłam z zadowoleniem, ponieważ nie jestem już nastolatką (12 lat pracy w jednym zakładzie), a poza tym moje trudne życie sprawiło, że stałam się bardzo nerwowa. Wprowadziłam się do mieszkania nr 4, składającego się z 4 pokoi, kuchni, łazienki. W tym mieszkaniu, w pokoju 2-osobowym, od dłuższego czasu mieszka sama pani Krystyna P. z zawodu pielęgniarka. Ja zajęłam pokój jednoosobowy w tym mieszkaniu. W niedługim czasie zakwaterowano sześć dziewcząt. Zostałam wybrana gospodynią mieszkania. Od pierwszego dnia po moim wprowadzeniu, zaczęłam to mieszkanie urządzać. Wielu podstawowych rzeczy brakowało w tym mieszkaniu, nawet nie było korka do wanny. Zapanował wreszcie ład i porządek. Jednakże wspólne zamieszkanie kilku kobiet może wywołać konflikt. Któregoś dnia wybuchła sprzeczka, ja jako gospodyni czułam się w obowiązku zwaśnione strony pogodzić. O zajściu mimo wszystko dowiedział się kierownik, dał mnie i jeszcze jednej koleżance naganę, z którą nie mogę się pogodzić. Uważam ją za niesprawiedliwą. Kierownik ma zresztą chyba ważniejsze sprawy na głowie, niż zajmowanie się takimi drobiazgami, tym bardziej że konflikt został zażegnany. Za karę otrzymałam wyprowadzenie się do pokoju dwuosobowego. Nie mogę sobie uświadomić, dlaczego ta kara. Ja nigdy nie przyjmowałam mężczyzn, lubię czytać książki, jestem domatorką, a poza tym czekam na własne mieszkanie, obiecywane od kilku lat. Zainteresujcie opinię publiczną tym hotelem. Odbywają się tu nocne orgie, pijaństwa. Jest hałas, przez balkony wchodzą mężczyźni i buszują po całych nocach, tak, że nie można spać. Nie wszyscy mają jednakowo urządzone pokoje. Chociażby pani Krystyna P. posiada pełny zestaw mebli hotelowych. Nie wszyscy jednakowo mieszkają, lecz płaca za hotel jednakowo. Do tej pory prawie wszystkie dziewczyny oprócz Krystyny P. zostały rozproszone po całym hotelu za karę. A pani pielęgniarka ma to mieszkanie zajmować sama. Niby dlaczego ta pani ma takie względy u kierownika. Zaznaczam, że dziewczyny zostały ukarane niesłusznie, gdyż uważam, że te osoby są wyjątkowo spokojne. Również takie zdanie miał o nas kierownik. Często nas chwalił.

Ponieważ nie przyjęłam propozycji zamieszkania za karę w pokoju dwuosobowym, kierownik kazał mi opuścić hotel do dnia 15.III.84, nie martwiąc się, gdzie zamieszkam. Czy jestem uważana za pasożyta w Polsce Ludowej i każdy może robić ze mną co się komu podoba? Czy mam iść spać na ulicę? Mam pełne prawo odpoczywać po pracy w pokoju sama, tym bardziej, że nikomu nie zakłócam ciszy nocnej. Proszę, wydrukujcie mój list, niech ludzie dowiedzą się, jak poniewierają mieszkańców w hotelu robotniczym.

Jeśli możecie, zainterweniujcie.

Z poważaniem
(Imię, nazwisko i adres znane redakcji)

KOMUNIKAT

W Kielcach rozstrzygnięty został ogólnopolski konkurs literacki ogłoszony z okazji 40-lecia PRL. Jego organizatorami byli: Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego i Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miejskiego w Kielcach, Ośrodek Kultury Literackiej w Kielcach oraz Wydawnictwo Łódzkie.

Jury obradowało w składzie: przewodniczący — **Wiesław Jażdżyński**, sekretarz — Roman Ostrowski, członkowie — Andrzej Biskupski, Jan Zdzisław Brudnicki, Piotr Kuncewicz, Janusz Termer, Janusz Modzelewski.

Przyznano:

W dziale powieści I nagrodę Stanisław Rogala z Kielc — „Piotrowe Pole", II — Jan Łysakowski z Rzeszowa — „Zadanie na jedną noc", III — Tadeusz Ćwiek z Kielc — „Despetniki", wyróżnienia: Zbigniew Strzałkowski z Lublina — „Czarny pejzaż wnętrza ciszy", Maria Włodno z Kielc — „Sumienny mały mechanizm" i Ryszard Miernik z Kielc — „Blaszany orzełek".

W dziale opowiadań nagród nie przyznano. Cztery równorzędne wyróżnienia uzyskały prace: „Serce w czerepie" Leopolda Wojnakowskiego z Kielc, „Godziny koloru szarego" Andrzeja Lenartowskiego z Kielc, „Ostatnia pora galopujących koni" Janusza Mielczarka z Częstochowy i „Jak ptaki przez powietrze" Alfreda Siateckiego z Zielonej Góry.

W dziale utworów dramatycznych jury postanowiło nie przyznać pierwszej nagrody, II przypadła w udziale Henrykowi Jachimowskiemu z Kielc — „Trawa jest czerwona", III — Alfredowi Siateckiemu z Zielonej Góry — „Giermek". Wyróżniono prace: „Mąż z kartoteki" — Włodzimierza Boruńskiego z Warszawy, „Czy tylko Piłat?" Barbary Sierakowskiej z Kielc i „Łaknienie" Jana Stępnia z Kielc.

W dziale poezji jury postanowiło nie przyznać pierwszej i drugiej nagrody. Trzy III otrzymali: Marian Yoph-Zabiński ze Szczecina — „Landszaft z Białego Bobu", Zdzisław Antolski z Kiel — „Okolica Józefa" i Emil Biela z Myślenic — „Świętokrzyskie Magnifikat". Wyróżnienia: Waldemar Mystkowski z Zielonej Góry — „Puszcza", Mirosław Pindral z Łodzi — „Kieleckie" Andrzej Jastrzębiec-Kozłowski z Warszawy — „Niepokój zbiorowy", Stanisław Filipowicz z Dzierzgonia — „Po amputacji", Roman Gorzelski z Łodzi — „Strofy Świętokrzyskie", Andrzej Krzysztof Torbus z Krakowa — „Poemat o prowincji Błędomierz", Bogdan Pasternak z Kielc — „Sekretne posłanie".

Dokończenie ze strony 1

stępy ofiarnych. W nakładzie paru tysięcy powielono formularz dla uczestników biozabiegu. Wypełniony szczegółowymi danymi personalnymi, wraz z numerem dowodu osobistego (po co?) miał posłużyć dla dokumentacji naukowej gromadzonej przez współpracowników p. Fellmana. Zawierał nadto przestrogę, iż nie będą cudownie uleczone dzieci do lat 12, osoby nie poruszające się samodzielnie; z ciężkimi obrażeniami psychicznymi w okresie czynnym (!!) oraz chorzy zakaźnie i infekcyjnie.

Wskazana jest też „konsultacja u lekarza w przypadku wątpliwości odnośnie udziału w biozabiegu".

PROLOG

Sobotnie południe, 18 lutego 84 r. Przed Halą Sportową pusto i cicho. Żadnych tłumów szturmujących drzwi. Wszyscy karnie przybyli o oznaczonej godzinie. Aż trudno uwierzyć, że w środku, ponad 7 tys. ludzi sposobi się do misterium. Nie ma — zwykłego w tym gmachu — łoskotu podnoszącego dach. Jest skupiona, pełna napięcia atmosfera oczekiwania na cud.

W hali panuje półmrok, reflektory oświetlają jedynie półkole wolnej przestrzeni przed zejściem za kulisy. Taflę lodowiska, chronioną drewnianą podłogą wypełniają ciasno rzędy krzeseł. Amfiteatr zapełniony do najwyższych trybun, w loży honorowej pełno. W kręgu świateł — podium przykryte dywanikiem i ustawione w kole krzesła „pierwszego ogniwa". W środku — wolne miejsca dla bohatera i jego asysty. Stąd się zacznie. Przyciszony szmer podgrzewa modlitewny nastrój.

Impreza się opóźnia. Rygorystyczne warunki uczestnictwa rozlazły się w swojskim tumiwisizmie służb porządkowych. Początek, zaplanowany na godzinę dwunastą, nie może nastąpić. Bilety — ponoć rozdrapane na pniu przez lud złakniony zdrowia, można jeszcze spokojnie nabyć pod samolotem o wpół do pierwszej. Za 800 złotych.

W kuluarach snuje się personel obsługi, gromadki pielęgniarek i starszawi jegomoście z „Ormo" pilnujący wejść. Obsługa medyczna — liczna, mocno sceptyczna, ale broń boże nie do druku. Potem widać będzie liczne siły medyczne skwapliwie podłączone do „magicznego kręgu". Pośmiać się można, ale co szkodzi spróbować?...

Rośnie tłumione zniecierpliwienie. W hali jest lodowato, więc zemocjonowane pęcherze dają o sobie znać. Coraz ktoś ukradkiem przemyka do drzwi. Cuda — cudami, ale palić się chce okrutnie. Robi się lekki bałagan w scenariuszu, rwie się starannie zaplanowany „układ złącz w leczniczym kręgu". W jednym z sektorów wybucha regularna pyskówka. Czyjś spiczasty dyszkant przebija się przez gwar. Może jakiś krnąbrny kontestator nie chce komuś podać ręki?... Dyscyplinujące widownię komendy podaje od bocznego stoliczka asystentka Mistrza reżyserująca przebieg misterium... „proszę zdjąć z rąk wszelki metal, odłożyć torby, nie krzyżować nóg. Stopy stoją równolegle na podłodze..."

Pojawia się łagodna muzyka, dla relaksu i rozluźnienia.

Przepraszamy państwa za opóźnienie, ale mamy kłopoty z zamknięciem kręgu. Proszę! Wszyscy chwytamy dłonie sąsiadów z obu stron. Zamykamy krąg. Jesteśmy dla siebie wzajemnie życzliwi i ufni wobec pana Fellmana. Jesteśmy jedną wielką rodziną.

Jeszcze krótka instrukcja: „Będą trzy seanse, każdy po 20 minut, z krótkimi przerwami. W czasie przerw prosimy notować na otrzymanych formularzach swe odczucia w trakcie i po seansie. Po skończeniu oddać służbie obsługi. Wasze notatki są konieczne dla dalszego prowadzenia badań naukowych. Po upływie jednego miesiąca od daty zabiegu, przesłać do Poznania zauważone objawy zmian. Jeśli nastąpi wyraźna poprawa zdrowia, prosimy o lekarskie tego potwierdzenie.

Napięcie zbliża się do zenitu.

MISTERIUM

Wreszcie sam Mistrz pojawia się w oświetlonym kręgu na podium. Zrywa się grzmot oklasków. Wszystkie oczy wlepione w postać tego, który daje zdrowie. Trzaskają flesze, ekipa telewizji portretuje Mistrza.

Niewysoki, drobny pan po sześćdziesiątce, siwy, lekko łysiejący. W geście wielkiego showmana podniesionymi rękoma i szerokim uśmiechem wita salę.

Obserwuję, jak otaczająca go świta w poczuciu własnej ważności pławi się w blasku chwały. Same młode kobiety. Żadna nie jest uczoną badającą tajemne zjawisko. Ot entuzjastyczny ogon komety. Czysta, żywa wiara w moc uzdrawiania. Jedna z nich sarka na „trudną publiczność". Krnąbrny sektor wciąż nie daje „dobrego złącza".

Tymczasem pani reżyser poleca: „Wszyscy tworzymy krąg połączonych dłoni. Przez trzy minuty wpatrujemy się w oczy pana Fellmana. Oczy — jak stwierdziły badania naukowe — są potężnym emiterem bioenergii".

Kto z państwa musi odkaszlnąć, proszę teraz, by nie zakłócać ciszy w czasie seansu... podnosi się zgodny, potężny chór przeziębionych gardeł... każdy musi, grypa nie wybiera.

— Nareszcie! — guru przemówił. — Nareszcie jestem z wami! W robotniczej Łodzi ciężko pracujących Polek... a wiecie, że moja pierwsza miłość pochodziła właśnie z Łodzi? Niełatwa to była kobieta, ale sentyment pozostał..." Bardzo dobrze! Fachowe „odśmianie publiki", przed częścią oficjalną. Naturalny luz i atmosfera familiarnego ciepełka.

Zapada zupełna cisza. Fellman stoi wśród „pierwszego ogniwa", trzyma dłonie siedzących po obu stronach. Reżyserka przyciszonym głosem deklaruje: „Od tej chwili stanowimy wielką rodzinę, połączoną uściskiem rąk i wspólnym pragnieniem powrotu do zdrowia. Musimy głęboko wierzyć nie tylko w pana Fellmana, ale i w to, że będziemy zdrowi. Wszyscy w myślach powtarzamy „chcę być zdrowy", „chcę być zdrowy"... Zamykamy oczy, pochylamy głowy i poddajemy się płynącemu ku nam bioprądowi... chcę być zdrowy...

Już widzę, jak olśniewające efekty hipnotycznych deklaracji dałoby się osiągnąć w szpitalu... chcę być zdrowy, nie chcę leżeć na korytarzu, nie chcę płacić za basen...

Fellman wodzi oczyma po tysiącach twarzy. Wielki tłum cicho i pokornie wchłania bioenergię. Patrzę, jak wyreżyserowana mistyka bierze w pacht tysiące umysłów, jak łatwo modelować rozmiękłe mózgi, jak plastelinę.

Modlitewną ciszę raz po raz przerywa czyjś serdeczny, z trzewi idący kaszelek. Wirusy snadź nie podatne na bioprądy, a publika — na zastrzeżenie, że osoby zainfekowane nie mogą brać udziału w zabiegu. Musi co calcipiryna, mleko z miodem i L-4 więcej tu zdziałają niż bioenergia.

Po 20 minutach kończy się część pierwsza. Hala ożywia się gorączkowymi szeptami... czułeś coś?, bo mnie jakby gorący prąd przeleciał...

Wokół Fellmana tłoczy się tłumek zainteresowanych uzupełnieniem do cudu. Ktoś podprowadza młodziutką niewidomą dziewczynę. Na twarzy rysuje się skupione oczekiwanie pełne nadziei. Mistyczne gesty rąk Fellmana na dziewczęcej głowie wywołują w gapiach podniecenie — przejrzy, czy nie przejrzy na oczy?... Ohyda! Obrzydliwe kupczenie ludzką nadzieją, chamska ciekawość tłumu spragnionego widomego cudu.

Po trzykroć powtarza się misterium skondensowanej wiary.

Rozgrzane emocje, ekstatyczne twarze, a zza kulis dobiega teatralny szept czyjegoś sarkastycznego komentarza: po co udawać? Sekcja wszystko wykaże, w końcu na coś trzeba umrzeć.

Gdy tuż przed szesnastą kończy się circenses, sala — jak po wielkim spektaklu — burnyje aplodismienty, entuzjastyczne okrzyki, szmer sali obudzonej z hipnozy. Wydarzenie sobotniego popołudnia znakomicie wyostrzy apetyt na spóźniony obiad, ożywi towarzyskie pogaduszki. Dzień można zaliczyć do udanych.

Wielu zapytanych o opinię uczestników, z zażenowanym uśmiechem wykręci się sianem, że może to i cyrkowe i nie bardzo wiadomo co w tym jest, ale... spróbować trzeba, bo a nuż pomoże na bolące krzyże... Wielu przyszło tu z głęboką nadzieją, z golgotą wieloletniego, bezskutecznego leczenia za sobą, szukając każdego ratunku. Wielu też przyszło takich, co fanatycznie pieją o cudach uzdrowień znachorskich i równie fanatycznie nie wierzą w medycynę.

A mistrz — dziękuje publiczności za bardzo udany seans, potwierdza znakomity przepływ bioenergii. Życzy wszystkim zdrowia i zaleca, by mężczyźni powstrzymali się od palenia przez rok, za to kobiety dostają dyspensę — wolno się zaciągnąć już po dwóch miesiącach... Jasne! Wyemancypowane woły robocze są nie do zdarcia...

Jakaś balzakowska dama z personelu obsługi wręcza Fellmanowi wielki bukiet kwiatów uroczyście dziękując w imieniu kobiet łódzkich, a szczególnie we własnym, albowiem cudownie powróciła jej władza w schorowanych kolanach, które to kolana dowodziły ignorancji lekarzy. Później, pani ta będzie demonstrować żwawe prysiudy na dowód cudownego uzdrowienia... Ja tam nie wiem, życzę tej pani długich lat w zdrowiu i wszelkiej pomyślności, ale przed rozpoczęciem imprezy widziałam, jak energicznie przebiegała kuluary. Red. Uchman — jak zwykle już w najbliższy poniedziałek — napisał w „Expressie", że to wcale nie ta pani, tylko jej sąsiadka i że wcale nie biegała, tylko ledwie dwa metry mogła przejść bez odpoczynku, no cóż, wola boska i skrzypce...

WIELKI FINAŁ

Naród uważanie wielkie ma dla cudów i tajemnic, ale jeszcze więcej naród kocha się w przywileju. Ogólnie ma być po równo i sprawiedliwie, ale pojedynczo — po znajomości, extra z uwzględnieniem indywidualnej trudnej sytuacji. Zbiorowe misterium swoją szosą — ale dodatkowe, osobiste dotknięcie rąk uzdrowiciela wzmocni egalitarne efekty.

Tłum spragniony przywileju zaatakował frontalnie i bez uprzedzenia wycofującego się na zaplecze Fellmana. W ruch poszły piąchy i łokcie. Chorzy i złożeni niemocą wykazali herkulesową witalność we wzajemnym tratowaniu się, szarpaniu przyodziewku Mistrza, w wykańczaniu konkurentów. W kłębiącym się kotle, asystentki broniły Fellmana jak tygrysice.

Ledwo z życiem uszli za drzwi przygotowanego pokoju, a już ustawiła się kolejka proszących o dostęp do Mistrza, bo... tu jest taka specjalna sytuacja.

Niewidoma dziewczyna, dama ze spuchniętą wątrobą i jej dwie znajome, przy okazji. Starsza kobieta w białym kitlu służby zdrowia przyprowadziła syna cierpiącego od pół roku na ostre i przewlekłe bóle głowy.

Zagaduję młodego człowieka o objawy, o historię leczenia.

Był tylko u internisty, po przepisanych tabletkach nie było poprawy.

— Może uraz, wypadek, albo przechodzona angina?

...Co pani? Od anginy głowa nie boli...

Żadnych badań u okulisty, neurologa, nawet zdjęć rentgenowskich czaszki?... Pojawia się przy nas matka chłopaka. Nastroszona jak kokosz. Co ja się tu wtrącam, po co rentgen? Co ma z tym wspólnego grypa? Patrzy na mnie z miażdżącą pogardą... Pewnie neurolog zobaczy chłopaka dopiero jak cud zawiedzie... ręce mi opadły, gdzie my do diabła jesteśmy?!!

Na konferencji prasowej, dziennikarzy niewielu, za to nie brakuje czcicieli i adwokatów. Najwięcej do powiedzenia ma nie Fellman, ani nawet nie red. Uchman, lecz asysta mistrza. Panie są wygadane, pewne siebie, bez zadnych wątpliwości. Podają rozliczne przykłady stwierdzonych ozdrowień, dane statystyczne, procenty.

Pan Franciszek Fellman, z zawodu jest rzemieślnikiem — lakiernikiem. Od lat także maluje obrazy. Jest już uznanym artystą ze sporym dorobkiem wystaw i pochlebnych recenzji. Pół wieku przeżył nieświadom posiadanych niezwykłych predyspozycji. Okazuje się, że na trop prowadziły... jego obrazy. W trakcie jednej z wystaw obrazy obejrzał goszczący akurat w Poznaniu pewien profesor ze Szwajcarii. Niestety, jego nazwisko umknęło pamięci. To on właśnie dostrzegł niezwykłą, ozdrowieńczą energię emanującą z płócien. Zapragnął poznać pana Fellmana. Rozmawiali o bioenergii, o znakomitych uzdolnieniach, a także o krótkim instruktażu tyczącym posługiwania się dłońmi, niezbędnej gestykulacji oraz sposobach regenerowania i koncentrowania się przed przekazaniem innym swych mocy.

I lawina ruszyła. Zwyczajny dotąd człowiek okazuje się być uzdrowicielem. Najpierw w kręgu rodziny i znajomych, potem coraz szerzej niesie się sława uleczonych kręgosłupów i serc. Porwany falą bohater ani nie potrafi, ani nie chce jej powstrzymać. Uwierzył, że jest zdolny przywracać zdrowie siłą swej energii biologicznej, uwierzył, nie chce zrezygnować z tej wiary... bo skoro ludziom jest potrzebny... Staje się niewolnikiem oczekiwań i rosnących wymagań, a wokół rośnie krąg satelitów, współpracowników, klakierów, speców od reklamy i estradowych show. Nie jest łatwo uwolnić się z tej skorupy pasożytów, oni nie pozwolą na to, bo bez mistrza zginą znowu w szarzyźnie niczym nie wyróżniającej się masy. Rusza, puszczony w ruch sensacją walec mass-mediów. Kilka notek w prasie, jakaś wypowiedź, parę przykładów uleczeń i wreszcie ktoś decyduje się zainwestować w ten interes. Ktoś wynajmuje wielkie sale, udostępnia czas telewizyjny i płynie rzeka forsy, mitomaństwa, kołtuńskiej głupoty i pospolitego gęsizmu. A ludzie chorzy znowu, jak z Harrisem, Nardellim i paroma innymi mają nadzieję...

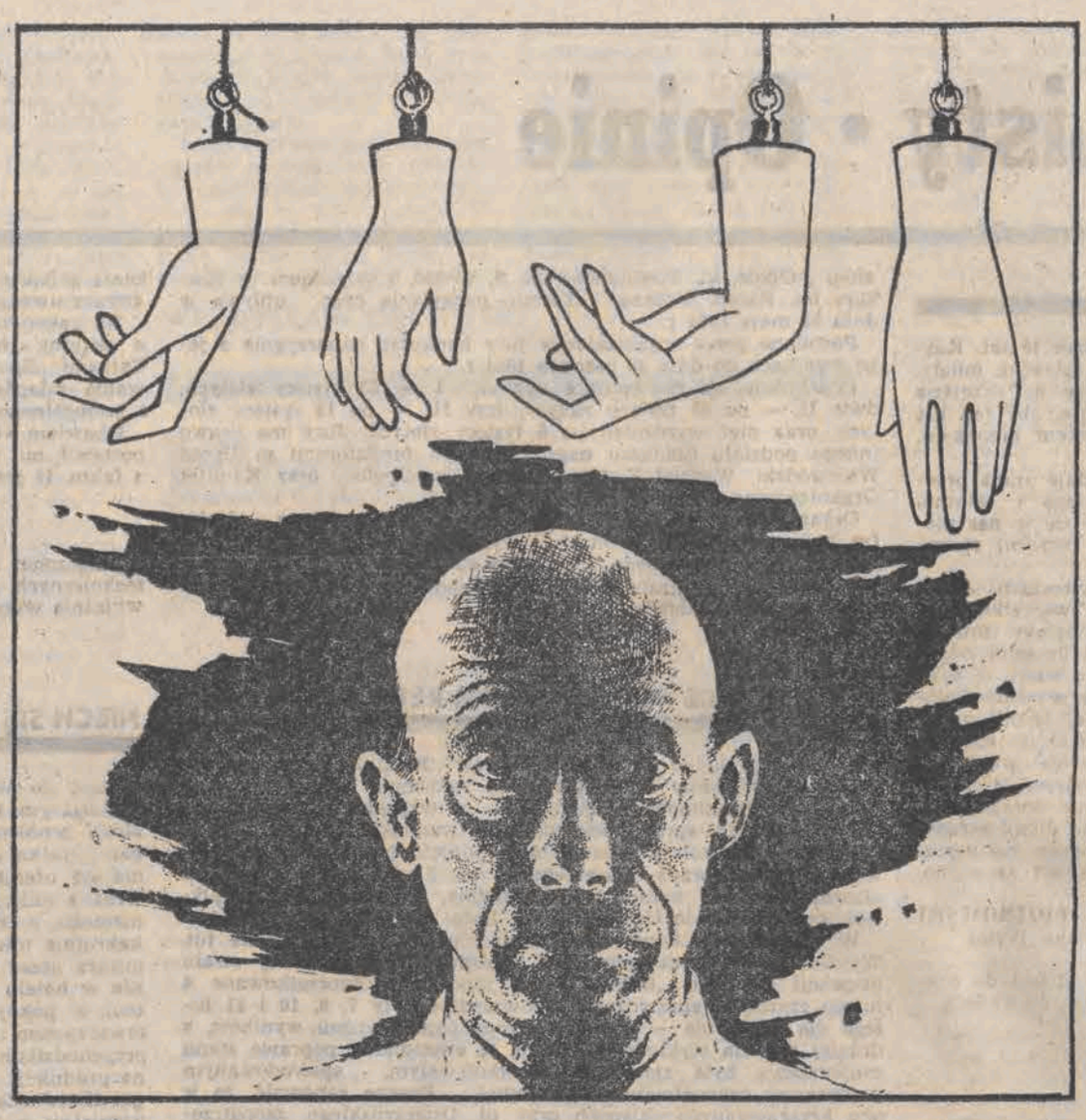

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Nadzmysłowa fizkultura

DETALE

W poznańskiej Hali „Arena" odbyły się dwa zbiorowe zabiegi. W telewizji — trzy 2—5 minutowe seanse na odległość fal świetlnych. Podobno telefony urywały się po audycji. Dzwoniły dziesiątki ludzi, by potwierdzić znaczną poprawę swego zdrowia. Są dalsze, liczne propozycje powtarzania spektaklu.

Pan Fellman nie potrafi objaśnić istoty swych uzdolnień. On tylko wierzy, że je ma i pragnie pomagać ludziom. Ubolewa jednocześnie, że wielu lekarzy stanowczo odmawia współpracy nad badaniem zagadnienia. Boją się presji środowiska, nie chcą się publicznie wypowiadać... pewnie, podłoży ktoś świnię, zarzuci hołdowanie zabobonom i karierę szlag trafi...

Jednocześnie — liczni lekarze wyrażają chęć uczestniczenia w biozabiegach, ale zupełnie prywatnie i bez podawania nazwisk. Nie życzą sobie, by się na nich powoływano. Obecny na konferencji dyrektor Okińczyc z Pogotowia Ratunkowego, dyplomatycznie nie podejmuje tematu, aczkolwiek potwierdza, że Wydział VI Nauk Medycznych PAN interesuje się zagadnieniem i prowadzi stosowne badania.

Jednak utytułowani pracownicy nauki firmują Polskie Towarzystwo Biocenotyczne. Na dowód — możemy obejrzeć wydany na czerpanym papierze dyplom (NR 13/83) potwierdzający wrodzone zdolności bioenergetyczne Franciszka Fellmana i — po skomplikowanych badaniach, przyznający mu prawo bioenergodiagnozowania (uff). Pod dewizą: SALUS HOMINIS SUPREMA LEX podpisy złożyli prof. Jerzy Chołodziński — prezes i dr Jerzy Sosnowski — sekretarz generalny Towarzystwa Biocenotycznego.

Organizatorom zaś sobotniej imprezy 18 lutego, przyświecał, jak się zdaje, cel generalny, że skoro z chlebkiem nie bardzo, trzeba ludowi zapewnić igrzyska, zwłaszcza, że lud się tego domaga. Tym bardziej, że zadeklarowane przez pana Fellmana przekazanie dochodu z imprezy na szpital Matki-Polki, nadawało całej sprawie splendoru powagi i dbałości o interes społeczny.

Organizatorom bardzo zależało na hucznej propagandzie w publikatorach, wiadomo bowiem, że im większa będzie suma, tym mocniejsza tarcza, zza której niestraszne będą insynuacje o instytucjonalnie i urzędowo zalegalizowane propagowanie kołtuństwa i schlebianie gęsizmowi tłumu. Insynuacje o tyle uprawnione, że Wydział Zdrowia i Opieki Społecznej Urzędu Miasta Łodzi stanowczo od imprezy się odżegnał. I ja nie wiem czy tak całkiem słusznie, bo cokolwiek by powiedzieć o bioenergii, faktem jest, że paramedycyna przelała półtora miliona złotych na konto medycyny... co poddaję pod rozwagę ministrowi Szelachowskiemu.

JOLANTA WROŃSKA

Portret brytyjskiego policjanta

Podstawowe pytanie zadane dwóm naukowcom — Jeremy'emu Grayowi i Davidowi Smithowi przez przedstawicieli policji brytyjskiej brzmiało: „Czy traktowaliście problemy policji jako swoistej mniejszości?". Była w tym pytaniu szczypta ironii, ale w dużej mierze trafiało ono w sedno. Przeprowadzone przez obu naukowców badania musiały w sposób nieunikniony prowadzić bowiem w dziedzinę „tworzenia osobowości i charakteru policjanta".

Z opracowania Graya i Smitha wynika, że w służbach policyjnych wykształciły się normy, mogące stanowić przeszkodę dla realizacji ustaleń prawa. Te normy sprawiają, że policja stanowi niejako odrębny świat. Szczególną uwagę autorów opracowania przykuwają dwie grupy spraw. Po pierwsze idzie o cechy podstawowe, występujące niemal u wszystkich respondentów w sposób silnie emocjonalny. Są to: dominacja mężczyzn (połączona z pewnym lekceważeniem kobiet) w zawodzie policjanta, urok przemocy i uprzedzenia rasowe.

Po drugie, ponieważ codzienna praca policjanta jest rutynowa i nudna, „czarodziejskim eliksirem" staje się akcja. Policjant patrolujący ulicę jest znudzony nie tylko dlatego, że na jego odcinku nic się nie dzieje, ale także dlatego, że takie patrolowanie jest raczej bezcelowe. Większość zachowań policji jest więc rozumiana najlepiej jako szukanie interesujących, ekscytujących sensacji.

APETYT NA EKSCYTACJĘ

Połączenie podstawowych cech osobowości z szukaniem wydarzeń „ciekawych" może u niektórych policjantów prowadzić do „apetytu na ekscytację". Perspektywa gwałtownych zakłóceń i zamieszek jest interesująca i podniecająca dla wielu policjantów, chociaż jeśli są w małych grupach, nie marzą o wielkiej ruchawce, ponieważ mogłaby być dla nich niebezpieczna. Natomiast większe grupy, jak np. specjalne jednostki do natychmiastowego zwalczania zamieszek, czekają na dobrą dla siebie okazję i czekanie „umila im" okresy spokoju, w których się nudzą.

Niektórzy członkowie takich ugrupowań opisują starcia z buntującymi się grupami społecznymi w kategoriach sportowej metafory. Pewien policjant w następujący sposób opowiadał Grayowi i Smithowi o starciach swojej jednostki ze strajkującymi górnikami.

„Ach, ta sprawa w Grunwick! Lubię ją najbardziej ze wszystkich, to była rzetelna, czysta, przyzwoita walka. Związek górników sprowadził swoich facetów z całego kraju, byli rzeczywiście twardzi, nie byli ordynarni w demonstrowaniu pokazali klasę. Oni szli na nas i my na nich. Kiedy ktoś dostawał w łeb czy brzuch, obie strony rozstępowały się robiąc przejście, tak aby „ciało" można było zabrać do karetki pogotowia. Gdy tylko rannego zabierano, obie strony znów zwierały się w walce. To było naprawdę dobre. Miałem ochotę uścisnąć dłoń przeciwnikowi i podziękować za grę fair..."

Członek innej jednostki wymienia w rozmowie z naukowcami trzy okazje, które sprawiły mu wiele przyjemności. We wszystkich wypadkach chodziło o tłumienie rozruchów rasowych z udziałem kolorowej ludności do których doszło w lipcu 1981 roku. Oto jego relacja: „Zeszliśmy do nich, skoczyliśmy i natychmiast rozpoczęliśmy walkę" Rozruchy w Southall „były lepsze niż w Brixton, ponieważ nie używano specjalnych bomb naftowych". Ale chociaż te „płomienne pociski" rzucano w policjantów w Southall, przeżyliśmy wielki dzień walcząc z tymi Pakistańczykami. Powinno dochodzić do takich walk co roku. Naprawdę miałem mnóstwo przyjemności".

Oczywiście, respondenci koloryzowali, ale przypuszczenie, że policja może czasem prowokować przemoc zamiast odgrywać role mediacyjną, zostało zdecydowanie potwierdzone przez pracownicę Centralnego Wydziału Śledczego (Central Investigation Departament — CID). W odpowiedzi na argument, że kobietom brak siły fizycznej, by rozprawiać się przemocą z elementami przestępczymi, oświadczyła, iż ma wielkie zastrzeżenia do sposobu, w jaki mężczyźni rozprawiają się z tymi elementami. Są często nieuprzejmi, szorstcy, ordynarni i prowokują agresywna postawę, z którą tylko jako mężczyźni — tak mówią — mogą dawać sobie radę.

Gray i Smith obserwowali sytuację około 100 zatrzymanych przez policję ludzi i w dziewięciu wypadkach stwierdzili użycie siły wobec aresztantów. Było to, proporcjonalnie rzecz biorąc, bardzo dużo, zważywszy, że policjanci wiedzieli, iż w swych akcjach są obserwowani i sprawy na pewno przedostaną się na światło dzienne.

Pewien policjant opowiadał o silnym, wysokim Murzynie, który został aresztowany ponieważ wymachiwał nożem. Po zatrzymaniu zachowywał się spokojnie i dał się bez oporu zaprowadzić do celi w komisariacie. Nieco później pojawili się tam dwaj pracownicy wydziału śledczego i spytali, co wiadomo o zatrzymanym Murzynie. Poprosili o klucze do cel i weszli do celi, w której „ten facet" był zamknięty. Z celi słychać było krzyki, przekleństwa i jęki. Potem „ci ze śledczego" przyszyli na górę i oświadczyli policjantom: „ten typ nie będzie już przysparzał wam kłopotów".

PRZEMOC WERBALNA

Gray i Smith zebrali wiele dowodów na powszechność postawy, którą określili jako „przemoc werbalna". Wysłuchali np. tyrady wygłoszonej przez policjanta do czarnego chłopca, podejrzanego o kradzież torebki. Policjant przybliżył twarz do twarzy chłopca tak, że prawie dotykał go nosem i mówił zjadliwym tonem: „Ty pieprzony skurwysynu, bo przecież nim jesteś. Czyż nim nie jesteś, ty wredny bękarcie? Wiesz, co zamierzam z tobą zrobić? Zamierzam przybić tę twoją pieprzoną d... do ściany. Będziesz tu stał tak długo, jak ja będę chciał. Będziesz tu stał tak długo, będziesz tu stał przez cały weekend, dopóki mi nie powiesz, co zmajstrowałeś.."

Wśród pracowników CID silnie podkreśla się aspekty „męskości" zawodu. Kładzie się też nacisk na osiąganie „dobrych rezultatów" w pracy z aresztantami, co oznacza zwykle przyznanie się podejrzanego do winy. W opracowaniu Greya i Smitha czytamy: „W najlepszym razie pracownik CID, osiągający „dobre rezultaty" to taki, który umie skłonić podejrzanych, szczególnie kryminalistów, do zwierzeń zdobywając ich zaufanie. W najgorszym razie mamy do czynienia z silnym gliną, którego ludzie się boją i jednocześnie podziwiają go. Trzeba dodać, że pracownicy CID hołdują często specjalnej koncepcji męskości, która ma niewiele wspólnego z osiąganiem rezultatów w kategoriach praktycznej pracy policji".

Swoiście pojęta „męskość" jest często połączona z upijaniem się. W dniach pracy ludzie z CID wiele godzin spędzają w knajpach. W knajpach organizują sobie towarzyskie spotkania, tam celebrują specjalne okazje, takie jak oblewanie odznaczeń kolegów czy żegnanie odchodzących na emeryturę pracowników wydziału śledczego.

PRACA I ALKOHOL

Pracownicy CID wszelkich stopni służbowych nierzadko przychodzą pijani do urzędu. W wielu urzędach — przeważnie w piątki wieczorem — odbywają się „alkoholowe sesje". Umundurowani policjanci (np. członkowie brygad do walki z przestępczością kryminalną) mają tendencje do kopiowania obyczajów swych kolegów z wydziału śledczego. Pracownik CID, który nie pije razem z kolegami, jest traktowany w najlepszym razie jak dziwak.

Policjant, który pracował przez jakiś czas w CID, po czym wrócił do pracy w policyjnym mundurze mówi, że w departamencie śledczym picie jest „sposobem życia".

Inny aspekt kodeksu męskości, to walka z własną wrażliwością. Rozmowy prowadzone przez obu naukowców w kantynach CID i policji wskazują, że dla młodego policjanta pierwszy śmiertelny wypadek, z którym się zetknął, jest kamieniem milowym na zawodowej drodze. W praktyce policjanci znacznie rzadziej muszą uporać się ze zwłokami, czy ludźmi ciężko rannymi, niż obsługa karetek pogotowia czy lekarze. Dlatego też są wrażliwi tak samo jak inni zwykli ludzie.

Gray i Smith opisują zachowanie młodego policjanta, wymiotującego w komisariacie po wypadku, zakończonym śmiercią człowieka. Inny młody policjant opowiadał im: „Wkrótce po przyjściu do pracy w tej dzielnicy, musiałem razem z policjantem — starym wyjadaczem — pracować przy strasznym wypadku. Facet z tego wypadku miał połamane wszystkie kości, poharataną głowę, z której wypływał mózg. Czułem się niezbyt dobrze. Gdy wróciliśmy do komisariatu, mój współtowarzysz — stary diabeł — zabrał mnie do kantyny, zamówił sobie spagetti po bolońsku i siedząc naprzeciwko mnie zajadał z całym spokojem".

SOLIDARNOŚĆ ZAWODOWA

Obaj naukowcy stwierdzili istnienie silnych więzów solidarności między policjantami, szczególnie pracującymi w małych grupach. Ta solidarność ma dobre i złe, a czasem absurdalne aspekty. Najczęściej praktykowane jest dawanie absolutnego priorytetu sprawom, w których kolega jest narażony na niebezpieczeństwo. Gray i Smith znaleźli się pewnego dnia w jednym z siedmiu samochodów policyjnych, odpowiadających na wołanie jednego z kolegów, będącego już po służbie — o ochronę. Wywołanie okazało się fałszywym alarmem.

Solidarność zawodowa może prowadzić do sytuacji, w której złe postępowanie policjanta pozostaje nie skorygowane. Oto co czytamy na ten temat w opracowaniu obu naukowców: „Mówiono nam wiele razy, że policjant, który źle się zachował, jest zawsze, albo prawie zawsze kryty przez kolegów, nawet jeśli go nie lubią. Pewien umundurowany sierżant z brygady kryminalnej, na pytanie, czy „wydałby" współtowarzysza, który popełnił wykroczenie wobec aresztanta, odpowiedział: „nie, nigdy bym tego nie zrobił. Jeśli któryś z chłopców pracujących dla mnie popadłby w kłopoty, zebrałbym wszystkich i wszystkim wyjaśnił dobitnie, że faceta trzeba bronić. Opracowaliśmy swoją strategię, i jeśli działalibyśmy solidarnie, nikt nie mógłby nas pokonać. Wierzcie mi, na pewno tak bym zrobił".

Gray zadał swemu rozmówcy pytanie, czy nie sądzi, że obrona policjanta, który zrobił krzywdę więźniowi jest niesłuszna, zwłaszcza jeśli potrzebny jest nawet spisek, by ukryć zły postępek kolegi. Sierżant odpowiedział: „O, tak. Po całej sprawie nigdy już nie chciałbym z takim typem pracować, nie chciałbym mieć z nim w ogóle nic wspólnego".

Gray i Smith ani razu nie usłyszeli wersji sprzecznej z wiersją sierżanta, niezależnie od stopnia służbowego rozmówców. Ów sierżant uważał bez wątpienia, że wewnętrzna sprawiedliwość, wymierzana nieformalnie przez kolegów, jest lepsza niż wymierzanie sprawiedliwości kanałami formalnymi poprzez całą machinę oskarżeń i system kar dyscyplinarnych. Jego zdaniem, system dyscyplinarny jest nieelastyczny i nierzetelny, zaś kary są zbyt surowe: „nigdy nie byłbym świadkiem oskarżenia i nie pozwoliłbym, aby facet stracił pracę".

Policjanci lubią, aby ludzie zachowywali się wobec nich z pewnym szacunkiem, ale bez uległości. Ostro krytykują ludzi „zadziornych jak koguty", czy „pyskatych", ale krytykują również ludzi upokarzających samych siebie, zarówno ludzie zbyt usłużni, jak i nie okazujący szacunku wobec policji, są klasyfikowani jako „odpady". Ludzie uzależnieni od narkotyków, żyjący w komunach, czy jako dzicy lokatorzy, ludzie o skrajnych poglądach politycznych czy niezwykłych obyczajach seksualnych są także traktowani jako „odpady".

Policjantki określane są w gwarze swych męskich kolegów jako „pluski" (nieprzetłumaczalne w tym kontekście słowo plusk, co oznacza w sensie słownikowym plusk spadającego w wodę — przyp. red.) i generalnie nie są zbyt wysoko oceniane. W CID jest niewiele kobiet (4 proc. ogółu pracowników w porównaniu z 9 proc. w umundurowanej policji). Dzieje się tak w wielkiej mierze z powodu „kultu męskości" uprawianego przez kolegów. Ten kult nakłada się na pojęcie o „gorszości" kobiet w ogóle i traktowanie ich jako obiektu seksualnych uciech. Są to postawy często nieuświadamiane, ale znajdują nieoczekiwany wyraz w sformułowaniach takich, jakich użył w rozmowie z Grayem i Smithem pewien starszy już policjant: „Młoda dziewczyna nie będzie się nadawała do powściągania przemocy mężczyzn, dopóki ma dziurę w d..."

UPRZEDZENIA RASOWE

Obaj naukowcy obserwowali pewną gradację przesądów i uprzedzeń rasowych. W jednym z komisariatów usłyszeli od policjanta z czteroletnim doświadczeniem: „nienawidzę Pakistów (Pakistańczyków)" Policjanci mówią zwykle spokojniej o Azjatach w ogóle, niż o mieszkańcach dawnych zachodnich Indii. Na pytanie, dlaczego tak się dzieje, słyszy się odpowiedź: „Zawsze wiadomo, że te gnojki będą kłamać, ale z Pakistami po prostu nie da się mówić".

Nie można generalizować zachowania się policjantów jako motywowanego wyłącznie uprzedzeniami rasowymi. Gray jeździł samochodem policyjnym, którego kierowca mówił, że czarni, karani za przekraczanie dozwolonej szybkości, powinni „być tłuczeni w więzieniu" i to dopiero nauczy ich jeżdżenia, jak trzeba. Jednak niemal natychmiast po wypowiedzeniu takiej opinii wóz policyjny został telefonicznie wezwany na pomoc przez konduktora na jednej ze stacji metra. Chodziło o uspokojenie pijanego, wykrzykującego nazistowskie slogany. Pijany był biały, konduktor czarny.

Samochód przybył szybko na wezwanie i Gray był świadkiem następującej sceny — pijak obrażał konduktora słowami: „gnojek", „pętak", „bydlę", policjant zaś demonstracyjnie mówił „ten gentelman". Konduktor nie krył zadowolenia ze sposobu, w jaki traktuje go przedstawiciel władzy w mundurze. Dla policjanta czarny konduktor był „dobry jak złoto", podczas gdy biały pijak zakłócał spokój. Zachowanie się obu ludzi było dla policjanta wyznacznikiem znacznie ważniejszym, niż kolor ich skóry.

LEWIS CHESTER
(„THE SUNDAY TIMES")

W stylu amerykańskim

Dwa opublikowane w ciągu 10 dni raporty wskazujące, że przestępczość w Australii stale wzrasta i kraj zmierza w kierunku podziemia w stylu amerykańskim, zaszokowały wielu obywateli tego kraju.

Pierwszy raport, którego autorem jest Douglas Meagher, starszy radca Królewskiej Komisji d/s Związku Malarzy Okrętowych i Dokerów, opublikawny w maju br. w Perth, zapoczątkował ogólnokrajową debatę na temat celowości powołania wzorowanej na metodach amerykańskich komisji do spraw ogólnokrajowej przestępczości Premier Bob Hawke dał już do zrozumienia, że tego rodzaju komisja zostanie mianowana przed nadejściem przyszłego roku. Raport Meaghera wyraźnie stwierdza, że w Australii utracono kontrolę nad przestępczością.

Inny raport, przedłożony przez Xaviera Connora rządowi stanu Victoria na temat celowości zorganizowania kasyna w tym stanie, potwierdza wnioski raportu Meaghera. Stwierdza on, iż w stanie Victoria istnieje „znaczny stopień zorganizowanej przestępczości (...) Ma on wiele powiązań międzystanowych i zagranicznych". Connor wypowiedział się przeciwko zorganizowaniu kasyna i rząd stanowy zaakceptował jego rekomendację.

Królewska Komisja d/s Związku Malarzy Okrętowych i Dokerów została utworzona przez rząd federalny i rządy stanowe w 1980 roku i kosztowała już australijskich podatników sumę 3 mln dolarów australijskich. W ubiegłym roku ujawniła ona olbrzymie sumy wynikające z uchylania się od płacenia podatków oraz powiązania istniejące między tą działalnością a niektórymi oddziałami Związku Malarzy i Dokerów. Ocenia się, że machinacje podatkowe kosztowały rząd federalny setki tysięcy, a prawdopodobnie miliony dolarów w utraconych dochodach.

W raporcie swym Meagher pisze, iż można obecnie określić wiele organizacji kontrolujących przestępczość w Australii. Co najmniej trzy przestępcze syndykaty mierzą swój obrót pieniężny w dziesiątkach milionów dolarów. Większe organizacje zaangażowane są w wiele rodzajów przestępczości, poczynając od bukmacherstwa i pornografii aż do prostytucji i handlu narkotykami.

Raport stwierdza, że ustalono istnienie ścisłych związków między niektórymi przestępcami australijskimi a rodzinami ludzi „wysoko postawionych w rządzie filipińskim". Podaje on również, że Hongkong stał się finansowym ośrodkiem „bardzo dużej" liczby australijskich organizacji przestępczych.

Według Meaghera pornografia stała się wielkim biznesem, w którym wchodzą w grę olbrzymie sumy pieniędzy i wielkie zyski osiągane przez organizatorów. „Wszelkie dowody wskazują na istnienie wielkiej przestępczej organizacji w Australii działającej w tej dziedzinie i sprawującej nad nią dominację" — stwierdza Meagher w swoim raporcie.

Prostytucja odbywa się pod płaszczykiem gabinetów masażu i agencji eskortujących, zatrudniających od 4 do 20 dziewcząt. „Stawki za usługi świadczone przez dziewczyny wydają się być ustalone w skali całej Australii. Choć istnieją pozory konkurencji, w istocie wydaje się, że branża ta jest dobrze regulowana" — stwierdza raport.

Meagher pisze, że istnieją także sposoby egzekwowania zapewniające przekazywanie zysków przez dziewczyny i panie, które nadzorują. „Dziewczyny, które się narażą, mogą oczekiwać surowej kary, zazwyczaj fizycznej, a niekiedy poniesione obrażenia są przerażające". Raport zwraca także uwagę na inną stronę prostytucji, wskazując na oznaki rozmyślnych prób skorumpowania klientów zajmujących „znaczne stanowiska" w społeczności. Fotografie lub videokasety używane są do szantażowania ofiar, od których żąda się okazywania przychylności przestępczej organizacji.

Raport stwierdza, że w dziedzinie pornografii „znaczna ilość materiałów produkowana jest w Australii. Dużą część tego stanowi dziecięca pornografia dotycząca praktyk seksualnych między dziećmi i zwierzętami". Dzieci będące pod opieką państwa „są często dezorientowane przez podawanie im narkotyków i w stanie odurzenia uczestniczą w praktykach nagrywanych w videokasetach" — stwierdza raport.

W rozdziale zatytułowanym „Kradzieże", Meagher pisze, że australijscy przestępcy stali się „światowymi ekspertami" w kradzieżach sklepowych, a kraj stał się ojczyzną wielkich gangów złodziejskich specjalizujących się w kradzieżach w magazynach. Raport stwierdza, że tego rodzaju operacje są „bardzo udane i doprowadziły do wizyt grup Australijczyków w Londynie i miastach europejskich".

W kwestii narkotyków Meagher stwierdza, że większość importu jest sprawą syndykatów inwestorów. W konkluzji swego raportu Meagher pisze: „W chwili obecnej zorganizowana przestępczość nie ma hamulców i jest poza kontrolą. W dziedzinach podatków rzucono jej obecnie wyzwanie. W innych dziedzinach, wyzwanie, jeśli w ogóle istnieje, jest zaledwie ukłuciem szpilki. Kontrola (nad tym zjawiskiem) w Australii jest jednym z najważniejszych zadań obecnej dekady".

TONY DUBOUDIN
(„The Times")

W kręgu fantastyki

DYMITR BILENKIN

Punkt widzenia

Niezwykłe różowe kamienie zwróciły uwagę Uwaka, kiedy wracał z polowania. Kamienie były ciężkie, błyszczące. Nikt z członków plemienia nigdy takich nie widział. Uwak przywlekł je do pieczary, w zadumie kilka razy obrócił, po czym stuknął jednym o drugi.

I zniknął.

Posmuciwszy się trochę, plemię doszło do wniosku, że myśliwego porwało zwierzę kryjące się w kamieniach. Nigdy wprawdzie nie zdarzyło się, żeby kamień zamienił się w zwierzę, ale jak inaczej wyjaśnić to, że wraz z Uwakiem zniknęły kamienie? Odpowiedź mogła być tylko jedna.

Upłynęło jednakże kilka dni i Uwak, cały i zdrowy, pojawił się w pieczarze równie nieoczekiwanie, jak zniknął.

Kiedy ustało zamieszanie, wszyscy zwrócili uwagę na to, że Uwak odziany jest w osobliwą skórę, białą na piersiach. Wydzielała ona nieznany zapach.

— Zabiłeś kamienne zwierzę i ściągnąłeś z niego skórę? — zapytała stara i mądra Olla.

Uwak pokręcił głową. Sprawiał wrażenie przygnębionego. Pospiesznie podsunięto mu tuszę odyńca, a on rzucił się na nią tak, że aż zatrzeszczały kości. Trochę poweselał, patrząc na kochane twarze swych współplemieńców. Ci, powstrzymując ciekawość, z godnością milczeli, gdyż nie godzi się jedzącemu naprzykrzać pytaniami.

— Widziałem wiele dziwów — oznajmił Uwak, gdy już się nasycił.

Głos drżał mu z emocji.

— A my doszliśmy do wniosku, że porwało cię kamienne zwierzę — powiedziała Olla.

— I tak też było! Ani zdążyłem się opamiętać, jak znalazłem się w paszczy. Ale drapieżnik, który mnie porwał, nie był żarłoczny. Ma trudną nazwę ma-szy-na cza-su. Wszystkie kamienne zwierzęta nazywają tam maszynami. Więcej ich niż jeleni w lesie.

— Poluje się na nie?

— Mają niejadalne, twarde jak kamień mięso, ale ludzie je czczą.

— Daleko od nas żyją ci ludzie?

— Dalej niż kraina snów. To nasi potomkowie. Wnuki naszych wnuków. Tak mi powiedzieli, a ja w to wierzę.

— Niepojęte — powiedziała Olla. A żyją w pieczarach czy na drzewach?

— W pieczarach.

— A więc są, jak i my, cywilizowani.

Uwak uśmiechnął się krzywo i z gniewem odrzucił ogryzioną kość.

— Ja też tak myślałem, kiedy zobaczyłem ich pieczary. Mnóstwo pieczar! Gdzie nie spojrzysz wszystkie skały wypełnione nimi, niczym ule plastrami. Na placykach przed wejściami kotłują się tłumy, tak, że ręką nie możesz machnąć, bo natychmiast o kogoś zahaczysz. Pieczary są ciepłe i jasne, choć duszno w nich. Mimo to, ci ludzie, nasi potomkowie, to godne pożałowania plemię.

— Dlaczego, skoro mają tak dobre, jak mówisz, pieczary?

— Z wielu przyczyn. O, patrx — Uwak pokazał na swą dziwną skórę. — Nasza odzież jest mocna, prawda?

— Prawda, prawda! — chórem zakrzyczało plemię.

— A ta? — Uwak szarpnął brzeg swego odzienia i to rozeszło się od dołu do góry.

Wszyscy wytrzeszczyli oczy.

— To nie wszystko — z goryczą w głosie kontynuował Uwak. — Nasi potomkowie nie umieją polować.

— Nie, no to już bajki! — zaopiniowała Olla. — Tak być nie może!

— Nie, nie bajki! Nie umieją polować, bo są słabi. Nie są w stanie dogonić zwierzyny. Powalić jej. Z trudem byli w stanie podnieść moją maczugę.

— Ja ją podnoszę lewą ręką! — z ironią rzucił dziesięcioletni syn Uwaka.

— Coś tu nie tak — z zadumą pokręciła głową Olla. — Skąd w takim razie biorą pożywienie?

— Zdobywają je im kamienne zwierzęta. Maszyny.

— Oduczyłeś się myśleć, Uwak. Słowa twoje skaczą jak zające. Skoro nasi potomkowie na tyle podporządkowali sobie kamienne zwierzęta, że te przynoszą im swoją zdobycz, to znaczy, że są bardzo mądrzy. A ty tymczasem mówisz, że są słabi i godni litości.

— Dobrze, teraz słowa moje pobiegną jak jelenie. Słuchaj więc! Rzecz najdziwniejsza w ich świecie to maszyny. Są one najróżniejsze. Są większe od mamuta, są maleńkie, wielkości szczura, są silne, są słabe. Jedne biegają szybciej od antylopy, drugie pływają jak ryby, trzecie latają jak ptaki, czwarte są nieruchome jak skała. I wszystkie hałasują. Jedzą kamień, albo czarny sok ziemi. Kiedy czuwają, aż strach do nich podejść — takie są wściekłe. Ale kiedy śpią, to niczego nie słyszą. Można wtedy robić z nimi co się chce. Na moich oczach człowiek patroszył taką śpiącą maszynę. Zwierzęta te są bardzo chytre i bardzo mądre. Wprost do pieczar doprowadzają ludziom strumyki, żeby ci nie zaznali pragnienia. Światło ogniska, nie wiem w jaki sposób, ale również oddzielają od żaru węgielków i dostarczają do mieszkań. Podporządkowały sobie wszystkie inne stworzenia, trzymają je w niewoli, żeby karmić nimi ludzi. Wożą ludzi w swych trzewiach nie tylko po ziemi, ale i w powietrzu...

— A co ja mówiłam! — Olla spojrzała z triumfem na współplemieńców. My ludzie jesteśmy silniejsi od wszystkich zwierząt, bo posiadamy rozum. Tak było, jest i — widzicie? — będzie.

— Nie, Ollo — twarz Uwaka posmutniała. — Wszystko jest na odwrót. Nie nasi potomkowie rządzą kamiennymi zwierzętami, tylko kamienne zwierzęta, maszyny, rządzą nimi.

— Ale przecież sam mówiłeś...

— To prawda. Ale nie bez powodu wspomniałem o chytrości maszyn. Oto teraz siedzimy przy ognisku. Polowanie było udane?

— Udane!

— Żołądki nasze są pełne?

— Pełne!

— Mięsa wiele?

— Wiele!

— A co robimy kiedy żołądek jest pełny, mięsa wiele, ogień płonie wesoło? Śpimy, zabawiamy się, śpiewamy, rysujemy, wymyślamy bajki, ozdabiamy odzież. Kto może zmusić nas do pracy dzień po dniu, kiedy nie ma po temu potrzeby? Nikt! A naszych potomków nikt nie pyta o to, czy chcą pracować czy nie, oni pracują i z pełnym żołądkiem. Oni służą maszynom!

Zrobiło się bardzo cicho, tak cicho, że słyszalne stało się kapanie wody gdzieś w głębi pieczary. Uwak ze wzruszeniem powiódł wzrokiem po okopconych sklepieniach, niszach ze stosami futrzanych kołder, ognisku, mądrych twarzach swych współplemieńców i westchnął.

— Maszyny zmuszają ich do tego, by pracowali na nie — powiedział głucho. — Nie tylko za dnia, ale również w nocy. A jeśli ktoś pracuje niedbale, tego maszyny karzą. Okaleczają, a niekiedy nawet zabijają. Sam widziałem, jak u wejścia do pieczary pewna biegająca maszyna zmiażdżyła dziecko, które najwidoczniej coś przeskrobało. I ludzie nie odważyli się tknąć palcem zabójcy!

Przez plemię przeszedł pomruk oburzenia. Uwak podniósł rękę.

— To jeszcze nie wszystko! Spytacie pewnie, po co w takim razie maszyny karmią ludzi, trzymają ich w cieple? Po to, po co my karmimy i chronimy psy.

Wojownicy złapali za maczugi. Przestraszone matki przycisnęły do siebie dzieci. Gniew i gorycz malowały się na wszystkich twarzach.

— I to wszystko w sytuacji! — zadźwięczał głos Uwaka — i to w sytuacji, kiedy z maszynami, bez względu na to, jakby nie były straszne z wyglądu, łatwo dać sobie można radę, kiedy śpią. Ale nikt nie myśli o walce! Ludzie nie zabijają ich we śnie, oni je czyszczą, oni je leczą! Ten człowiek, który przy mnie rozpruł brzuch maszyny, żałował, że jej nie może wyleczyć! Jak widzicie, ludzie nie uświadamiają sobie swej zależności od nich. Co prawda, jakby mieli o tym mgliste pojęcie, ale oszukują samych siebie wymyślając bajki. Posłuchalibyście tych żałosnych bajek! Ludzie wmówili sobie, że to nie oni służą maszynom, tylko maszyny im. Tak, tak! Nawet przekonywali mnie, że maszyny bez ludzi nie mogą się rodzić, że oni, ludzie robią maszyny po to, żeby te im służyły. I tu poprowadzili mnie, abym popatrzył, jak maszyna sama robi inne maszyny! Sama, bez ludzi! Widziałem, jak się to odbywa. Oto do czego doprowadziło ich to oszukiwanie samych siebie.

Zapanowało męczące milczenie. Wszyscy siedzieli podpierając rękami głowy, niektórym kobietom ciekły z oczu łzy.

— Chciałem uświadomić naszych potomków — kontynuował Uwak. — Chciałem przypomnieć im o dumie człowieka, o potędze ich przodków, ale oni nawet mnie nie zrozumieli. Maszyny przestraszyły się jednak. Początkowo próbowały zabić mnie przed wejściem do pieczary, zabić tak, jak zabiły to dziecko, ale ja oczywiście nie dałem im się. Widziały, że się ich nie boję i stchórzyły. Pospiesznie odesłały mnie z powrotem, kiedy zobaczyły, że jestem dla nich niebezpieczny. Tyle tylko, że ukradły moją skórę, dając tę obrzydliwą odzież niewolnika! Nie mam ochoty jej nosić. Skórę mi dajcie, skórę!

W szale darł na sobie ubranie z krempliny, uspokoił się dopiero wtedy, kiedy owinął się w strój wolnego plemienia. Długo i ponuro patrzył na ogień, a z takim samym przygnębieniem patrzyło na ogień całe plemię.

— Ależ, Uwak — nieśmiało zaprotestowała jedna z kobiet. — Być może rozum naszych nieszczęsnych potomków tylko drzemie i jest nadzieja...

— Ich rozum! — Uwak uśmiechnął się ironicznie. — Ich ciało stało się cherlawe, dlatego że maszyny świadomie przyzwyczaiły ludzi do nienaturalnego pokarmu. Wyobraźcie sobie, że oni nie są w stanie rozgryźć biodrowej kości i nigdy nie jedli mięsa w stanie surowym. Obrzydliwe pożywienie, słabe ciało... i jak tu może ocaleć rozum? Ale my — w głosie jego zadźwięczała duma — my pamiętamy wszystko, prawda?

— Tak — dała się słyszeć cicha odpowiedź.

— Wszystkie nasze umiejętności, całą naszą wiedzę mamy w głowach, prawda?

— Prawda.

— No właśnie! Pamiętamy wszystkie zwyczaje zwierząt, wszystkie zapachy, wszystkie ślady, wszystkie nasze podania i umiejętności. Każdy z nas przechowuje w głowie to, co niezbędne jest plemieniu. A oni nie są w stanie zapamiętać niczego bez podpowiedzi, bez pamięciowych znaków, takich maleńkich znaczków, które nazywają pismem. Do tego stopnia osłabł ich umysł!

— A więc ludzie nie mają przed sobą przyszłości — cicho westchnęła mądra, stara Olla. — Biedne, biedne nasze dzieci!

Przysłoniła twarz rękami i nie zauważyła, że jej maleńki prawnuk, który przez cały czas z uporem coś majstrował, przetoczył po kamieniu wózek i w ciszy zaturkotało pierwsze w historii koło.

Przekład:
MICHAŁ SIWIEC

JERZY GRUNDKOWSKI

Tramwaj

Czuję to.. Czuję jak Tamci wchodzą we mnie, jak powoli rozprzestrzeniają się po moim wnętrzu, docierając wszędzie; widzę, jak bezlitośnie tratują moje trzewia, spostrzegam, jak mnie po chwili opuszczają, niekiedy nic z siebie nie dając... Ale ja nie mam o to do nich żalu. Nieraz zastanawiałem się, czy i w jakim stopniu położyć kres temu niewątpliwemu rozpasaniu, lecz po krótkim namyśle zawsze ów zamiar porzucałem. Porzucałem, ponieważ jest mi z nimi dobrze; przyzwyczaiłem się. Istnieje we mnie świadomość, iż jestem komuś potrzebny. Wiara ta, którą ktoś postronny nazwałby zapewne niezłomnym przekonaniem, dodaje mi sił, tak przydatnych do wykonania tego niełatwego zadania, którym zostałem przymusowo obarczony.

Nie żyję w czasie... przepływ jego nie budzi we mnie najmniejszego zainteresowania, ani nie napawa mnie najmniejszym niepokojem. Samo pojęcie czasu jest dla mnie czymś w rodzaju teatralnego rekwizytu, mam je za czysto akademickie zagadnienie, acz rozumiem, ile ono znaczy dla podmiotów mojej niekończącej się obserwacji.

Żyję w przestrzeni; jestem ograniczony przestrzenią. Domyślam się, iż kiedyś — choć nie potrafiłbym odgadnąć kiedy — i ona się skończy, tak jak ongiś, w zupełnie innym świecie skończył się dla mnie czas, ale się tego nie obawiam — wcale. Tak naprawdę to ja nie boję się — niczego. Tylko niekiedy — nienawidzę. I gardzę. Podobno pogarda jest dzieckiem słabości; sąd ten jednak mnie zbytnio nie przekonuje. Jestem silny. Moje poczucie własnej wartości wynika z wielkiego znaczenia tego, co robię. Przekonany jestem, że mało kto może zdziałać tyle, co ja. Wprawdzie czasami narusza mój spokój pewne natrętne przypuszczenie, lecz ono nigdy nie zakłóca rytmu mojej pracy.

Dostrzegłem nagle kilka ciekawych obiektów. Dwoje młodych ludzi. On jest wysoki, barczysty, ma kędzierzawe włosy i plastykowy worek u stóp; a ona, szczupła, raczej niska, cieszy się przewieszoną przez ramię torbą ze skóry. Ciała ich są obleczone w błyszczące, fałdziste ubrania. Sądzić należy, iż o czymś rozmawiają. Oboje korzystnie wyróżniają się spośród szarego tłumu innych. Z doświadczenia wiem, że tamci będą im tej urody zazdrościć. Poznaję to po gestach, spojrzeniach, mimice twarzy... Żal mi jedynie, że nie jestem w stanie dokładnie określić zasięgu owej niechęci. Niestety nie każdemu człowiekowi mogę poświęcić jednakowo wiele uwagi — złoszczę się, iż moja umiejętność analizowania jest tak nikła... Jakaś starsza kobieta powiedziała coś półgłosem. Wokół podniósł się lekki szmerek. Znam tego typu reakcje; nie pochwalam ich ani nie ganię. Wszelkie wartościowanie jest mi z natury rzeczy obce

Chłopiec odsunął się od swej partnerki i wdał się z kimś w dysputę. Rozmawiali głośno, nawet momentami krzyczeli... Dziewczyna zaś milczała Zatrzymałem się.

Chciałbym być taksówką. W rzadkich chwilach zniechęcenia, apatii pragnienie owo jest we mnie szczególnie silne. Możliwości taksówki są przecież ogromne, zgoła niewyczerpane. Ona jest wolna, nie przypisana do żadnej trasy, może beztrosko przemieszczać się z miejsca na miejsce; taksówka nie jest tak ograniczona w przestrzeni, jak ja. Wszystkim pojazdom zazdroszczę tej swobody. Los każdego z nich jest wdzięczniejszy od mojego. Taka zwykła taksówka może na przykład stykać się z wybitnymi ludźmi, ciekawymi indywidualnościami. a cóż ja mogę? Mogę niewiele, prawie nic... Tłum, który mnie prześladuje, jest tylko i wyłącznie tłumem Uważam, że powinienem przenieść się gdzie indziej, w inne miejsce. Po powrocie zwrócę się z tym do odpowiednich czynników. Co prawda podjąłem kiedyś podobną próbę, lecz zostałem zbyty gołosłownymi przyrzeczeniami i łechtaniem mej bezgranicznej próżności: „jesteś tam niezbędny", mówili, i i mieli naturalnie słuszność, ale ja obrzydziłem już sobie tę szarzyznę. Tym razem nie pozwolę się tak łatwo zwieść.

Ponownie jadę.

Marzę o spotkaniu z Einsteinem. Pragnę choćby przez jeden dzień słuchać brzmienia jego głosu i analizować bieg jego myśli. Przytłacza mnie świadomość, iż marzenie to nigdy się nie spełni. Ta tłuszcza znowu napełniła moje wyczerpane wnętrze. Widocznie trafili mi się jacyś wyjątkowi wandale, bo czuję jak tną me tkanki, jak polują na moje centra nerwowe. Jak coś tam wrzeszczą, krzyczą, jak upuszczają ze mnie krew... Do tej pory uważałem się za kogoś, kto jest nieskończenie cierpliwy, ale oni przekraczają wszakże wszelkie możliwe granice! Niebawem chyba dojdzie do tego, że porzucę o sobie to mniemanie i dam im odczuć, iż ze mną tak postępować się nie godzi! Hołota. Zachowują się jak wracający z meczu piłkarskiego kibice. Uspokaja mnie jedynie przekonanie, że cierpię za miliony i pociesza myśl, że jakbym tylko zechciał, to role mogłyby się odwrócić.

Nie lubię deszczów, wichrów, a zwłaszcza burzy. Burza to chaos, to bezmyślne i jałowe rozpasanie, graniczące z marnotrawstwem. Czyż nie można by zakazać jakichkolwiek burz? Szczególną antypatią obdarzam pioruny. Te świetliste i gorące cięcia kojarzą mi się ze zbędnymi ubytkami energii. Najbardziej lubię elektryczność. Szum płynącego prądu i miarowy terkot pobieranych mocy z reguły nastrajają mnie optymistycznie Wolę bezwietrzną pogodę od ciężkich uderzeń wiatru, a lato od zimy.

Nie cierpię zimy dlatego, że biel wpędza mnie w ponury nastrój, a padający śnieg ogranicza moje i tak skromne zdolności ruchowe. Nie znoszę ponadto ciszy i nocy (ja nie śpię nigdy), co zresztą idzie ze sobą w parze. Moim pokarmem jest gwar. hałas, samo życie; tylko wtedy moje istnienie ma jakiś sens, a noc i cisza tego mnie pozbawiają. Nienawidzę, boję się samotności; pustka, która mnie wówczas otacza, powoduje, że przychodzą mi do głowy bluźniercze pomysły, żeby zejść z owego wysuniętego posterunku i odlecieć hen daleko stąd, pomknąć w gwiezdne przestworza, niczym starannie wykonany fotonowiec. I tak właśnie się kiedyś stanie, wyfrunę z tej nikczemnej klatki, lot mój będzie ptasim lotem, lecz jeszcze nie nadeszła moja godzina... Ale nadejdzie, zapewniam! Jak sobie pomyślę, że te potworne miernoty, których prymitywne reakcje i małostkowe ciągoty muszę ustawicznie analizować, badać, szeregować i już należycie poklasyfikowane i pogrupowane wysyłać w bezdenną otchłań Kosmosu, będą w chwili mego wniebowstąpienia sterczeć na chodniku z rozdziawionymi gębami i z tępym wyrazem zdziwienia na niemniej tępych twarzach śledzić mój triumfalny odlot, to ogarnia mnie wtedy wielki błogostan, w pełni rekompensujący mi wszystkie doznawane trudy.

Nieoczekiwanie poczułem coś na kształt szarpnięcia, jakby uderzenie. Natychmiast opadła ze mnie kurtyna myśli i ujrzałem wspaniały widok, czyli pobojowisko po ulicznym wypadku. Jadący z przeciwka samochód osobowy skręcił pospiesznie w bok, w wyniku czego wpadł pod pięciotonową ciężarówkę. Fiat został zmiażdżony i odrzucony na pobocze drogi. Nieszczęśliwy traf sprawił, że akurat przez jezdnię przechodził mężczyzna, który podzielił los przewrotnego samochodu. Szczątki pechowca zbierano teraz do dwóch trzcinowych koszyków. Miejsce tragedii otoczył gęstniejący coraz bardziej tłum, tak że nic bym nie dostrzegł, gdyby nie to, iż na krótkich dystansach mój wzrok z łatwością przenika przez cokolwiek. Żałowałem przejechanego, z radością natomiast myślałem o rozbitym fiacie Jedna taksówka mniej. Wsłuchałem się uważnie w szmer rozmów, prowadzonych przez ciekawskich i z oburzeniem stwierdziłem, że śmierć owego nieszczęśnika nie wzbudziła niczyjego zainteresowania Kłócono się głównie o to, który z dwóch kierowców zawinił. Przeważała opinia, że winowajcą jest kierowca pięciotonówki. Zorientowałem się także, iż do tej wersji przychyla się również prowadzący śledztwo milicjant. Chciałem krzyknąć, że mogę dać świadectwo prawdzie, ale w porę przypomniałem sobie, iż mnie krzyczeć nie wolno. Zresztą któż by uwierzył, że to właśnie ja krzyczę? Oczywiście nikt.

Przekonuję się co rusz, że rejestr rzeczy których nie znoszę, systematycznie rośnie. Nie cierpię skrzyżowań, bo trzeba na nich czekać, nie lubię wymuszania pierwszeństwa przejazdu, gdyż później często dochodzi do niepotrzebnych kolizji, w których giną ludzie, a każdy zabity człowiek, to dla mnie poważna strata. Nienawidzę osobników w niebieskich mundurach, bowiem za ich sprawą niekiedy giną mi z oczu przedmioty mojej obserwacji, nadto zbytnio nie poważam ludzi starszych wiekiem, jako że na nich długo nie będę już mógł liczyć. A kogo lubię? Tylko te pasożyty, łapczywie wyciskające ze mnie wszystkie soki żywotne, jedynie ICH kocham... Szczególną estymą obdarzam pijaków, aczkolwiek jest to miłość nieodwzajemniona. Lubię alkoholików dlatego, ponieważ oni odgrywają zazwyczaj rolę jakby katalizatora, przyspieszającego tego typu reakcje, jakich jestem najbardziej ciekaw. Niestety, ci wspaniali, choć o zakłóconym poczuciu równowagi mężczyźni rzadko mi się trafiają.

Znowu wypełzli z mego wnętrza, i to wszyscy naraz, gromadnie, nie pozostał nikt. Czuję się osamotniony, pusty. Ze znużeniem obserwuję widoczny z okien, ciągle ten sam obraz — — ciągnące się w głąb miasta szare mury budynków, zapchane unieruchomionymi pojazdami parkingi, trawniki, piaskownice, pasy wyzbytych z liści drzew, parkowe alejki, kręte uliczki... Bólem mnie napawa owo ograniczenie w przestrzeni. Chciałbym móc udać się dokądkolwiek, móc dotykać swymi tajnymi perceptorami nawet najmniejszych gałęzi, a przypadła mi w udziale trasa zaledwie kilkukilometrowa... W pobliżu, chyba od tygodnia, rozbierają szyny tramwajowe. Z gazet dowiedziałem się, że powstaje tu linia metra, moja działalność jako obserwatora dobiega więc końca. Wkrótce przestaną już przekazywać jakiekolwiek meldunki. Nie potrafię rzec, czy mnie cieszy to czy smuci... Powoli nadciąga zmierzch. Perspektywa spędzenia tutaj, na Ziemi kolejn j nocy wydaje mi się wysoce niemiłą. Rozważyłem możliwość zakończenia mojej misji znacznie wcześniej, zanim zdążą zapaść ciemności i muszę obiektywnie przyznać, że ten zamiar bardzo mnie pociąga. Wszak mój pobyt w tym mieście trudno zaliczyć do udanych... Nie zaspokoiłem swych wielkich ambicji; pragnąłem stykać się z wybitnymi osobistościami, z przedstawicielami świata kultury, nauki, z głośnymi sportowcami, aby mieć później okazję do wysyłania olśniewających raportów, a tymczasem badałem jedynie zbiorowość, a nie jednostki; analizowałem zachowanie zwykłych, szarych obywateli tej planety, wyciągałem banalne wnioski: słowem, nudziłem się... W Centrali powtarzano mi, że jestem tam niezbędny, że moje poświęcenie jest szeroko znane, że wykonuję tam główną robotę... (od siebie dorzucę, że ona była nie tyle główna, co czarna). Doskonale pojmuję te racje, wiem, że ktoś zrobić to musiał, ale wiem też, że byłem, jestem i będę nie doceniany. Taki jest już los szeregowego Obserwatora.

Instrukcje pod karą dalszych stu lat Nieustającej Obserwacji wzbraniają zrzucania maski i ukazywania badanym obiektom swego prawdziwego oblicza. Instrukcje zakazują również wielu innych rzeczy. Na przykład mówią, że odlot z planety zamieszkałej przez ludy pierwotne może nastąpić dopiero wtedy, gdy istnieje absolutna pewność, iż nikt tego nie zauważy. Litościwi i dręczeni wyrzutami sumienia zwierzchnicy pilnie dbają o to, aby nie straszyć tubylców. Twierdzą, że podobny wyczyn mógłby wywołać nieobliczalne skutki. Oczywiście przyznaję im słuszność, dobry Obserwator nie ma nigdy najmniejszych wątpliwości. ale mnie to wszystko nic nie obchodzi! Ja mam przeróżne zakazy, instrukcje, paragrafy gdzieś! Za te okrutne poniewierki należy mi się przecież jakaś odpłata! Pragnę zobaczyć to niebotyczne zdziwienie i ten bezdenny strach, który bez wątpienia pojawi się na twarzach świadków mego odlotu. Moje niezłomne postanowienie jest nieodwołalne. Wystartuję w biały dzień, na oczach całego tłumu — pojedynczym świadkom na pewno by nie uwierzono. Robotnicy zrywają już szyny, zbliżają się coraz bardziej, czas na mnie. Rozpoczynam zgodne z procedurą startową odliczanie.. Zero!!

Tramwaj uniósł się dwa metry nad ziemię. Osłupiali ze zdziwienia ludzie wpatrywali się nic nie rozumiejącym wzrokiem w ów dziw natury. Tramwaj trwał nieruchomo, zawieszony w nicości. Nagle zawirował, okręcił się dookoła własnej osi i błyskawicznie poszedł w górę. Gdy przebijał się przez chmury, był już tylko maleńkim, bezbarwnym punkcikiem.

1 Spojrzenie znad szachownicy

Trzecie podejście

Z przykrością muszę zauważyć, że nie tylko „Odgłosy", ale również rzutkie z natury gazety codzienne przestały nadążać za oszalałym tempem współczesnego życia (umysłowego, bądź pozaumysłowego — ten problem pozostaje otwarty) i nie raczyły nawet zauważyć, iż garnki, wazony, tudzież inne przedmioty latają już nie tylko po Sosnowcu, ale również po Sochaczewie.

„Express Wieczorny" owszem, trzyma rękę na pulsie wydarzeń, ale i jego doniesienia nie oddają całej głębi sygnalizowanej tu sprawy. Osoby dobrze poinformowane doniosły mi na przykład, iż podając się za ekipę radiową wtargnęło ponoć do wiadomego mieszkania w Sochaczewie kilku przedstawicieli pewnej religijnej sekty. Odprawiono stosowne obrzędy i wszystko natychmiast stało się jasne.

— Proszę się uspokoić, nie ma tu żadnych duchów — powiedział pocieszająco jeden z przedstawicieli interweniującej grupy. — To jasne, że za cały zamęt odpowiedzialne są najzwyklejsze demony...

2.

Demony nie demony, nie uważałem prawdopodobnie na tej lekcji i na temat demonów mało akurat mam do powiedzenia. Spieszę natomiast oddać sprawiedliwość „Polityce". Sławny już artykuł *Jana Rurańskiego zdraźnił mnie wprawdzie tak serdecznie, że* wbrew własnym przekonaniom gotów byłem zapisać się do radiestetów, zapaskudzić cały ogródek piramidą egipską, a nawet wysłać swoje ciało astralne iżby wypisało brudnym palcem na stosownej ścianie cytat z Szekspira o tym, co to niby nie śniło się filozofom. Wkrótce potem ta sama „Polityka" opublikowała jednak piękny i mądry wywiad z prof. Andrzejem Kajetanem Wróblewskim spełniający z naddatkiem to wszystko, czego — jako skromny czytelnik — po polemikach oczekuję.

Przede wszystkim — miast tupania nogami i układania list proskrypcyjnych — były tu rzeczowe argumenty okraszone sarkazmem w najwyborniejszym gatunku, któremu towarzyszyła wszelako nutka pobłażliwej tolerancji wobec tego, co i na peryferiach nauki niekiedy może rozkwitnąć.

„Czas najwyższy — mówił prof. Wróblewski — by wylać kubeł zimnej wody na ludzi, którzy, izolowani z różnych powodów od świata nauki, gotowi są uwierzyć w każdą bzdurę głoszoną przez pseudonaukowców. Przy czym nigdy, nigdzie nie proponowałem, aby badania z dziedziny parapsychologii spalić na stosie. Myślę tylko, że nawet kontestując przeciwko tzw. nauce oficjalnej nie powinno się tracić zdrowego rozsądku. Nie ma nic gorszego niż gdy ktokolwiek da się otumanić".

Ha, skoro tak, to nie zapisuję się do radiestetów, nie buduję piramidy egipskiej, nie wysyłam nigdzie swojego astrala i w ogóle przestaję grać w jakiejkolwiek drużynie, wszystkie siły poświęcając życzliwej mediacji. Kompromis, jak sądzę, jest tu możliwy, pod pewnymi warunkami wszelako.

3.

Umawiamy się więc na początek zgodnie, że nie damy się zwariować i nie będziemy różnej klasy zjawisk pakować do jednego worka.

Różdżkarz odnajdujący w otwartym terenie żyłę wodną to zupełnie ktoś inny niż facet, który wymachując wahadełkiem nad mapą wmawia nam, iż odkrył właśnie nikomu nie znaną podziemną rzekę na Alasce. Osiągnięcia różdżkarza da się na różny sposób objaśnić, natomiast uznanie za prawdziwe hocków-klocków z mapą wymagałoby unieważnienia całej naszej wiedzy o przekazie informacji i stworzenia nowej wiedzy, odmiennej.

Gdyby wierzyć z kolei we wszystkie cuda, które przytrafiają się psychotronikom, należałoby dla odmiany zrewidować i unieważnić całą dotychczasową fizykę. Oczywiście nie byłoby to takie złe, przy okazji unieważnilibyśmy przecież bombę atomową, wodorową, neutronową i inne paskudztwa, istnieją jednak pewne przesłanki pozwalające wnioskować, iż fizykom byłoby cokolwiek łatwiej unicestwić psychotroników, niźli odwrotnie.

No i tak dalej, po argumentv odsyłam do wywiadu z profesorem Wróblewskim, a komu nie wystarczy profesor, niech sobie przeczyta na początek artykuł Stanisława Lema „O poznaniu pozazmysłowym" zawarty w tomie „Rozprawy i szkice" (Wyd. Literackie, Kraków, 1975 r.), choć są oczywiście i inne źródła.

Jednak — doradzałem przecież, iżbyśmy się nie dali zwariować — skoro mówimy o ignorancji pseudonaukowców, pamiętajmy też o arogancji naukowców. Cały naukowy świat uważał poematy Homera za bajania wielkiego poety, nikomu — za przeproszeniem — tylko zza katedry nie chciało się podnieść, aż znalazł się amator, profan, laik, który z naiwnością dziecka zabrał się do kopania i odnalazł Troję. No, może nie od razu tę właściwą, Priama i Hektora, ale jednak odnalazł i ówcześni luminarze nauki dowiedzieli się wreszcie, jak brzmi słynny śmiech homerycki — bo to z nich śmiano się właśnie.

Można wprawdzie powiedzieć, *że nie zachowuję się fair, bo przywołuję przykłady z historii. Czyżby?!* A czym będzie dzisiejsza nauka dla przyszłych pokoleń, jeżeli nie historią właśnie?! Spotkajmy się za sto, dwieście, trzysta lat — wtedy pogadamy. I sprawdzimy przy okazji, czy wśród gromady maniaków nie snuł się wśród nas jakiś Schliemann drugiej połowy XX wieku.

4.

Tak kończy się moje trzecie podejście do tematu zwanego psychotroniką, którego — obawiam się — mimo wysiłków nie zdołałem podźwignąć.

JERZY P.

2 Lewym okiem

Panika wśród kwiatów

Czytaliśmy już nieraz o tym, że rośliny posiadają coś w rodzaju systemu nerwowego, że odczuwają otaczające ich nastroje i na przykład o wiele piękniej rozwijają się i kwitną w mieszkaniu, gdzie są lubiane, gdzie się z nimi rozmawia, głaszcze i płacze nad więdnącym listkiem. Jeśli tak jest, to wyobrażam sobie, jaka panika ogarnia w tej chwili każde „środowisko" roślin ozdobnych. Jak trzęsą się po nocach goździki i storczyki, jak omdlewają z rozpaczy frezje i kalie: mamy przecież znowu oktawę święta kobiet i miliony kwiatów padną ofiarą masowej rzezi.

Niektóre czasopisma rozpoczęły już na dwa tygodnie naprzód kokieteryjną, feministyczną kampanię. Jak by tu nie pozostać w tyle, nie okazać się zatwardziałym mizogynem (babożercą), do czego mi bardzo a bardzo daleko, a jednocześnie nie dać się porwać fali taniego sentymenciku i wazeliny? Najlepiej może po prostu przypomnieć — gwoli rozrywki obu płci — parę rzadko cytowanych opinii o kobiecie, którą prawie wszystkie największe religie świata uznawały do niedawna za naczynie wszelkiego zła i grzechu. Jeśli mimo to właśnie kobiety stanowią większość wiernych i bezkrytycznych wyznawczyń, to złóżmy ten fakt na karb tajemnicy kobiecych dusz.

W jednym z najbardziej pobożnych krajów świata — w Hiszpanii — jeszcze w 1926 roku spalono żywcem nauczycielkę, która przez swoje podejrzane zabiegi higieniczne sprowadziła na wieś epidemię szkarlatyny (pisał o tym „Robotnik" z 12 maja 1927 roku). W tym samym czasie pod Warszawą, w Wieliszewie, tłum poturbował „czarownicę", że ledwie zdołano ją uratować (p. miesięcznik „Praca" z kwietnia 1926), a w Paryżu sąd przyznał mężowi prawo bicia żony, jeśli ona na to zasłużyła („Kurier Poranny" z 19 maja 1927).

Co do równouprawnienia kobiet pisała Anastazja Dzieduszycka (kobieta!) w „Książce młodej kobiety" z 1881 roku:

„Jeżeli dziewczę w marzeniach swych wybiega poza zakres działalności kobiecej, wystawić mu wypada, jak kobietom szkodzi, siebie na śmieszność narażając i potwierdzając mniemanie niechętnych, iż kobieta wykształcona kobietą być przestaje, bo lamie się z trudnościami, może siły jej przechodzącemi na niewłaściwych działalności polach, gdy jednocześnie prace kobietom najwłaściwsze leżą odłogiem, a społeczeństwo skarży się na brak niewieścich serc i dłoni".

Pół wieku później pisał nieco inaczej Boy-Żeleński (w recenzji z zapomnianej sztuki Poli Gojawiczyńskiej „Oczko puściło"):

„Życiowo upodobniła się kobieta do mężczyzny, zyskała swobodę, odrzuciła wiele więzów, rozporządza sobą, pracuje na siebie (a często i na mężczyznę), ale to wszystko nie zmieniło jej głębokich instynktów, pozostała istotą, która potrzebuje w każdej chwili żyć przez kogoś, dla kogoś (no i z kimś), która samotny wieczór odczuwa jako nieszczęście, a samotny kotlet staje jej kością w gardle, która zachowała bluszczową potrzebę owinięcia się o kogoś, wtopienia się w mężczyznę. Cała jej harda, samodzielna, zdobywcza postawa życiowa jest sztuczna, jest bezwiednym udawaniem. Przesadna siła niezużytego macierzyństwa złożona przez naturę w jej łono tłucze się w niej, rodząc w niej niepokój, albo daje lada jej uczuciątku zaborczą pasję, która przedwcześnie wystrasza i oddala mężczyznę".

Kapitalne były dywagacje o kobietach na obiadach literackich, urządzanych w Paryżu przez braci Goncourt. Za dużo tego oczywiście, żeby cytować, tylko jedno takie zdanko: „Kobieta, która nie była ładna, nigdy nie była młoda". Jakaś dama dopisała ponoć obok tego zdania: „To smutna prawda..." — ale przecież z własnych obserwacji wiemy, jak często piękne kobiety mają czego zazdrościć tym trochę mniej pięknym. A zresztą — wobec święta kobiet życzę serdecznie wszystkim i każdej z osobna: bądźcie wszystkie młode. I to zawsze!

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

3 Nagle zastępstwo

Piosenka i tradycje kulturalno-społeczne

W dziewiątym numerze „Odgłosów" z 3 marca br. wyczytałem, że Wydział Kultury i Sztuki UM w Tomaszowie Mazowieckim, Łódzki oddział ZAKR-u i Towarzystwo Przyjaciół Tomaszowa Mazowieckiego ogłaszają konkurs na utwór poetycki i piosenkę o Tomaszowie Mazowieckim i ziemi tomaszowskiej. Bardzo to piękna inicjatywa. Utworów poetyckich i piosenek o Tomaszowie i ziemi tomaszowskiej jakby mało...

Dlatego też Wydział Kultury i Towarzystwo, tradycyjnym, wypróbowanym sposobem, tj. przy pomocy brzęczącej mamony, zachęca twórców, aby pod wpływem natchnienia i twórczej weny napisali dzieła wstrząsające pięknem niezwykłym, przy okazji dzieła, które, cytuję: „popularyzują Tomaszów i ziemię tomaszowską, ich historię i dorobek w okresie powojennym, tradycje robotnicze i kulturalno-społeczne" (koniec cytatu).

Piosenka, która popularyzuje tradycje kulturalno-społeczne... tego jeszcze nie było! Ale będzie, miejmy nadzieję. Tak więc, mieszkańcy szacownego skądinąd grodu nad Pilicą żyć nie mogą bez piosenki, która popularyzuje tradycje kulturalno-społeczne i Wydział Kultury oraz odnośne Towarzystwo zaspokoi ten głód społeczny. Pięknie.

W sąsiednim województwie Zduńska Wola usycha bez fraszek. Toteż organizuje się tam, chyba drugi już z kolei, konkurs otwarty na fraszkę o Zduńskiej Woli. Setki — co ja mówię! — tysiące fraszkopisarzy z całego kraju, znający Zduńską Wolę tylko z okien pociągu zapoznaje się z odnośnym przewodnikiem turystycznym i rymuje, jak się da, zawarte tam informacje. Bardzo pięknie. I zgodnie z duchem reformy kulturalnej, która polegać ma na decentralizacji kultury.

Koniec ze stołecznym prymatem na wiersze i piosenki! Koniec z niczym nie uzasadnioną supremacją Krakowa! Mamy w tym kraju jeszcze Ełk, Białą Podlaską, Stryków pod Łodzią, Łomżę i Ustrzyki Dolne (nie licząc Górnych). Twórczość poetycka i piosenkarska winna być wreszcie egalitarnie dzielona, według centralnego rozdzielnika. To skandal, żeby akcja powieści nagrodzonej Noblem działa się w jakichś — tam Lipcach pod Skierniewicami! Przecież takie, dajmy na to, Jastrzębie — Zdrój czy Czechowice — Dziedzice, mają nieporównanie więcej mieszkańców a ich znaczenie dla gospodarki narodowej jest daleko większe!

I nie dajmy się nabrać na zachodnią, wredną propagandę! Nazwa jednego z najpopularniejszych na Zachodzie zespołów hard-rockowych „Police" nie zaspokoi ambicji kulturalnych mieszkańców i patriotów lokalnych naszych, prasłowiańskich i odzyskanych po wiekach niewoli germańskiej Polic nad Zalewem Szczecińskim!

Dalej zatem, organizować konkursy. Śmiało, nie tylko na piosenki i fraszki. Na pomniki, na opery, na symfonie! Jakby to było pięknie, gdyby tak w Śremie stanął pomnik pt. „Myśliciel śremski" przedstawiający nagiego mężczyznę z głową opartą na dłoni. Jakby było miło, gdyby opera objazdowa wystawiła premierowy spektakl dzieła pt. „Diabły z Lubina" w Lubinie właśnie. Wspaniale byłoby, gdyby międzynarodową nagrodę literacką dostał pisarz, który wbrew literackim modom napisałby powieść — rzekę o dziejach miasteczka Kowal na Kujawach. Oczywiście, z uwzględnieniem tradycji kulturalno-społecznych miasteczka oraz jego sukcesów w konkursie na mistrza gospodarności i miejscowej gospody ludowej w konkursie na złotą patelnię.

Dość białych plam na mapie kulturalnej kraju. Najwyższy czas, żeby w każdym województwie odbywał się, co najmniej raz w roku festiwal. Najlepiej na pieśń. Są przecież nie wykorzystane obszary pieśniarstwa. Festiwal pieśni pijackiej mógłby się odbywać w Pyrach, festiwal piosenki erotycznej („Weszła Kaśka na drabinę, pokazała odroomę") w Kostomłotach koło Kielc, festiwal pieśni i piosenki awangardowej („Kocham cię, kochanie moje") w Bielsku-Białej, ojczyznie awangardowego samochodu Fiat 126 p.

A przecież w kolejce czekają nowe ruchy społeczne, które jeszcze nie wytworzyły własnej nadbudowy kulturalnej. Mam na myśli choćby ruch naturystyczny. Proponuję konkurs i ogólnopolski festiwal utworów poetyckich poświęconych najbardziej egalitarnej idei społecznej — idei naturyzmu.

A pieśni i wiersze związane z radiestezją?

Wróćmy do Tomaszowa Mazowieckiego i Zduńskiej Woli. Sądzę, że zapomniany już prawie tekściarz piosenkowy, niejaki Julian Tuwim nie ma szans na tomaszowski laur. Piosenka, zaczynająca się od słów „A może byśmy tak, najmilsza, wpadli na dzień do Tomaszowa..." nie przejdzie ze względu na drobnomieszczańskie, obce tradycjom robotniczym i kulturalno-społecznym „zielone winogrona".

Co do fraszki o Zduńskiej Woli, to najtrafniejszą wymyślił ad hoc mój sąsiad z tej kolumny, Jerzy P. Była, krótka, dosadna i śmieszna. Nie przytoczę, bo po pierwsze — nieocenzuralna, po drugie — jak wyżej...

ANDRZEJ KAROL

4 Sport

Zanim oddasz mocz do analizy

Medycyna dokonuje postępu, wymyśla się i produkuje różne leki, aby ludzie byli zdrowi i dłużej żyli, ale też — jak ktoś się uprze — może sobie tymi lekami zaszkodzić. Na przykład sportowcy. Powinni zdobywać laury jedynie siłą mięśni oraz umiejętnościami. A oni wpadli na pomysł, że mogą im pomóc leki. Nazywa się to dopingiem. I jest niedozwolone. Ale stosowane. Toteż po każdych zawodach losuje się zawodników do kontroli antydopingowej. Trzeba wtedy — przepraszam — nasiusiać do buteleczki, którą się łakuje i oddaje do laboratorium. A tam już ustalą, czy kto brał środki dopingujące czy nie.

Po meczu polskich piłkarek ręcznych z drużyną NRD w czasie mistrzostw świata grupy B w Katowicach, lekarz drużyny polskiej, Stefan Kopocz — jak się później sam przyznał skorzystał z nieuwagi przedstawicieli IHF i wyciągnął z torby z ponumerowanymi piłeczkami pingpongowymi piłeczkę z numerem 11, gdyż był zupełnie pewny, iż żadna z polskich zawodniczek niczego nie brała, a już bez wątpienia Mirella Mierzejewska z Pogoni Szczecin. Ona właśnie grała z nr 11.

I co się okazało?

Ano okazało się, że Mirella Mierzejewska wzięła fenmetrazin — środek przeciw otyłości. Nie miała ku temu żadnych powodów, gdyż ani nie jest otyła, ani jej to nie groziło. Środek ten ma też jakieś tam właściwości dopingujące. Ale nie jest w Polsce produkowany i sprzedawany. W Polsce stosuje się inne środki tego rodzaju. Ponoć lepsze. Ja mam swój sposób na odchudzanie, nie próbowałam więc tych środków i polegam tylko na opiniach specjalistów.

Zrobiła się afera. Dyskwalifikacja, wstyd, pretensje. Mirella Mierzejewska stanowczo zaprzecza, twierdzi, że niczego takiego nie brała. Jej opinię podtrzymują ci wszyscy, którzy opiekowali się drużyną. Mirella Mierzejewska napisała list otwarty do Mariana Renke i rozesłała go do prasy i TVP. Oto fragment tego listu, opublikowanego w „Głosie Szczecińskim", a przedrukowanego przez „Trybunę Ludu":

„Stałam się „kozłem ofiarnym" niedopatrzeń i zaniedbań regulaminowych — pisze Mirella Mierzejewska. — By zbyt dużo nie opisywać tej sprawy oświadczam:

1. Nie przyjmuję nałożonej na mnie kary dyskwalifikacji.
2. Nigdy nie odchudzałam się i nie brałam żadnych środków na odchudzanie.
3. Nigdy w swoim życiu nie brałam żadnych środków dopingujących.
4. Nigdy nie brałyśmy żadnych środków dopingujących w naszej drużynie klubowej (Pogoń Szczecin).
5. Oczekuję należnej mi rehabilitacji za zniesławienie mojej osoby, trenera, klubu, reprezentacji...

Proszę o pomoc najwyższe władze sportowe w Polsce oraz środki masowego przekazu. Jeśli i te kroki nie przyniosą żadnego rozwiązania pozostanie mi oddanie sprawy do sądu. Pragnę tego uniknąć i wykorzystam tę możliwość w drodze ostatecznej — gdy nie będzie żadnego wyjścia..."

Czy ktoś winny używania środków dopingujących będzie chciał oddać sprawę do sądu? Można powiedzieć, że zamiar pozostaje tak długo tylko zamiarem, kiedy nie stanie się faktem. A zamiar Mirelli Mierzejewskiej jest ciągle tylko zamiarem, a posądzenie jej o używanie środków dopingujących faktem. Tak ustalili laboranci.

Jeśli jednak Mirella Mierzejewska kategorycznie zaprzecza, jakoby miała wziąć jakikolwiek środek dopingujący, to w jaki sposób dostał się on do jej organizmu. Jest to pytanie dla całej sprawy zasadnicze. Trener piłkarek ręcznych Bogdan Cybulski nie cofnął się nawet przed ostrym oskarżeniem o... prowokację, o... umyślne podrzucenie polskim zawodniczkom środka dopingującego, aby je skompromitować. Ale kto to mógł zrobić? Kto miał w tym swój interes? Są to dalsze, istotne pytania dla tej sprawy. Nie mam jednak na nie odpowiedzi. I sądzę, że nikt jej nie znajdzie. Trudno to bowiem będzie komukolwiek udowodnić. Tym bardziej, że jeśli posądzenie o taki bezecny czyn jest prawdziwe, to zrobiono to tak, aby ślad pozostał, ale sprawca pozostał w cieniu. Możliwości — jak twierdzą niektórzy z polskiej ekipy — były.

Afera z moczem Mirelli Mierzejewskiej ma bowiem złożone i skomplikowane podłoże. Prezes Polskiego Związku Piłki Ręcznej mgr inż. Stefan Monikowski w liście do „Przeglądu Sportowego" próbuje uspokoić opinię publiczną wzywając dziennikarzy, aby poczekali do końca rozliczeń i konferencji prasowej, na której się wszystko wyjaśni. Afera z dopingiem też? Z tego listu, jak i z wielu publikacji, niedwuznacznie wynika, że w Polskim Związku Piłki Ręcznej jest bałagan, niedowład organizacyjny, że przed mistrzostwami świata w grupie B przed polską drużyną nie postawiono żadnych celów, a powiedziano wręcz, że obojętne jakie miejsce zajmą, bo nikt nie będzie miał do piłkarek pretensji, co wywołało ostry sprzeciw zawodniczek. Pora, aby w te sprawy wglądnęły władze nadrzędne polskiego sportu.

A sportowcom mogę na zakończenie zadedykować zwierzenia jednego kulturysty, który fachowo podpowiada co się robi z moczem przed oddaniem go do analizy:

„Bierze się silny lek moczopędny, który wypłukuje z nerek hormony. Później pije się dużo płynów i płukanie leci dalej. Na końcu „pożycza się" od „czystego" kumpla setkę moczu i przy pomocy cewnika wprowadza się do pęcherza. Po takim zabiegu można już prawie bez obaw siusiać do sędziowskiej menzurki."

Proste. Na wszystko jest sposób.

BOGDA MADEJ

Redaguje zespół: **Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska,** Andrzej Karolczak (sekretarz redakcji), **Jerzy Kwieciński, Bogda Madej,** Andrzej **Makowiecki,** Grażyna **Olechnowicz** (z-ca sekretarza redakcji), **Tomasz Sas** (z-ca redaktora naczelnego), **Igor Sikirycki** (kier. działu literackiego), **Karol J. Stryjski, Janusz Szymański-Glanc** (grafik), **Paweł Tomaszewski, Lucjusz Włodkowski (redaktor naczelny), Jolanta Wrońska.**

Stale współpracują: **Tadeusz Błażejewski, Edward Bryl, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemiński, Edmund Lewandowski, Dariusz Milerski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz, Jerzy Wilmański.**

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy", al. Mickiewicza 11, kod. 90-438 Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 36-52-44, sekretarz redakcji 36-80-99. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów. WARUNKI PRENUMERATY: 1. dla osób prawnych — instytucji i zakładów pracy: — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach: — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" i na terenach wiejskich, opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. dla osób fizycznych — indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonują używając „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch", 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153 201045 138-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę: — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny. — do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa — Książka — Ruch" Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96, kod 90-103 Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu: 36762.

ZBIGNIEW NIENACKI

Raz w roku w Skiroławkach 8

O tym, że człowiek najchętniej unika prawdy o sobie i swoich upodobaniach

— To było tylko takie głupie gadanie, pani Basieńko. Pani wie, że mnie w ogóle nie interesują ludzkie sprawy. A nasze mądre dysputy, to jak brzęczenie much nad kupą łajna w upalny dzień. Nikt nie rodzi się rozwodnikiem, podobnie jak mordercą.

— Za pozwoleniem, kolego malarzu — wtrącił się Lubiński. — Wkracza pan na teren genetyki. A co się tyczy naszego gadania o ludzkich sprawach, to gdyby nie podobne rozmowy, zamiast malować trzciny nad jeziorem, pozostawałby pan jeszcze na etapie wieszania się na gałęziach drzew i bieganiu na czworakach. Ludzkość musiała kumulować swoje doświadczenia i spostrzeżenia, aby zapewnić sobie rozwój.

— Ale to prawda, że nikt nie rodzi się rozwodnikiem — poparła malarza pani Basieńka. — Podobnie, jak nikt nie rodzi się żołnierzem. Czytałam książkę pod tym tytułem.

— Słusznie — przytaknął doktor, który był już zmęczony upałem i rozmową. — Nikt nie rodzi się ani rozwodnikiem, ani żołnierzem, ani mordercą. Co najwyżej przychodzi na świat z predyspozycjami w tym kierunku.

— Tak mówi nauka o genach — ochoczo podjął temat Lubiński. — Czy nie słyszeliście o dodatkowym chromosomie? Nikt nie rodzi się żołnierzem, ale wielu bardzo chętnie zostaje dobrymi żołnierzami. Czy każdy nosi buławę marszałkowską w tornistrze? Nie. Tylko niektórzy. Z odpowiednimi predyspozycjami.

— Kapitan Śledzik — ozwał się doktor — radził mi poznać się z wynikami badań wiktymologów. Uczyniłem to ostatnio. I cóż się okazało? Otóż niektórzy osobnicy o odpowiednich predyspozycjach zostają przez życie ukształtowani jako potencjalne ofiary dla złych machinacji innych osobników. Ta nauka nie mówi o tym, ale to się samo przez się narzuca, że skoro kształtują się ofiary, to muszą również w ten sam sposób kształtować się i kaci. Bez planktonu nie ma szczupaków, bez szczupaków nie ma dobrego obiadu. Wniosek narzuca się taki, że w świecie przyrody każdy jest dla kogoś ofiarą i każdy bywa dla kogoś katem. Pytanie: czy podobne zjawisko występuje u ludzi?

— Pan myśli, doktorze, że mój kochany Nepomucen — rzekła pani Basieńka — był urodzonym katem dla swych żon, zmuszał je do kurewstwa. Ależ to nieprawdopodobne!

— Zgoda. Zawsze go miałem za ofiarę ich postępowania — odrzekł doktor.

Porwasz opróżnił szklankę z winem. Wstał z leżaka.

— Mówcie sobie, co chcecie. Zabito dwie dziewczyny na skraju lasu i nikt z was nie wie, kto to zrobił. A co gorsze, nawet nie domyślamy się, kto będzie jego trzecią ofiarą.

To rzekłszy malarz Porwasz zeskoczył z tarasu i w popołudniowym upale ruszył w kierunku domu gajowego Widłąga. Skwar i widoki, jakie na tarasie roztaczała prześwietlona sukienka pani Basieńki, obudziły w nim silne pragnienie kobiety. „Moje okna są już zakurzone" — powtarzał sobie Porwasz, myśląc, co powie w domu gajowego. Albowiem od czasu, gdy wychowywał jaskółkę, Widłągowa przestała przychodzić do jego domu, aby w nim sprzątać i myć okna. Prawdę mówiąc od tamtej chwili nie miał Porwasz żadnej kobiety i teraz tym mocniej jej pożądał. Jaskółka nie tylko nie spełniła jego nie wypowiedzianego głośno życzenia, aby miał na stałe ładną i wygodną w łóżku kobietkę, ale w ogóle stracił nawet tę wygodę, którą dotąd posiadał.

— Pan przecież wie, że mam wczasowiczów, państwa Turoniów — powiedziała mu Widłągowa, jak gdyby obrażona, że dopiero teraz sobie o niej przypomniał — Oni mi bardzo wiele czasu zajmują. Trudno, musi pan znaleźć sobie kogoś innego do mycia okien.

Porwasz wracał do domu w potokach popołudniowego słońca. Bolała go głowa i bardzo chciał mieć kobietę. Mógł się udać do leśniczówki Blesy, aby tam choć popatrzeć na panią Halinkę i jej mały tyłeczek, ale jako człowiek uwikłany w sprawy barw już przez samą swoją obecność musiał wywołać tam awanturę na temat koloru lamperii w korytarzu i kancelarii. Z rozdrażnieniem przypomniał sobie widok smukłych ud żony pisarza, zbiegających się w miejscu najbardziej rozkosznym i zastanawiał się, czy doktor wymienił wszystkie aspekty sprawy ujawniania się w ludziach ich prawdziwych upodobań. Rzecz cała nie ograniczała się chyba tylko do trzech stron: ktoś miał upodobanie do kobiet o kurewskich skłonnościach ktoś wyzwalał w kobietach ich kurewskie skłonności albo też, pod presją środowiska, dokonywał pośpiesznego wyboru i popełniał błąd, wiążąc się z kurewką. Mogła istnieć i czwarta strona zagadnienia: konieczność przebywania w określonym środowisku, małej wiosce podobnej do kurwidołka, która w każdym osobniku wyzwalała skłonności do kurewstwa. „Do diabła! — pomyślał Porwasz. — Niechże dziś spełni się ta historia i zapłonie ognisko na wyspie. Pójdziemy nocą do młyna. Wszyscy. I będziemy to robić z wszystkimi. Inaczej od tego upału dostaniemy fioła".

I malarz z ogromną tęsknotą popatrzył na jezioro i kępkę zielonych drzew na Czaplej Wyspie.

O nocy duchów i sile namiętności, która odbiera wolę

Tej nocy księżyc dość szybko wypłynął zza horyzontu, ale potem znieruchomiał i na długo zawisł nad lasem porastającym bagnisty półwysep, gdzie zimą nocował Kłobuk. Księżyc był duży, okrągły i świecił metalicznym blaskiem. Po nieruchomej powierzchni zatoki rozlała się struga zimnej poświaty na podobieństwo świetlistej drogi ponad mroczną tonią wody, aż po dom doktora, do jego ogrodu, pod stopnie schodów na taras. Zdawać się mogło, że na owej dziwnej drodze wkrótce pojawią się stada dzików zamieszkujących mokradła, pokaże się rogaty jeleń lub brodaty łoś. Pobrzękując żelastwem przejdzie gromada żołnierzy, która zatonęła w bagnie razem z czołgiem. Była to bowiem droga dla duchów, dla marzeń i tęsknot, dla skrzydlatych aniołów, dla ludzkiego westchnienia. Cisza wypełniała powietrze, zielonkawy blask porażał ukryte w trzcinach kaczory, we wsi nie szczekał żaden pies i milczały krowy na pastwiskach. Drzewa w ogrodzie miały srebrne liście i wydawały się wyższe, pełne jakiegoś dziwnego dostojeństwa. Uroda tej nocy była jednak martwa jak twarz pięknej nieżywej kobiety. Tak pomyślał doktor, gdy na chwilę wyszedł na taras i dojrzał strugę światła na zatoce, ową srebrzystą drogę, która wabiła do wędrówki na mokradła, gdzie mieszkały duchy żołnierzy. Dokąd jednak naprawdę można było dojść po takiej drodze? Świat zdawał się być pusty, blask księżyca chłodził twarz i dłonie, cienie drzew wydłużały się i przerażały tajemną głębią jak oczy zmarłych. Setki razy podnosił doktor powieki konających i zaglądał im w źrenice, coraz mniej reagujące na światło. Teraz czuł, że w podobny sposób patrzy w tę noc i jej martwy blask. Roje komarów wirujących nad brzegiem jeziora przybierały kształty duchów, które nadeszły od mokradeł po świetlistej drodze, aby odbywać tutaj swój śmiertelny taniec. Jezioro też było groźne, podobne do potwora wabiącego ofiarę pozornym bezruchem. I nie mógł w sobie doktor odnaleźć przyjaźni dla tej księżycowej nocy ani dla jej umarłego piękna. Przenikał go lęk i obawa przed nieznanym. Pomyślał bowiem, że gdzieś na skraju lasu kryje się morderca bez twarzy i imienia. Ta noc niosła zapowiedź nowej śmierci, drwinę z ludzkiej godności, z rozumu i ludzkiej sprawiedliwości. Ale było też w niej coś więcej — nie umiał tego nazwać, a może nie chciał się do tego przyznać. Obnażała w nim tęsknotę za czyimś żywym ciepłem, za spełnieniem się z kimś upragnionym, za pójściem po świetlistej drodze, która była jak wejście w męczący, ciągle ponawiający się sen. Znajdował się już u kresu sił, które broniły go przed wciąż narastającą namiętnością, odebrana mu została wszelka moc, musiał się ugiąć pod nakazem czyjegoś polecenia. Zbyt wiele razy marzył o takiej właśnie bezwoli, zbyt często przeżywał te chwile w snach, aby teraz nie ugiąć się przed zaproszeniem rozpostartym przed nim przez świetlistą drogę.

Po stopniach tarasu zszedł do ogrodu. Minął sad i wolno stąpał brzegiem jeziora, patrząc, jak świetlista droga towarzyszy mu w tej wędrówce. Gestem dłoni oddalił od siebie psy, wszedł na spróchniałą ławkę pod płotem i przeskoczył na drugą stronę. Po lewej ręce miał misternie upleciony z wikliny płot ogradzający warzywnik Makuchowej, po prawej zaś stała wysoka ściana trzcin przybrzeżnych. Szedł po trawie gęstej, ziemi podmokłej i nieco uginającej się pod nogami. Nie słyszał odgłosu swego stąpania i wydawało mu się, że jest tutaj tylko jednym z nocnych cieni albo zgoła duchem sunącym ponad trawą.

W oknach domu Makuchowej było ciemno. U Widłągów nikłym światełkiem połyskiwało okienko na piętrze, gdzie mieszkali wczasowicze. Drzemały psy wiejskie — cisza była głęboka i, podobnie jak świat, znieruchomiała od martwoty księżycowej poświaty. Jeszcze tylko kilka kroków i otworzył się widok zalanej blaskiem łąki nad jeziorem. Zobaczył podłużny kształt niskiego domu z żółtawym prostokątem rozświetlonego okna. Justyna nie spała jeszcze — serce zabiło mu mocniej, ożyły niepokojące myśli i przeczucia. Odnosił wrażenie, że zielonkawa poświata muska mu włosy, nozdrzami wychwytywał zalatujący od jeziora zapach wodorostów, srebrzysta droga wciąż wabiła na rozległą toń. Zdawało mu się, że stoi u wrót krainy, do której zakazano mu wstępu, lecz zarazem musiało się spełnić przeznaczenie, aby tam wszedł i poznał samego siebie. Jakieś ogromne siły tkwiące w nim samym lub poza nim wyznaczyły mu tę drogę i tę noc, aby przybył jak ćma do okna z żółtawym światłem. Czy ona również czekała na niego w takiej samej męce?

Pochylił się nad brzegiem jeziora, wyszukał w piasku wypłukany przez wodę okrągły kamyk i rzucił go w stronę wiadra, które stało na środku podwórza. Nie trafił, kamyk upadł w trawę i zatonął w ciszy. Dopiero drugi wywołał głośny brzęk. Chciał wtedy zawrócić i pobiec do lasu, ale jak we śnie nagle zabrakło mu sił. Ona zaś już stała w półotwartych drzwiach, w świetle gołej żarówki w sieni, w białej koszuli do kolan. Dłoń podniosła do oczu, bo ją poraził blask księżyca; jemu wydało się to gestem zaproszenia. Zrobił najpierw ostrożnie trzy kroki, potem jeszcze jeden i drugi, aż go ujrzała i rozpoznała.

Uśmiechnęła się kącikami ust, ale po chwili wargi jej rozchyliły się szerzej, podobnie jak wówczas, gdy była u niego po poradę, i odniósł wrażenie, że rzuca mu jakieś bezwstydne wezwanie. Postąpił jeszcze kilka kroków i stanął tuż przed nią. Jej włosy były czarne w świetle księżyca, czarne też zdały się usta i oczy. Palcami obu rąk zaczęła wolno rozwiązywać kokardę tasiemki, która pod szyją zamykała szczelnie koszulę. W powietrzu przesyconym wonią wodorostów raptem owionął go zapach jej ciała — wełny owczej, szałwii, mięty i piołunu. Nie potrafił opanować swej namiętności, zadygotały mu wargi i gwałtownie wyciągnął ku niej ręce, a ona — jakby tknięta lękiem — cofnęła się w głąb sieni, wiodąc go za sobą do oświetlonej izby. Chwilę stał nieruchomo na środku, słyszał, jak bosymi stopami przemyka obok niego, zamyka drzwi i przekręca klucz w zamku. Potem znowu była przy nim, jej palce szarpały tasiemkę i wciąż nie potrafiły rozwiązać kokardki. Opuścił ręce, napawając się pięknością jej twarzy — widział niskie, gładkie czoło, czarne łuki brwi nad odrobinę skośnymi oczami, wystające kości policzkowe, obciągnięte cerą o różowawej przejrzystości morskiej muszli. Między spierzchniętymi wargami zalśnił czerwonawy koniuszek języka, którym poruszała delikatnie, jakby w ten sposób zachęcała go do pocałunku. Zapragnął nagle powiedzieć jej o swym cierpieniu, o bólu, który przeniknął go na myśl o jej ciele, o prześladującym go wszędzie zapachu owczej wełny, szałwii, mięty i piołunu, ale słowa pozostały w myślach. Raptownym ruchem wyciągnął znowu ramiona i chwycił w nie Justynę, przyciskając ją do siebie i odkrywając, że i ona także drży pod grubym materiałem koszuli. Oparła mu twarz na piersiach, jej włosy połaskotały mu usta. Przesunął dłonie z pleców kobiety na jej biodra, podciągając koszulę, aż poczuł ciepło nagiego ciała.

Wyrwała mu się z objęć i bezszelestnie podbiegła do kontaktu. Stał w ciemnościach z pustymi dłońmi, dopóki nie owiał go oddech jej ust i odczuł na szyi oplot kobiecych ramion. Pociągnęła go na łóżko, które stało pod ścianą. Padła na wznak, na rozgrzebaną pościel, zadarła do góry koszulę i szeroko rozchyliła nogi. Legł na niej, rozpinając rozporek i uwalniając nabrzmiały członek. Czekała na niego cicha i niema, z rozrzuconymi nogami, z koszulą podciągniętą pod szyję, z wypukłością nagiego brzucha, bielejącego w księżycowej poświacie zza okna. Wszedł w nią mocno, za każdym pchnięciem słysząc jej coraz szybszy i bardziej chrapliwy oddech. Czuł na plecach palce, które wpijały mu się boleśnie w ciało mimo swetra. Niemal siłą musiał uwalniać swój członek z mocnego chwytu jej pochwy, aby wbić go mocniej i głębiej, dopóki raptem nie wygięła się w pałąk, unosząc go na sobie. Potem zapadła się pod nim i znieruchomiała, a on poczuł skurcz w mosznie i przejmującą ulgę wytryskującego nasienia.

W księżycowej poświacie wyraźnie rysowały się mu teraz sprzęty w izbie — stół, ława, zydle, kolorowymi szkiełkami połyskiwała ikona w lewym rogu. Podciągnął wyżej koszulę Justyny, obnażając piersi z dużymi grudkami sutek. Twarzy nie widział — nie sięgał na nią blask księżyca. Nie słyszał też oddechu młodej kobiety. Ustami dotknął wzgórka prawej piersi, chwilę ssał brodawkę, ale Justyna nie reagowała najmniejszym gestem na jego pieszczotę. Wtedy niespodziewanie przypomniał sobie żółtawą twarz Dymitra, zrodziło się w nim poczucie strachu, a nawet wstrętu — do niej, kobiety leżącej pod nim z rozłożonymi wciąż nogami — i do siebie, który spoczywał na niej w ubraniu, jakby przyszedł tu tylko dla samego aktu miłosnego, pośpiesznego i wstydliwego. Nie czuł już żadnych związków z tym nagim ciałem, które było pod nim. Przestał rozumieć, dlaczego tak bardzo dotąd tęsknił za tą chwilą.

Wstał z łóżka i doznał lekkiego zawrotu głowy. Przysiadł na zydlu, patrząc na łóżko z bielejącym w mroku białym kształtem nagiej kobiety. Nie drgnęła, gdy z niej zszedł, nie wydała z siebie błagalnego szeptu, aby przy niej pozostał. Zrobił dwa kroki do drzwi i zatrzymał się, czekając na jej głos lub choćby ruch nagiego ciała. Lecz ona pozostawała nieruchoma, z rozrzuconymi nogami, z głową obciętą przez mrok.

Przekręcił klucz w zamku i wyszedł na dwór w zielonkawy blask księżyca. Szybko szedł wzdłuż brzegu, ciesząc się, że z każdą sekundą oddala się od miejsca, które wydało mu się tak straszne, jakby popełnił zbrodnię i pozostawił za sobą martwą ofiarę. Ale gdy minął ogródek Makuchowej i bezwiednie dotknął palcami swego nosa, ogarnął go zapach ciała Justyny — woń owczej wełny, szałwii, mięty i piołunu. Nagle powróciło pożądanie, zapragnął wrócić do mrocznej izby, położyć dłoń na brzuchu Justyny, ustami chwycić grudkę jej piersi, odświeżyć smak, który wciąż jeszcze odnajdywał na wargach. Na samo wspomnienie przeżytej dopiero co rozkoszy powtórnie miał zawrót głowy i aż zatoczył się na wiklinowy płot. Raptem rozszczekał się głośno pies u Widłągów i ten dźwięk przywołał w nim trzeźwość i rozwagę. Przeskoczył swój płot i wszedł na taras. W sypialni rozbierał się szybko, a gdy legł wreszcie w chłodnej pościeli, podłożył sobie pod policzek palce, które zapamiętały woń ciała Justyny. Minęło w nim wrażenie ogromnego bólu i napięcia, jakie miał od wielu dni i wielu nocy. Wiedział jednak, że następnej nocy pójdzie tam znowu.

...W mrocznej izbie na łóżku nieruchomo leżała obnażona kobieta z otwartymi oczami, które patrzyły przed siebie niczego nie widząc. Była martwa — tak to czuła, ponieważ jej ciało sparaliżował bezwład. Przed minutą lub godziną zabił ją mężczyzna, przywołany jej pożądaniem i czarami Kłobuka. Dotykał ją palcami, wszedł w jej ciało śmiertelnym pchnięciem. Dlaczego ludzie tak bardzo lękali się śmierci, skoro była rozkoszą? Martwa obudzi się do życia z ziarnem, które może już teraz zaczyna w niej kiełkować, a później wypełni cały brzuch. Nie będzie już pokrywał ją ogromny kogut, sfruwający z belki w oborze; nie wycieknie z jej warg, podobnych do różowego grzebienia — biały mlecz męskiego pożądania. Dymitr musiał umrzeć, aby się to właśnie spełniło; on też zapewne przeżył rozkosz śmierci i gdzieś w świecie urodzi się na nowo.

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Honor kobiety

W końcu lipca pewna kobieta w Skiroławkach publicznie straciła honor, a stało się to w sposób następujący:

Paweł Jarosz, drwal, który mieszkał w Skiroławkach w czterorodzinnym domu robotników leśnych — miał żonę Lucynę i troje dzieci. Kochankiem Lucyny był Leon Kruczek, także drwal, ale posiadający własny domek położony pomiędzy zagrodą sołtysa Wątrucha i domem pisarza Lubińskiego. Paweł Jarosz — wysoki i chudy mężczyzna — pracował piłą motorową od świtu do zmierzchu i przynosił do domu niezłe zarobki. Lecz jego żona, Lucyna, wydawała pieniądze na głupie i zbyteczne fatałaszki, wciąż więc brakowało jej pieniędzy i na długo przed każdą wypłatą chodziła do ludzi, aby pożyczać. W ich mieszkaniu znajdowały się tylko najprostsze sprzęty i kilka garnków oraz stary psujący się telewizor. Fatałaszki nie zdobiły w niczym owej Lucyny, nawet nikt na niej ich nie zauważał, wydawała się takim samym obdartusem jak inne żony robotników leśnych. Nie była urodziwa, a przeciwnie, brzydka i mimo swych trzydziestu pięciu lat mocno zniszczona; z długimi jak szczudła, pałąkowatymi nogami, dużym brzuchem, obwisłymi cyckami i haczykowatym nosem. Zębów z przodu nie miała, tylko dwa kły sterczały w jej ustach jak szable u dzika. I taką to kobietę upodobał sobie Leon Kruczek, mężczyzna o pięć lat od niej młodszy, niewysoki, lecz barczysty, czarniawy na twarzy i przystojny. Leon Kruczek spłodził dwoje dzieci z żoną Marianną, kobietą drobną, ładniutką jak laleczka, tyle że słabowitą, z wadą serca. W domu Kruczków było czyściutko, dwie małe dziewczynki chodziły do szkoły starannie uczesane i w czystych fartuszkach, i co dziwniejsze, nie miały wszy, ani też świerzbu, jak dzieci Jarosza. Mimo ogromnych wysiłków doktora Niegłowicza i nauczycielki w szkole — z tego świerzbu trudno było dzieci Jarosza wyleczyć, podobnie przedstawiała się sprawa z wszami. Tedy dzieci Jarosza miały świerzb i wszy, a dzieci Kruczka wszy ani świerzbu nie miały, mimo to jednak Leon Kruczek został kochankiem Lucyny Jarosz.

c.d.n.